

PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Nr 2-3-4 (29-30-31)

tom VIII 2022



J. Andrzejczak
A. Bernat
J. Binkowski
T. Bóldak-Janowska
K. Boruń
K. Boruń-Jagodzińska
K. Choiński
D. Cirić-Straszyńska
W. Faulkner
B. Koprivica
A. Książek
A.W. Kulik
R. Lasota
B. Leśmian
A. Lizakowski
W. Mandryka-Bukowiński
J. Marciniak
P. Müldner-Nieckowski
A. Nałaskowski
A. Nasilowska
A. Patey-Grabowska
M. Pękała
M.J. Piasecka
M.K. Piekarska
A. Przybyszewska
K. Rudziński
K.S. Schreyer

B. Siwec
M. Szyszko-Kondej
J. Śleszyński
B. Świdorski
K. Świegocki
J. Trznadel
J. Vladislav
G. Walczak
O. Wójcik
Z. Zbikowski



Jarosław Marek Rymkiewicz

KRZYK

jak oni gorliwie
zajmują się rekonstrukcją fałszów
stara sprawa
wieczna młodość świata

z ich książek dochodzi krzyk bitego człowieka
słyszę go poprzez wszystkie słowniki opisów
przez złoty deszcz spadających gwiazd

szlachetni stoicy
zmieniają go w szelest
piasku przesypywanego z ręki do ręki

1977

Jacek Trznadel

Skan z tomu *Utajone w oddechu. Wiersze wybrane*
Wydawnictwo Test, Lublin 2003



**Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa**

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok VII Nr 2-3-4 (29-30-31) 2022

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Zbigniew Zbikowski

Prezes OW SPP

Zastępcy redaktora naczelnego

Małgorzata Karolina Piekarska

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki, Sylwia

Gibaszek, Dorota Koman, Małgorzata

Strękowska-Zaremba

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Zbigniew Zbikowski

W stronę nowej formuły.....3

Anna Nasiłowska

List ws. Muzeum-Pracowni

J.I. Kraszewskiego5

Alicja Przybyszewska

Do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich 7

Maria Jolanta Piasecka

Jacek Trznadel osobisty.....8

W sprawie Domu Literatury

Petycja na portalu Petycje.pl 12

KRYTYKA – ESEJ – FELIETON

Adam Wiesław Kulik

Ta poezja zrodzona jest z cierpienia

(Bolesław Leśmian)14

Małgorzata Karolina Piekarska

Ukraińskie refleksje..... 22

Janusz Andrzejczak

Dwie książki, czyli... (J. Binkowski,

A. Nałaskowski) 30

Rafał Lasota

Entliczek pentliczek.....32

Alicja Patey-Grabowska

Moje refleksje o książce

Kazimierza Świąckiego

Mickiewicz egzystencjalny..... 38

Grzegorz Walczak

27 marca – Międzynarodowy

Dzień Teatru.....41

DLA DZIECI – MŁODZIEŻ

Bartłomiej Świdorski

Anna na tropie tygrysa..... 44

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Wiersze 56

Anna Bernat

Moje concertiny 60

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Na przykład Trojanki 68

Krzysztof Boruń (1923-2000)

Alarm..... 69

Andrzej Książek

Wiersze 72

Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Cieszymy się sobą.....	76
Jerzy Marciniak	
przepraszanie przeszłości.....	78
Piotr Müldner-Nieckowski	
Notatki ukraińskie	80
Alicja Patey-Grabowska	
Sen poetów	84
Maria Jolanta Piasecka	
Haiku.....	86
Małgorzata Karolina Piekarska	
Ostatnie pożegnanie	87
Krzysztof Rudziński	
Wiersze	88
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Wiersze	93
Jerzy Śleszyński	
Wiersze	97
Grzegorz Walczak	
Z cyklu Ukraińska elegia	99
PROZA	
Tamara Bołdak-Janowska	
Piiip, krótki dialog Tamary	
BeJot i Tola Szałeńczyka	101
Krzysztof Choiński	
Polski los	114
Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Sykomora. Ubi arma sonant	125

Alicja Patey-Grabowska	
Sen Czortkina.....	134
Krzysztof Rudziński	
Bakajek	136
Mistrz Haftowanego Listowia	145
Jerzy Śleszyński	
Listy do K.....	148
Olga Wójcik	
Brzegiem morza	159
PRZEKŁADY	
Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Jan Vladislav.....	163
Danuta Cirić-Straszyńska	
Božo Koprivica.....	167
Piotr Müldner-Nieckowski	
William Faulkner.....	177

KOLEKCJA LITERACKA Seria 3

1. Adam Lizakowski	182
2. Marek Pękala	192
3. Bartłomiej Siwiec.....	198
4. Małgorzata Szyszko-Kondej ...	206
5. Grzegorz Walczak	212



Na okładce: J.M. Rymkiewicz.
Fot. P. Müldner-Nieckowski 2016



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Zbigniew Zbikowski

W stronę nowej formuły

Odpowiedź na pytanie, jaka sprawa w minionym roku miała dla Stowarzyszenia Pisarzy Polskich najwyższą rangę, wydaje się oczywista. I nie chodzi wcale o Zjazd SPP, który postanowił po raz drugi powierzyć prezesurę Annie Nasiłowskiej. Nie chodzi tym bardziej o wcześniejszy ruch kilkunastu członków organizacji, którzy zdecydowali się opuścić jej szeregi, protestując w ten sposób przeciwko nawiązaniu przez SPP współpracy wydawniczej z rządowym Instytutem Literatury w ramach Tarczy dla Literatów. Samo „nawiązanie” nastąpiło w roku jeszcze wcześniejszym, zatem i ono nie może być uwzględnione w typowaniu spraw najważniejszych za rok 2022. Wydanie w owym roku drugiej serii Kolekcji Literackiej, jakkolwiek ważne, też nie ma rangi najwyższej. Ma ją natomiast bez wątpienia obrona Domu Literatury przed pokusą usunięcia z niego przez warszawskie władze (formalnie – śródmiejskie) organizacji pisarskich i zmiana przeznaczenia obiektu na... właśnie nie wiadomo dokładnie, na co. W piśmie odmawiającym Fundacji Dom Literatury i Domy Pracy Twórczej przedłużenia umowy dzierżawy obiektu nazwano tę zagadkową destynację „celami własnymi dzielnicy”. Reszta pozostaje kwestią wyobraźni bądź znajomości kulis.

Gwałtowna akcja medialna w obronie Domu Literatury sprawiła, że władze warszawskie zasiadły do rozmów z przedstawicielami organizacji pisarskich i ustalono, że Dom Literatury nie zmieni swego przeznaczenia, lecz według samorządowców powinna się zmienić jego formuła. Na tę zmianę, na opracowanie owej formuły dano sobie dwa lata i w tym duchu sporządzono nową umowę z Fundacją Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej (FDLiDPT). Wtedy też okazało się, że nieodzownym warunkiem zawarcia tej umowy jest zgoda na dołączenie do użytkowników Domu Literatury dwóch innych, wymienionych z nazwy organizacji pisarskich, które wystąpiły z własnym pomysłem na urządzenie tego miejsca.

Jak by nie było i jakiego by nie powzięto rozstrzygnięcia, wydarzenia wokół Domu Literatury były i są dla Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz prowadzonych przez organizację „dzieł” przełomowe i dlatego ważne. Także dla „Podglądu”, który i bez tego przeżywa swoje kłopoty, biorące się stąd, że wydawany jest – co często, może nawet zbyt często podkreślamy – ochotniczo i (z wyjątkiem druku) bezkosztowo. Dopóki będzie wydawany jako czasopismo pisane przez członków SPP, dla członków i przez członków robione, nic się nie zmieni, a taką formułę przyjęliśmy od początku i ją podtrzymujemy. Konieczność wyprowadzenia się z historycznego obiektu przy Krakowskim Przedmieściu 87/89 oznaczałaby potrzebę wynajęcia biur „na mieście”, nie za darmo przecież, czyli mocnego zaciśnięcia pasa, po którym zabrakłoby funduszy w skromnym budżecie organizacji nawet na druk naszego kwartalnika.

Tymczasem dwa lata oddechu, jakie zafundowały Stowarzyszeniu władze miejskie, podpisując nową umowę, pozwalają nam na wydawanie kolejnych numerów – nawet jeśli dalej będą one musiały ukazywać się z opóźnieniem, z potrójną numeracją i bez zmiany formuły. Mimo wszystko jest w tej informacji kropla optymizmu.

Zbigniew Zbikowski



Twórca
Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

List do Władz Poznania w sprawie Muzeum-Pracowni Józefa Ignacego Kraszewskiego

Warszawa, 28.02.2022

Pan Prezydent Poznania
Jacek Jaśkowiak

Pan Przewodniczący Rady Miasta Poznania
Grzegorz Ganowicz

plac Kolegiacki 17
61-841 Poznań

Zwracam się do Panów w sprawie Muzeum-Pracowni Józefa Ignacego Kraszewskiego w Poznaniu.

Jako autorka wydanej w 2019 roku syntezy *Historia literatury polskiej* chciałabym poprzeć istnienie Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego jako placówki. W mojej książce poświęciłam tej postaci wiele miejsca, starając się przywrócić pisarzowi należną rangę. Idąc za poprzednikami, nazwałam Kraszewskiego jednym z „gigantów i tytanem pracy”. Jego zasługi były ogromne, jako pisarz stworzył w swoich powieściach skierowany do szerokiej publiczności zarys historii Polski, przedstawiając ją w ten sposób w latach zaborów, gdy nauczanie historii Polski podlegało restrykcjom. Równolegle do tych prac literackich zajmował się badaniami źródłowymi i był wydawcą pamiętników. Dbał o popularyzację, był historykiem i wydawcą, ale był też krytykiem XIX-wiecznego społeczeństwa, którego problemy i sprzeczności widział ostro i opisywał w cyklu utworów chłopskich. Zajmował się społecznością Romów. W powieści „Żyd” ukazał problemy asymilacji, na jakie napotykają nawet patriotycznie nastawieni przedstawiciele elity.

Józefa Ignacego Kraszewskiego można pod wieloma względami porównać do Balzaca, ale wtedy okaże się, że dorobek francuskiego realisty

nie jest aż tak rozległy, jak polskiego „giganta”. Był społecznikiem, człowiekiem kierującym się szlachetnymi pobudkami wzbogacenia kultury polskiej (także poprzez przekłady arcydzieł) i stworzenia mocnych podstaw wspólnej świadomości historycznej, mimo rozbicia na trzy zabory.

Józef Ignacy Kraszewski musiał opuścić Warszawę przed powstaniem styczniowym. Mieszkając w Dreźnie, był też związany z Poznaniem jako ośrodkiem ważnym dla polskiej książki.

To piękne, że właśnie w Poznaniu znalazł się pasjonat jego twórczości, który przez lata gromadził książki i wszelkie pamiątki dotyczące pisarza. Wspaniały dar pana Mariana Walczaka zasługuje na docenienie.

Okres ostatnich dwóch lat, naznaczony wieloma ograniczeniami wynikającymi z pandemii, był bardzo trudny dla wszystkich ośrodków kulturalnych. Mamy nadzieję, że odrodzi się ruch turystyczny, że Pracownia Kraszewskiego stanie się jednym z interesujących punktów na kulturalnej mapie miasta – do zwiedzania i pogłębiania wiedzy, a także miejscem spotkań literackich. Niewielkie muzea biograficzne cieszą się w wielu miastach Europy sporym zainteresowaniem. Swoje miejsce w Paryżu ma Balzac, w Londynie – Dickens, w Warszawie – Władysław Broniewski, w Podkowie Leśnej – Jarosław Iwaszkiewicz itd.

Przy ulicy Wronieckiej 14 działa także ośrodek dokumentujący życie literackie Wielkopolski. Badania archiwistyczne przeżywają w tej chwili swój dobry okres, zostały po latach zarzucenia znowu docenione. Dzięki bliskim związkom z lokalnym środowiskiem literackim, możliwe było pozyskiwanie spuścizn.

Prosimy o docenienie potencjału placówki.

Z poważaniem

prof. dr hab. Anna Nasiłowska
Instytut Badań Literackich PAN
prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Poznań, 14 września 2022

Do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

na ręce Prezes Pani prof. Anny Nasiłowskiej

Szanowni Państwo,

jest mi niezmiernie miło poinformować, że Muzeum J.I. Kraszewskiego oraz Dom Literatury w Poznaniu przetrwały i zachowały swoją siedzibę przy ulicy Wronieckiej. Włodarze Poznania wycofali się z planów sprzedaży kamienicy i rekomendują remont budynku (powstała stosowna uchwała). Biblioteka Raczyńskich ma od września nową dyrektorkę, panią Katarzynę Kamińską, która z wielką życzliwością odnosi się do sprawy Muzeum i zapewnia, że jesteśmy bezpieczni.

Chciałabym jeszcze raz bardzo Państwu podziękować za wsparcie, nade wszystko za list interwencyjny, za podpisanie petycji, która okazała się bardzo skuteczna. Bez wątpienia to właśnie presja ze strony środowisk badawczych i pisarskich, a także pasjonatów Kraszewskiego z całej Polski spowodowała, że Miasto powstrzymało plany poprzedniej dyrekcji Biblioteki.



Osobno załączam też zaproszenie na wydarzenie w Bibliotece Raczyńskich poświęcone J.I. Kraszewskiemu. Prezentujemy rękopis powieści *Na bialskim zamku*, a towarzyszy nam zaprzyjaźniony i także zaangażowany w sprawę ratowania muzeum prof. Tadeusz Budrewicz. Wydarzenie odbędzie się w gmachu głównym Biblioteki, bo kamienicę przy Wronieckiej czeka wstępny mały remont, ale sprawy zmierzają w dobrym kierunku i najpewniej późną jesienią wrócimy do działalności kulturalnej.

Jeśli będą Państwo mieli sposobność odwiedzić Poznań, to bardzo serdecznie zapraszam na Wroniecką do Muzeum!

Z wyrazami szacunku i pozdrowieniami

Alicja Przybyszewska

Maria Jolanta Piasecka

Jacek Trznadel osobisty

(ur. Olkusz, 10.06.1930 – zm. Warszawa, 23.01.2022)

W 1972 roku szczecińska grupa literacka młodych „Pod Wieżą” zorganizowała w Dziwnowie warsztaty artystyczne. Zaprosiliśmy na nie Jacka Trznadla, wówczas autora tomików wierszy *Wyjście* i *Gdzie indziej*, zbioru szkiców krytycznych *Róże trzecie* oraz studium *Twórczość Leśmiana. Próba przekroju*. O wyborze Jacka na naszego mentora przesądziła tematyka i poetyka jego wierszy, swoboda wyobraźni jako metody twórczej, odkrycie dla nas Leśmiana oraz postawa polityczna autora, fakt oddania legitymacji partyjnej.

We wrześniu bieżącego roku obchodziłabym 50. rocznicę znajomości z Jackiem, która szybko przerodziła się w przyjaźń. Wkrótce stał się przyjacielem mojej rodziny. Były to relacje intensywne, szczere i otwarte, budowane wokół spraw i rozstrzygnięć ponadosobistych i tematów codziennych, praktycznych. Gdy rozmawialiśmy o „kociarzach” i „psiarzach”, deklarował przynależność do tych drugich, jako że według niego psy otwarte są na komunikację, mają wyraziste emocje, są spontaniczne, prostopadłolinijne i potrafią wyrazić niekłamana radość. W istocie za taką jakością kontaktów opowiadał się Jacek w relacjach z ludźmi. Cenił przyjaźń i był jej wierny.

Z Dziwnowa zapamiętałam prowokacyjne pytanie dojrzałego poety, postawione początkującym. Jeden z nich miał psa, młodego, białego owczarka. Czy istnieje poezja poza wierszami? – pytał Jacek, głaszcząc niesforne, żywiołowe szczeniaka. Po chwili dodał – ten pies, to jest być może poezja sama w sobie. Miał na myśli niewystarczalność poezji wobec życia, paradoks między tym, co wyrażone w słowie, a tym, co mu się nie poddaje, nurtującą poetów nieprzystawalność słowa do rzeczy. Tak więc w poezji Jacka obrazowanie zdominowało dyskurs. W zaskakujących, onirycznych zestawieniach obrazów w tomikach *Wyjście* i *Gdzie indziej* Mieczysław Jastrun dostrzegał rzadkie w polskiej poezji nawiązanie do surrealizmu, co podkreślał, ku zadowoleniu Jacka, w prywatnym do niego liście. Wspomnę jeszcze jedną, ważną dla Jacka opinię innego poety, jego wieloletniego przyjaciela Tymoteusza Karpowicza. Po ukazaniu się zbioru *Więcej niż można mieć*, Karpowicz napisał w liście z Chicago, że najbardziej

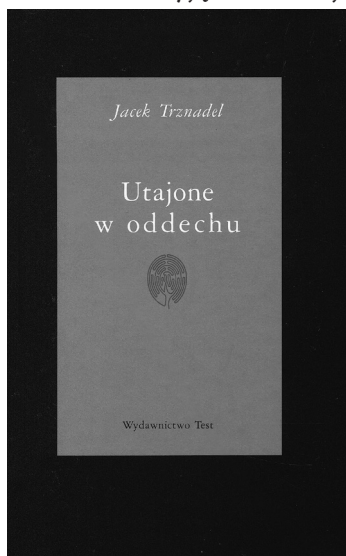
wzruszył go cykl wierszy-piosenek, w których tematyka egzystencjalna, oryginalne obrazowanie, okiełznane są prostotą rymu i rytmu. Być może słowa uznania ze strony przyjaciela przekonały Jacka do tej formy i zachęciły do jej kontynuacji, gdyż spotykamy ją w późniejszych tomikach, obok wiersza wolnego. Zresztą piosenka, ta literacka, ceniona była przez Jacka, zwłaszcza w wykonaniu George'a Brassensa, którego często słuchał z winylowych płyt, a miał chyba wszystkie tego francuskiego barda.

Skoro mowa o muzyce – była ona w życiu Jacka odświętną codziennością. Regularnie bywał w filharmonii, słuchał muzyki z płyt i radia, nagrywał, grywał sam dla siebie na pianinie i fletach prostych, wspierał edukację muzyczną wnuczki i wnuka. W pokoju bibliotecznym ważne miejsce zajmowało pianino z rozłożonymi nutami, należące niegdyś do matki Jacka. Przestrzeń muzyki klasycznej – „jasne państwo aniołów”, jak ją określił w wierszu – otwierał tu Bach z *Partitą d-moll* i *Chaconne* oraz *Wariacje Goldbergowskie* w wykonaniu Glenna Goulda. Wyjątkowe miejsce zajmowała aria *Śmieję się pajacu* z opery Leoncavalla, śpiewana przez Enrica Caruso. Maską błazna, grymas śmiechu, za którym skrywa się ból – ta postawa była mu bliska i dawał jej wyraz w wierszach. „A zresztą na fleciku błazna dłonie z melodią zakończoną ostro” – pisze Jacek w puencie wiersza *Dywanik*. To odpowiedź na dywanikowy jakby obraz ludzkiego żywota, niepojętego od lewej strony splecionych i pogmatwanych wątków, podczas gdy wzór losu pozostaje zakryty i staje się dopiero „w śmierci prosty”.

Do jakiego stopnia śmierć sprawowała udzielne rządy w twórczości Jacka, ale przecież również, a może przede wszystkim



Jacek Trznadel, maj 2010
Fot. Piotr Müldner-Nieckowski



w życiu, jak ważna była niezgoda na nią, jak dojmująca niemożność oswojenia się z nią – to wszystko uświadomiłam sobie szczególnie mocno, gdy on sam odszedł, a ja czytałam hurtem po raz kolejny jego utwory. Przede wszystkim prozę poetycką z tomu *Dzikie gęsi. Podręczna centuria snów*, wskrzeszającą, by tak rzec, nieobecnych ukochanych, których cienie ożywają tutaj podwójnie, w marzeniu sennym i w poetyckim obrazie. Tym, którego najdotkliwiej mu zabrakło, był starszy brat Andrzej. Myslę, że jego śmierć zaważyła na twórczości Jacka, a słowa braterskiej przestrogi nie opuściły go, może nawet nadały moralny kierunek jego postawie życiowej. Jacek często wracał do tych wydarzeń, a opowiadanie o nich było swoistą rekolacją.

Brat zginął w wieku 15 lat podczas nalotu bombowego w pierwszych dniach wojny. Jacek miał wówczas 10 lat i za sobą doświadczenie niedoszłej własnej śmierci w odwołanej ostatecznie przez Niemców zbiorowej egzekucji. Śmierć Andrzeja spowodowała u dziesięcioletniego chłopca kryzys religijności, tuż przed przystąpieniem do Pierwszej Komunii. Trauma związana z tymi przeżyciami, przerastającymi psychiczną wytrzymałość dziecka, spowodowała nagle jego omdlenie w kościele i doświadczenie zwane, z braku lepszej formuły, *life after life*. Tak je po latach określił Jacek we wspomnieniach opublikowanych w „Arcanach”. Tracąc przytomność, padł na wznak i doświadczył szybowania w górę, przenikania przez kopułę kościoła i wreszcie, już ponad wierzchołkami drzew, lęku, czy uda mu się powrócić do ciała. Odczuł nieodzowność powrotu i w ślad za tym, zawieszony pod kopułą świątyni, ujrzał siebie leżącego na posadzce wraz z nachylonymi nad sobą głowami kobiet. Po chwili wniknął z powrotem we własne ciało, a po otwarciu oczu ujrzał nad sobą owe kobiece twarze. Wybrał życie. Opisał te przeżycia w zaszyfrowany sposób w jednej ze swoich elegii. Zaś w „Arcanach” wyznaje: „Chęć życia postawiła mnie ponad grób, choć w łączności ze zmarłym”.

Łączność ta miała wspomniany już wymiar moralny. Przed tragiczną śmiercią Andrzeja, podczas nocnej rozmowy braci w Skomielnej w 1939 roku, padła z ust starszego z nich przestroga: „Nie bądź pyszny”, w odpowiedzi na dziecięce zwierzenie Jacka, iż zdaje mu się, jakby pojmował cały kosmos (dziecięcy wgląd? preludium poetyckiej intuicji?). Przestroga nabrała dla przyszłego poety charakteru moralnego i stała się jedną z jego dewiz życiowych. Z kolei afirmacja życia nasłuchującego śmierci i rażonego śmiercią zaistniała w twórczości poetyckiej, prozatorskiej (opowiadania katyńskie *Z popiołu czy wstanieś*) i publicystycznej Jacka, a także w jego

życiu prywatnym i społecznym. Tam, gdzie widział zagrożenie dla życia lub zdrowia, starał się przeciwdziałać. Pamiętam, jak przejechawszy szosą kilka kilometrów zawrócił, by usunąć leżący na niej, a grożący wypadkiem przedmiot, którego inny kierowca mógłby nie zauważyć.

Lata naszej przyjaźni to przede wszystkim długie i częste rozmowy, aż do nie tak dawnej chwili, kiedy Jacek oznajmił, że teraz wszystkie siły kieruje wyłącznie na przetrwanie. Najczęściej zadawał mi dwa pytania: co teraz czytasz i nad czym pracujesz. Praca była ważna jako proces i wysiłek konkretyzowania, nadawania wymiernego kształtu myśli. Powinna być wykonana jak najlepiej, doprowadzona do końca i przydatna społecznie. Gdy niecierpliwiłam się, poprawiając swój doktorat, którego Jacek był promotorem, zawstydział mnie wyznając, że swoją kilkusetstronicową habilitację, książkę o Norwidzie, przepisał samodzielnie na maszynie (nie było wtedy komputerów) pięć razy, szlifując ją niestrudzenie. Wymagający był względem siebie jako poeta, tłumacz, edytor, naukowiec.

Bliski mu był Norwidowy, eschatologiczny wymiar pracy: „by się zmartwychwstało”. A skoro praca poety jest pisanie wierszy, to „Czy można z wierszy zmartwychwstać?”. Takie pytanie pojawia się w *Dzikich gęsiach*, wraz z odpowiedzią: „Pewnie można, ale zmartwychwstaną tylko same wiersze, jak uśmiech kota bez kota, zupełnie sam, jak u Alicji, w krainie czarów”. Przewrotna to odpowiedź, niepozbawiona specyficznego poczucia humoru. Ale jest też druga odpowiedź na to pytanie, której Jacek udzielał, cytując Norwida: „Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie, / Dwie tylko p o e z j a i d o b r o ć... i więcej nic...”.

Za przykład dobroci stawiał często swoją matkę oraz nianię. Ojciec zaś był przykładem konstruktywnego działania społecznego, służby Polsce (jego portret w książce *Mój Ojciec Edward*). Istniała też kolejna, fundamentalna rzecz z kręgu tych najważniejszych – prawda i odwaga jej głoszenia, nieustające wyzwanie w życiu Jacka. Podkreślało to wiele osób przemawiających na jego pogrzebie. Bo: „Jedynie prawda jest ciekawa”, tak dla Mackiewicza, autora tego stwierdzenia, jak dla Jacka, należącego do kapituły nagrody im. Józefa Mackiewicza.

Mogłoby na zakończenie paść pytanie o piękno, dopełniające – obok prawdy i dobra – znamiennej platońskiej trójcę. Wszak Jacek czuł się nade wszystko poetą! Powiedziałabym, że pięknem, zmysłowym, bujnym, aczkolwiek kruchutkim i podszytym grozą przemijania, było dla niego samo życie.

Maria Jolanta Piasecka

W sprawie Domu Literatury w Warszawie

Petycja umieszczona na portalu Petycje.pl

Dom Literatury w Warszawie przy ulicy Krakowskie Przedmieście 87/89 został podniesiony z gruzów po II wojnie światowej z przeznaczeniem na siedzibę Związku Literatów Polskich, jedynej wówczas organizacji pisarskiej. Pisarze czuwali nad całym procesem odbudowy kamieniczek, uczestniczyli też w zbiorce funduszy. Wnętrze Domu zostało zaprojektowane ze względu na potrzeby ZLP.

Nawet w stanie wojennym nie zlikwidowano Domu Literatury, choć próby nacisku władz na demokratycznie wybrany w 1980 roku Zarząd ZLP doprowadziły do poważnego kryzysu w tej organizacji. W 1989 roku Jan Józef Szczepański powołał Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

W tej chwili Dom Literatury w Warszawie jest siedzibą trzech ogólnopolskich organizacji pisarzy i intelektualistów: Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Polskiego PEN-Clubu. Ze względu na swój charakter nie są to organizacje masowe (w sumie zrzeszają ponad tysiąc osób z kraju i z zagranicy), ale odgrywają one ogromną rolę w życiu kulturalnym Polski i utrzymują kontakty z pisarzami innych krajów.

W 1990 roku Domem Literatury zaczęła zarządzać Fundacja, powołana przez przedstawicieli trzech stowarzyszeń. Bieżące funkcjonowanie Domu Literatury przestało być finansowane przez Ministerstwo Kultury, które dotowało remonty. Dom musiał utrzymać się sam.

Organizacje mające siedziby w Domu Literatury organizują wydarzenia kulturalne otwarte i bezpłatne dla publiczności. Prowadzą szeroko pojętą działalność edukacyjną.

W 1990 roku na mocy ustawy o samorządzie lokalnym Dom znalazł się w gminie a następnie Dzielnicy Śródmieście. Dzielnica i agendy miasta nie dotowały jednak ani działalności kulturalnej Domu Literatury, ani



koniecznych remontów, przeciwnie, Dzielnica zarabiała na czynszu, który ostatnio wynosił 30 tys. miesięcznie. Sprzeciw budzi sytuacja, że Burmistrz Dzielnicy Śródmieście jedną decyzją o odmowie przedłużenia dzierżawy, wydaną 12 września 2022 bez najmniejszej konsultacji z organizacjami, decyduje o losach tego miejsca i siedzibach ogólnopolskich stowarzyszeń twórców. Swoją decyzję Burmistrz uzasadnił „ciężką sytuacją Warszawy”. Po jednoznacznie krytycznej reakcji mediów na doraźnie zwołanym zabranii 19 października 2022, pojawiła się inna deklaracja, że miasto zamierza powołać nową instytucję, Warszawski Dom Literatury i hojnie dotować jego działania. Zwracamy uwagę, że nowy Dom powinien powstać w dialogu z ogólnopolskim środowiskiem literackim, zapewniając ochronę dla już istniejącego starego Domu, którego funkcja, układ i wyposażenie zasługują na zachowanie. Niepokój budzi okres przejściowy, który zaczyna się już 1 stycznia 2023.

W trakcie demokratycznych przemian ustrojowych 1989-1990 kierowano się zasadą zapewnienia autonomii środowiska, szacunku dla tradycji i różnorodności, nieingerowania w życie demokratycznie zarządzanych organizacji. Te zasady powinny być szanowane. (SPP)

Adam Wiesław Kulik

Ta poezja zrodzona jest z cierpienia...

(wątki autobiograficzne w poezji Bolesława Leśmiana¹)

Na wiersze Bolesława Leśmiana trafiłem świadomie po raz pierwszy w klasie maturalnej i od pierwszej lektury wydał mi się poetą niezwykłym, nie z tego świata. Jawił mi się jako zjawisko przybyłe gdzieś z przestrzeni kosmicznej, nadrealnej. Nikt przed nim na ziemiach polskich w ten sposób nie pisał wierszy. Nawet u Jana Kochanowskiego czy Adama Mickiewicza podczas lektury tekstów osobistych musimy przedzierać się przez filtry erudycji, intelektu, solidnie dopracowanego kunsztu słowa. U Leśmiana to wszystko jest, ale schodzi na drugi plan. Jego najlepsze wiersze uderzają w nas bezpośrednio jak muzyka: czytając słyszy się ciszę, oderwane strzępy rozmowy, bez troski śmiech dziecka i jego dudniące kroki, gdy biegnie po grobli nad rzeką. Do dziś pamiętam atmosferę, frazy wiersza *Z lat dziecięcych*, choć minęło ponad czterdzieści lat od pierwszej lektury. Odrębność tego zjawiska-osoby podkreśla pachnące lasem i łąką nazwisko-pseudonim, wyciągnięte z głębi polskości, a przecież niespotykane w naszym języku, odrębne.

Kiedy na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku zacząłem chodzić po Zamościu i Hrubieszowie śladami poety, byłem przekonany o jego geniuszu, doszła też wiedza o krzywdzie, którą mu wyrządzono przemilczając jego poezję, czy szydząc z żydowskiego pochodzenia, choć pisał po polsku jak nikt przed nim i po nim! Postanowiłem spłacić nie swoje długi, uratować co jeszcze się da, wyciągnąć od ludzi, którzy go znali i pamiętali ostatnie strzępy wspomnień. Miałem świadomość, że jeżeli tego nie zrobię, nikt w Zamościu, ani tym bardziej w Hrubieszowie nie zbierze tych okruchów. A rzecz dotyczyła, w moim przekonaniu, poety światowego formatu.

Nie kreowałem się na badacza biografii, nie miałem zamiaru brnąć w krytyczne analizy jego wierszy, zostawiałem to zawodowcom, krytykom i historykom literatury. Szamocząc się z własną twórczością, pisząc

¹ Użyte skróty: Nc – *Napój cienisty*; Dz – *Dziejba leśna*; pośm. Dz – tekst publikowany pośmiertnie w *Dziejbie leśnej*.

eksperymentalną prozę, którą wówczas byłem zafascynowany i którą traktowałem jako swego rodzaju kod, ekspresję nowych, powojennych czasów przewalcowanych dopiero co dwoma totalitarnymi walcami, postanowiłem, po drodze, oddać przysługę starszemu, nieżyjącemu koledze po piórze, którego losem byłem przejęty. Był niedościgłym mistrzem wszystkich młodych, próbujących wówczas sił w literaturze – byłem mu to w oczywisty sposób winien. W ten sposób powstał zbiór wspomnień *Leśmian, Leśmian...*, który rozpoczął ponad dwudziestoletnią wędrówkę po wydawnictwach, by ostatecznie ukazać się w roku 2008.

Z czasem przestały mnie interesować fajerwerki eksperymentu w literaturze. Za rzędami liter, za zgrabnie skrojoną fikcyjną, wymyśloną rzeczywistością zapisaną na kartach książki stoi konkretny człowiek, autor. Zacząłem tropić jego ślady w tekstach, szukać między wersami. Usiłowałem dotrzeć do bezpośrednich inspiracji, w wyniku których powstały konkretne utwory literackie, próbowałem namierzyć miejsca, w których styka się literacka fikcja z autentycznymi zdarzeniami z biografii autora. Na ile było to możliwe. U pisarzy takich jak Walt Whitman czy Zbigniew Herbert, w prozie Andrzej Bobkowski, Izaak Babel wydaje się to stosunkowo proste. Biografia w wielu miejscach nakłada się bezpośrednio na tzw. fikcję literacką. W przypadku zjawisk tak niecodziennych, jak poezja Bolesława Leśmiana czy mistrzowska proza *Mistrz i Małgorzata* Michała Bułhakowa, należy wnikać głębiej, zanurzyć się w życie autora, w jego epokę, warunki, w których żył. I tu pomocne okazały się wspomnienia ludzi, którzy znali Leśmiana, często blisko, bezpośrednio, w czasach zamojskich i hrubieszowskich, z którymi miałem możliwość rozmawiać.

Zaskoczeniem okazały się rozmowy z Zofią Wiktorowicz, która rozmawiała ze mną nie o Leśmianie poecie, lecz o swoim pryncypale z notarialnego biura, dobrym człowieku, którego okradł Władysław Adamowicz, zaufany pracownik. Pracowała u Leśmiana 7 lat (1928-1935), wiele czasu spędzali razem, w biurze, spotykali się poza pracą, więc szefa poznała wystarczająco dobrze. Dla niej było oczywiste, że teksty *Poeta, Modlitwa, Kłęska*, fragmenty *Eliasa* (wszystkie z *Napoju cienistego*), zawierają wiele wątków autobiograficznych i wręcz odnoszą się do trudnej sytuacji rodzinnej, ekonomicznej po włamaniu do notariatu (2/3 listopada 1927) i defraudacji Adamowicza w 1929 roku.

Potwierdziła to konkretnymi cytataми:

I nastał dzień, co zgrozą poraził mi duszę –

*I musiałem go przeżyć... On wiedział, że muszę...
A już stało za drzwiami to Złe, co niweczy
Modlitwa (Nc)*

I dalej:

*Żona jego, żegnając swój los znakiem krzyża,
Na palcach – pełna łęku do niego się zbliża.
Stoi... Nie śmie przeszkadzać... On słowa nawleka
Na sznur rytmu, a ona płochliwie narzeka:
«Giniemy... Córki nasze – w nędzy i rozpaczy...
A wiadomo, że jutro nie będzie inaczej...
Wleczesz nas w nieokreśloność... Spójrz – my tu pod płótem
Mrzemy z głodu bez jutra, a ty nie wiesz o tem!»
Wie i wiedział zawczasu!... I ze łzami w gardle
Wiersz układa pokutnie – złościście – umarłe
Za pan brat ze zmorami...*

Poeta (Nc)

Bez znajomości biografii Leśmiana te strofy można czytać jako swego rodzaju przenośnię, dość uniwersalne wyznanie wiary podmiotu lirycznego – poety, dla którego poezja, twórczość jest o wiele bardziej istotna niż wszystko inne, sposób życia, zarabkowania, rodzina. W tym przypadku nawet przytoczone napomnienia żony mogą być autentyczne, Leśmian mógł ich użyć jako cytaty, odpowiadają sposobowi mówienia sprzed kilkudziesięciu lat. Ktoś, kto pisze wiersze, wie, że tak się robi. Czasem jedno zdanie wypowiedziane w trudnym psychologicznie momencie potrafi wywołać cały wiersz. Dzisiaj, w analogicznej sytuacji, użylibyśmy zupełnie innych słów.

Autobiograficzne wydają się teksty będące swego rodzaju spowiedzią, w której poeta usiłuje uwolnić się od negatywnych przeżyć wywołanych trójkątem małżeńskim. Z jednej strony miłość do Dory, z której nie potrafi zrezygnować, z drugiej rodzina, poczucie obowiązku, odpowiedzialności wobec żony i dzieci. Odpowiedzialność każe odrzucić myśl o rozwodzie, ale dyskomfort, psychiczna szamotanina ze sobą, z żoną, z kochanką, pozostaje i gdzieś musi znaleźć ujście:

Com uczynił, żeś nagle pobladła?

*Com zaszeptał, żeś wszystko odgadła?
 Jakże milcząc spoglądasz na drogę!
 Kochać ciebie nie mogę, nie mogę!*

[...]

*Ten ci jestem, co idzie doliną
 Z inną – Bogu wiadomą dziewczyną,
 A ty idziesz w ślad za mną bez wiary*
 [...]

*Idziesz chwiejna, jak cień, co się tuła –
 Wynędniała, na ból swój nieczuła –
 ...Com uczynił, żeś nagle pobladła*

(Dz)

Znamienne, że nie zdecydował się opublikować tego tekstu. Ukazał się dopiero w pośmiertnej *Dziejbie leśnej*, dzięki staraniom żony. To też świadczy o jej klasie, inna kobieta po prostu by go spaliła.

W dziejach literatury można znaleźć wiersze lub fragmenty prozy do tego stopnia osobiste (dotyczy to też Leśmiana), że niepublikowalne ze względu na szczerość autora graniczącą z ekshibicjonizmem. W takich przypadkach pisarze ratują się parabolą, zręcznie wymyślonym tytułem, który przerzuca treść w inną epokę albo w uniwersalną sytuację znaną z literatury, historii kultury. W tekście *Elias* (Nc) mamy szokujące wyznanie, które dziwnie brzmi w ustach wszechmocnego przecież Boga przemawiającego do Eliasza, za to idealnie pasuje do sytuacji Leśmiana:

*Chcę ci wyznać to, czego nie wyznam nikomu.
 Świat mój mija się ze mną! Żle mi w moim domu!*

Elias (Nc)

Także wiersz *Krzywda* (Dz) w sposób dla mnie oczywisty odnosi się do perypetii życiowych poety, poczucia krzywdy u schyłku życia. Nadał mu formę bardziej zobiektywizowaną, niemniej jest to tekst bardzo osobisty. Opublikował go w kwietniu 1937 roku, w listopadzie już nie żył.

Odrębną częścią tej twórczości są wiersze, których bezpośrednią bohaterką jest Dora Lebenthal, kobieta jego życia. A właściwie ta, która zdeterminowała to życie na dobre i złe. Tak jak w przypadku poety i wokół niej narosło sporo nieporozumień będących pochodną nieścisłości ze wspomnień Jana Brzechwy, czy niechęci do niej i wynikających z tej

niechęci przekłamań, puszczonych w obieg przez starszą córkę poety, Ludwikę. Przyjmując chrzest 15.IX.1920 roku, w parafii św. Krzyża w Warszawie, Dora była niezamężna, nigdy nie wyszła za mąż za dra Józefa Szpera, zmarła w Ilży jako panna. Jeśli coś ją łączyło w paryskich latach ze Szperem, to nieformalny związek. Pracowała w Warszawie jako lekarz dermatolog, nie jak się powszechnie sądzi ginekolog. Wszystkie te fakty ustaliła prof. Dorota Samborska-Kukuć.

Jest oczywiste, że bez spotkania tych dwojga nie mielibyśmy cyklu *W malinowym chruśniaku*. Potwierdza to we wspomnieniach bliska znajoma poety Helena Wiewiórska: „Dokładnie wiem, kiedy zaczęła się miłość poety, bowiem Leśmian, wręczając mi zbiorek swych wierszy *Łąka*, zwrócił uwagę na umieszczony tam utwór *W malinowym chruśniaku* i powiedział do mnie: To właśnie wtedy się zaczęło”³. Nawet gdybyśmy nie mieli tego bezpośredniego potwierdzenia, znajomość biografii poety, wiedza o jego uczuciu do Dory narzucałyby pewność, że „chruśniak” zawiera wątki autobiograficzne. Cały cykl, za wyjątkiem wiersza ... *Wyszło z boru ślepawe, zjesieniałe zmrocze* w sposób dosyć precyzyjny opisuje narodzenie i rozwój uczucia pomiędzy dwojgiem dojrzałych ludzi. Mamy zapis pierwszych pieszczot, uczucia zazdrości, typowych gier kochanków, prób dominacji, ale i irytacji z powodu ukrywania uczucia przed domownikami. Wreszcie bardzo subtelny, jedyny w swoim rodzaju (ale nie jedyny u Leśmiana⁴), opis aktu erotycznego w literaturze, naszkicowany jakby delikatnymi muśnięciami pędzla. Absolutne mistrzostwo! Tekst ...*Zmienionaż po rozłące?* jest swoistym kontrapunktem cyklu, napisanym z pewnej perspektywy czasowej w stosunku do reszty wierszy.

Znajomość techniki powstawania dzieła, wiedza o tym jak fakty z biografii autora mogą być potem przez niego wykorzystywane, urabiane, jak

² Teodora Jadwiga Lebenthal, córka Jakóba (Jakuba) i Cecylii z Goldszemów, urodziła się 12 marca 1885 (1879; 1884?) roku w Warszawie, w chwili przyjęcia chrztu 15 września 1920 roku w parafii św. Krzyża była niezamężna, w akcie jej zgonu widnieje wpis: panna. Jednym ze świadków podczas chrztu był Leśmian, wpisany jako Bolesław Lesman. W 1912 ukończyła studia medyczne na Sorbonie, w 1916 wróciła do Warszawy. W latach 1918-1930 mieszkała przy Marszałkowskiej 148, w 5-pokojowym apartamencie, najprawdopodobniej wynajętym, gdzie był jej gabinet. Piętro wyżej mieszkała Celina Sunderland. Od 1935 mieszkała przy ul. Śniadeckich 12, w latach 1937-1939 przy ul. Podwałe 7. W Ilży szykanowana przez volksdeutschów Julię i Mariana Łyżwińskich. Zm. 24 stycznia 1942 w szpitalu w Ilży. Dorota Samborska-Kukuć, *Korekty i uzupełnienia do biografii Teodory (Dory) Lebenthal, Teksty Drugie* [Online], 1/2018.

³ Helena Wiewiórska, *Bolesław Leśmian* w: Zdzisław Jastrzębski, *Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie*, Lublin 1966, s. 239.

⁴ Por. ...*Gdy domdlewasz na łożu, całowana przeze mnie...*

potem odnajdują się w tekście literackim, w formie mniej lub bardziej przeinaczonej, każe z dużym prawdopodobieństwem sądzić, że w Ilży, w obejściu Sunderlandów, tak to mogło wyglądać w 1917, czy 1918 roku. Prof. Jarosław Marek Rymkiewicz, w recenzji wewnętrznej, skomentował moje sugestie prawdopodobieństwa, czy też autentyzmu opisanych faktów, tak: „ciekawe, skąd [Kulik] to wie”. Właśnie stąd. To wiedza kogoś, kto pisze. Dziwię się, że profesor tego nie wiedział, napisał przecież niejeden tom wierszy. Chyba że technika produkcji mniej lub bardziej upoetyzowanych reportaży pisanych w formie wiersza, w czym celował Profesor, jest na tyle odległa od poetyki tekstów Leśmiana, że rzeczywiście można nie wiedzieć.

Wierszy, w których Leśmian szkicuje różne fazy uczucia do Dory, skomplikowane, często bardzo trudno uchwytnie sytuacje psychologiczne pomiędzy dwojgiem kochanków, jest więcej.

*Wracam, wracam po długiej rozłące –
Dłonie twoje, niecierpliwie lgnące!
Wszystko – dawne, a niby na nowo –
Drogi oddech – znajomy ruch głową...
Znów prowadzisz przez wszystkie pokoje,
I idziemy, idziemy oboje...
Nowej sukni nie postrzegłem wcale –
Śmiech twój dzwoni, że patrzę niedbale.
Pokazujesz dłonią niespodzianie
Nowe w kwiaty obicia na ścianie
I list do mnie zaczęty na stole –
„Pełen żalu... Niech leży... Tak wolę”.
[...]
Dłoń mą tulisz do serca, więc słyszę
Jak uderza – choć w ustach masz ciszę...
I w tej ciszy, w strasliwym milczeniu
Skoń mi, płacząc, składasz na ramieniu.
Wracam, wracam po długiej rozłące
(pośm. Dz)*

Opis jakby od niechcenia, myśli – niepozbierane, chaotyczne, uwaga skupiona na drobiazgach, oderwany dialog, w moim odczuciu autentyczny, zapisany. Takich rzeczy się nie wymyśla, nie kreuje, takie rzeczy się łapie, zapisuje, one budują dramatyzm sytuacji, budują tekst.

Wiersz *Nad ranem* to z kolei wzruszenie wywołane widokiem śpiącej jeszcze, tej jedynej:

*Śpisz jeszcze... Na twych rzęsach – skra drobna poranku
Strachy śnią się twojej dłoni – bo i drga i pała.
Oddychaj tak – bez końca. Czaruj – bez ustanku.
Kocham oddech twojej piersi, ruch śpiącego ciała.
Ileż lat już minęło od pierwszej pieszczoty?
Ile dni od ostatniej upływa niedoli?*

Nad ranem (Nc)

Myśmy długo na siebie czekali – napisze w wierszu Szczęście:

[...]
*Szczęście przyszło. Czemuż nam tak smutno,
Że przed jego blaskiem uchodzimy w cień?...
[...]
Jego bezmiar wszystko w sobie zmieści,
prócz mego lęku, oprócz twoich łez...*

(1937, Dz)

*Czemuśmy się zgodzili na brzemię pokory?
Na istnienia naszego – ból, krzywdę i strwon?
Czemuśmy nie wyryli choćby kreciej nory,
By dać szczęściu – kryjówkę i nocleg i schron?
*Prośba (1937, Dz)**

Poczucie winy, dyskomfort z zaistniałej sytuacji, niemożność jej racjonalnego rozwiązania, konieczność podwójnego życia, ukrywania związku z Dorą prześladowały Leśmiana do końca życia. Nawet jeśli stara się pisać o czymś innym, wraca nieusuwalny, zakodowany w podświadomości problem:

*Odrzuciłaś dłoń moją... [...]
A zawołał cię właśnie z pobliskiego łóża
Umierający brat.
Pobiegłaś i wróciłaś... Już nie żył... [...]
Szepnęłaś: „Odtąd należę tylko do ciebie” –*

*I w łzach załamał się głos.
 I nie patrząc ci w oczy, spytałem półgłosem:
 „Czy wiedział?...” Rzekłś: „Tak.”
 Za oknem, myśl o dalach wzniecając ukosem,
 Przemknął na zawsze – ptak.*

Brat⁵ (Nc)

Przejmujący, tekst dramat, z mistrzowsko wtopionymi ułamkami – w moim odczuciu autentycznego – dialogu, potęgującego klimat wiersza. Jeden z najlepszych tekstów Leśmiana. Nie przychodzi mi na myśl żaden poeta, który w dwunastu wersach zawarłby tyle dramatyzmu, tyle różnych, splecionych ze sobą znaczeń, takiego dramatu rozpisanego na kilka pięter, opowiedzianego w sposób najbardziej prosty, bezpośredni, rzuceniem, jakby od niechcenia, kilku niezbędnych słów. Szekspir, by oddać złożoność tej sytuacji, potrzebowałby pięćdziesięciu stron. W muzyce podobne stężenie uczuć można usłyszeć w *Legendzie* Henryka Wieniawskiego czy *V Symfonii* Ludwiga van Beethovena... Takich tekstów człowiek nie jest w stanie wymyślić, wykreować samym intelektem. Takie teksty przynosi życie. Wystarczy być czujnym, by je z życia wyłuskać i zapisać. Ale by je tak zapisać, trzeba mieć talent i wrażliwość Bolesława Leśmiana – absolutne mistrzostwo świata!

Nie wyczerpałem tematu wątków autobiograficznych w poezji autora *Łąki*, wybrałem jedynie te najbardziej interesujące. Z całą pewnością można je znaleźć w wielu innych tekstach, zwłaszcza z ostatniego tomu, wydanego pośmiertnie, choćby w wierszach *Do siostry*, [*Twój portret z lat dzieciennych...*], *...Tu jestem, w mrokach ziemi...*, *O zmierzchu*, *Niegdyś dom mój ochoczy i świat za dąbrową*. Rzecz wymagałaby jednak znacznie szerszego ujęcia.

Adam Wiesław Kulik

Tekst wygłoszony na sesji leśmianowskiej w Iłży

⁵ W jednym z trzech zachowanych listów poety do Dory z 26.12.1926 r. poeta wspomina brata Dory. Prof. Samborska-Kukuć sugeruje, że mógł nim być Adam Lebenthal, kupiec i przemysłowiec, w późniejszych latach dziennikarz.

Małgorzata Karolina Piekarska

Ukraińskie refleksje

W świecie Kisielowów, czyli wiersze „Oli”¹

Wśród książek, które miały ogromny wpływ na moją decyzję o zostaniu pisarką była powieść Wołodymyra Leontijowicza Kisielowa pt. *Pamiętnik Oli*², którą po raz pierwszy przeczytałam mając mniej więcej 10 lat. Właścicielką książki była moja sąsiadka Iwona. Jej egzemplarz powieści nie miał okładki, był też książką mocno zniszczoną, bo czytałyśmy ją wszystkie trzy: jej starsza siostra Grażyna, Iwona i ja, a także inne koleżanki z podwórka. Dopiero jako dorosła osoba dowiedziałam się, że w oryginale książka nazywa się *Dziewczynka i ptakolot*. Jednak najwyraźniej polski tłumacz uznał, że tytuł *Pamiętnik Oli* jest lepszy. Coś w tym było. W końcu do powieści przyciągnęło mnie słowo *Pamiętnik*, bo przecież sama wtedy coś takiego pisałam. Czy przyciągnąłby mnie *Ptakolot*? Nie wiem. Główna bohaterka – starsza ode mnie, bo czternastoletnia – czasem chce być chemikiem i wynalazcą samolotu (ptakolota), a czasem poetką. Przyjaźni się z drugorocznym Kołą.

Książka o niej, napisana w formie dziewczęcego pamiętnika, czyli z narratorem w pierwszej osobie, była dla mnie porywająca. To psychologiczna powieść dla młodzieży z wątkami sensacyjnymi, ale poruszająca też trudne problemy jak rozwód, przyjaźń itd. Być może dlatego, że też wówczas pisałam pamiętnik, utożsamiałam się z Olą. Choć sama byłam prozaikiem to jej poezja była dla mnie istotna. Nawet nie dlatego, że i mnie zdarzało się napisać wiersz, bo od czasu „poznania” Oli robiłam to przecież rzadziej, a to co napisałam wcześniej wyrzuciłam do śmietnika uznając za beznadziejne. Powód zaniechania zajmowania się poezją był prosty i miał związek z Olą. Jej wiersze wydawały mi się lepsze od tych, które ja pisałam. Z bólem stwierdzałam, że nie umiałam dogonić jej w poetyckim kunszcie. Niby podejrzewałam, że ich autorem może być autor powieści, ale odrzucałam tę myśl, bo *Pamiętnik Oli* wydawał mi się bardzo autentyczny. Po jego kolejnej lekturze przerzuciłam się na opowiadania i zawzięcie pisałam swój pamiętnik starając się rozpisać i wyrobić własny styl. W lekturze

¹ Tekst został opublikowany w Magazynie Literackim Książki nr 10/2021 (301).

² W oryginale: Володимира Леонтьовича Кисельова *Девочка и птицелёт*.

istotne dla mnie było to, że bohaterka pisze, zaś na swojej drodze spotyka dorosłego, który pomaga jej w publikacji własnej twórczości. Spotkanie jest przypadkowe i dziś w młodzieżowej powieści mogłoby nie przejść przez wewnętrzne niepisane cenzury, które często uznają pewne wątki za nieodpowiednie. W powieści bowiem dziewczynkę zaczepia na skwerze dziennikarz. Dziś uczy się młodzież nie reagowania na takie zaczepki ze strony obcych. Wtedy jednak marzyłam, by i mnie ktoś zaczepił i spytał o to, co tworzę, a potem to opublikował. Bo przecież to publikacja jest marzeniem każdego pisarza. Ola była też dla mnie swoistym przewodnikiem po literaturze. Dzięki niej poznałam nazwiska poetów, których jako dziesięciolatka nie znałam, jak np. Taras Szewczenko, którym Ola się zachwycała i perorowała o jego fenomenie, pisząc na jego temat wypracowanie. Pamiętam, że dopytywałam mamę kto to, ale mama, jako osoba, która spędzała okupację w Chełmie, odpowiadała niechętnie. Miała swoje demony i antyukraińską fobię pogłębianą doniesieniami z Wołynia.

Kiedy w 2019 roku pojechałam po raz pierwszy na konferencję kulturalno-artystyczno-naukową pt. *Dialog Dwóch Kultur* do Krzemieńca, miałam tam odczyt na temat swoich książek wydanych na Ukrainie, a przede wszystkim na temat podobieństw i różnic w ich odbiorze przez czytelników polskich i ukraińskich. Podobieństw jest wiele, a różnica właściwie tylko jedna. Czytelnik ukraiński nie jest zainteresowany topografią z moich powieści. Jest to dla niego kompletna abstrakcja. Ale... kończąc odczyt wyraziłam nadzieję, że może kiedyś się zainteresuje i tym. *W końcu ja, w swoim czasie, chodziłam po Bostonie śladami Polyanny Eleanor H. Potter. A do dziś moim marzeniem jest zobaczyć Kijów Oli z książki Володимира Леонтиївовича Кисельова Девочка и птицелёт* – zakończyłam wtedy swój wywód.

Jakież było moje zdumienie, gdy pojechawszy po dwuletniej przerwie po raz drugi na Ukrainę na Dialog Dwóch Kultur, otrzymałam od dr Natalii Łysenko z Ukraińskiej Akademii Nauk kupioną specjalnie dla mnie niewielką książeczkę pt. *Partytura na trzy głosy*. To napisana przez Michajłę Ślaboszpickiego opowieść o rodzinie Kisielowów. O Wołodymyrze, pisarzu i autorze *Pamiętnika Oli* (przetłumaczonego, jak się okazało, na wiele języków, w tym m.in. nawet na japoński), oraz o jego synach: Leonidzie – poecie i Siergieju – dziennikarzu. Wszyscy trzej już nie żyją. Wołodymyr zmarł w 1995 roku, Leonid w 1968, a Siergiej w 2006. Natalia powiedziała mi, że muszę tę książkę przeczytać, bo wiersze Oli, które mnie zachwycały, wpędziły w kompleksy i sprawiły, że postanowiłam skupić się

na prozie to... dziecinne wiersze Leonida. Dla mnie był to szok! Myślałam, że to wiersze dziewczynki, a tymczasem... autorem był chłopak. Być może gdzieś w stopce książki była na ten temat informacja, ale czy dzieci czytają stopki redakcyjne?

Urodzony w 1946 roku pierworodny syn Wołodymyra od małego interesował się poezją. Jak dowiedziałam się z książki Słaboszpickiego, był w niej doskonale rozczytany. Kochał m.in. Szewczenkę, Błoka, Pasternaka i Gumilewa, ale też Dantego, Szekspira, Rilkego oraz wielu innych poetów – także tych z Ameryki Łacińskiej. Czytając o tym, zrozumiałam czytanie Oli. Była po prostu męskim odpowiednikiem najstarszego syna autora młodzieżowej powieści.

Pierwowzór książkowej Oli, czyli Leonid, zmarł na białaczkę w wieku 22 lat. Chorował na nią od 16 roku życia. Podobno pierwsze leki przywieźli mu z Paryża polscy piloci, by ocalić, jak sami mówili „przyszłego Lermontowa, Puszkina czy Szewczenkę”. Leonid pisał wiersze i po ukraińsku, i po rosyjsku. Pierwsze utwory napisane po rosyjsku opublikował jako siedemnastolatek w moskiewskim piśmie „Nowy Mir”. W tym samym roku jego wiersze – ucznia dziesiątej klasy kijowskiej szkoły – ukazały się w magazynie „Tęcza”. Wśród nich był wiersz *Carowie*, w którym dziesiątoklasista pogardzał osobą cara Piotra I, niejako ironizując na temat tego, że nazywany jest Wielkim, a także odnosząc się do swojego ukochanego Szewczenki. Wiersz wywołał podobno sensację i w Kijowie, i Moskwie. Ówczesna rosyjska inteligencja i środowiska akademickie były tym wierszem po prostu oburzone. Leonid zamilkł i przestał publikować w rosyjskiej prasie. Kilka miesięcy przed śmiercią, na łamach pisma „Literacka Ukraina” ukazał się wybór jego poezji ukraińskojęzycznej. Książki z wierszami ukazały się dopiero pośmiertnie i były dwujęzyczne.

Czytając dziś historię Kisielowow stwierdzam, że byłam kompletnie nieświadoma znaczenia powieści Wołodymyra, choć doceniałam jej urok, bo przecież wracałam do niej wielokrotnie, schodząc piętro niżej do Iwony i Grażyny, by po raz kolejny pożyczyć od nich książkę bez okładki. Nie wiedziałam jednak nic o odwilży Chruszczowa, a książka powstała tuż po i opublikowana została po raz pierwszy w 1966 roku. Odbierałam ją jako powieść o dojrzewaniu i trudnych relacjach, szczególnie tych międzypokoleniowych w czasach tuż po wojnie. Była to dla mnie także, a może przede wszystkim, powieść o rozbitej rodzinie. Pamiętam, że zawsze biło mi serce, gdy czytałam fragment, w którym Ola słyszy przez ścianę, że przyszedł jej prawdziwy ojciec, a ona przecież od lat mówi „tato” do mamy męża, i to

jego traktuje jak tatę. Tego swojego nie pamięta. Bałam się, że może ten prawdziwy tata przychodzi ją odebrać temu tacie, z którym Ola bawi się w rymy. Z drugiej strony, jako córeczka swojego tatusia, przeżywałam, że prawdziwy ojciec Oli nie jest taki, jak być powinien. Narrator w pierwszej osobie miał tutaj ogromne znaczenie.

Dziś powieść odbierana jest bardziej genderowo, jako opisanie trudnych relacji z identyfikacją płci w Związku Radzieckim. Coś na pewno w tym jest. W końcu Ola ma męskie zainteresowania – to chemia, a także chęć bycia konstruktorem i twórcą samolotu. Zawarta w niej poezja nie jest analizowana, bo przecież znalazła się w dwóch wydanych pośmiertnie tomach wierszy Leonida.

I tak myślę, że minęło 40 lat, a ja spoglądałam na historię Oli, jak na przełomową powieść w moim życiu, ale zupełnie inaczej. Jak na powieść, która dokonuje kolejnego przełomu. A sprawiła to malutka książeczka z Ukrainy, podarowana mi przez ukraińską literaturoznawczynię, która dwa lata temu uważnie wysłuchiwała mojego referatu. Natalia uznała, że książka, która kiedyś zmieniła moje życie – może zrobić to nadal. Miała rację. Kolejny dzień pozbywam się dziecinnych kompleksów związanych z poezją. Po prostu jako dziesięciolatka próbowałam doścignąć wielkiego i ukształtowanego już poetę. Czy Stary Kisielow nie przesadził, czyniąc Olę geniuszem? Chociaż z drugiej strony... bohaterka powieści miała lat 14, zaś jego syn, gdy publikował pierwsze wiersze 17, a przecież to dziewczynki szybciej dojrzewają.

A Siergiej? Młodszy syn Wołodymyra i brat Leonia? Nic o nim nie napisałam. Cóż... to był rasowy dziennikarz, który jako jeden z pierwszych na Ukrainie napisał o zbrodni w Bykowni i o tym, kto za nią stoi. Ale to temat na felieton raczej nie o literaturze.

Kultura, literatura i język, czyli tożsamość³

Gdy wiele miesięcy temu publikowałam na łamach „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI” felieton o Kisielowach i mojej fascynacji nimi, nie myślałam, że za naszą wschodnią granicą wybuchnie wojna. Tymczasem 24 lutego wojska rosyjskie przekroczyły granice Ukrainy i rozpoczęły wojnę, którą nazwali zresztą specoperacją mającą na celu denazyfikację Ukrainy. Na Ukrainie bywam od 10 lat bardzo często i jeszcze nigdy nie spotkałam tam

³ Tekst został opublikowany w „Magazynie Literackim Książki” nr 4/2022 (307).

nazysty, ale wszyscy wiemy, że to pretekst i Putinowi chodzi o sferę wpływów. Nie o tym jednak chcę pisać, ale o ukraińskiej kulturze, literaturze i języku.

Trzy dni po wybuchu wojny pojechałam do katedry ukrainistyki na spotkanie z tamtejszymi studentami. Spotkanie, na które zaprosiła mnie prof. dr hab. Walentyna Sobol było umówione wcześniej. Miałam studentom ukrainistyki opowiadać o swoich powieściach, z których trzy ukazały się na Ukrainie po ukraińsku: *Klasa pani Czajki*, *LO-teria* i *Licencja na dorosłość*. *Klasa pani Czajki* trafiła tam nie tylko na listę bestsellerów, nie tylko miała 3 dodruki i teraz drugie wydanie, które znam tylko z sieci, bo egzemplarze już do mnie nie dotarły, ale też znalazła się na 2 miejscu na liście 20 najważniejszych powieści młodzieżowych przeznaczonych dla ukraińskich nastolatków. Na spotkaniu mówiłam jednak o czym innym. Między innymi o wspomnianych już Kisielowach, ale też tym, o czym wielokrotnie pisałam na swoim blogu, a więc o Rosji i jej kompleksach względem Ukrainy wynikających z faktu, że najpierw był Kijów a potem Moskwa. Przede wszystkim jednak mówiłam o Ukrainie, jej literaturze i języku. Mówiłam o tym, że rosyjski prezydent Władimir Putin rok temu napisał list do Ukraińców. Nazwał ich „oszukanymi Rosjanami”, a ich język dialektem, na koniec wreszcie odmówił prawa do istnienia, bo nie ma takiego narodu. Niepotrzebne jest więc takie państwo jak Ukraina. Co ciekawe, napisał to po ukraińsku. Czy napisał prawdę?

O tożsamości narodowej decydują język i kultura, a także historia. Ukraińcy to mają. Mają swoją historię starszą od historii Rosji wywodzącej się z Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Cóż... historia Ukrainy to historia Rusi, która zaczęła się na ziemiach dziś wchodzących w skład Ukrainy. Mają swoją literaturę. Mają swoją kulturę. Mają swoją historię, także historię walk niepodległościowych, których przedstawicielem jest dla mnie na przykład Symon Petlura. Dlatego te słowa Putina o „oszukanach Rosjanach” i „ukraińskim dialekcie języka rosyjskiego” to nie jest więc coś, co sprawi, że Ukraina się podda. Wręcz przeciwnie. Kraj, który po kilkuset latach od podbicia jej przez Wielkie Księstwo Moskiewskie, ma ponownie od niespełna 30 upragnioną niepodległość, tak łatwo jej nie odda. Przecież *Powieść minionych lat*, czyli staroruski latopis opisuje dzieje państwa ruskiego od czasów najdawniejszych i stanowi podstawowe źródło do poznania historii Rusi Kijowskiej, czyli pramatki dzisiejszej Ukrainy.

A jak to jest z tym ukraińskim językiem? Stamtąd mam i męża, i synową, więc dawno temu podjęłam próby nauczania się ukraińskiego. Gdy

znajomi mnie pytają, czy było to trudne, zawsze odpowiadam, że nie. Dlaczego? Otóż 75% wyrazów jest podobnych do tych w języku polskim. Niektórzy językoznawcy twierdzą zresztą, że gdyby zamiast cyrylicą zapisywać ukraiński alfabetem łacińskim przypominałby... słowacki.

Czy jest to więc dialekt rosyjski? Przyjrzyjmy mu się bliżej, patrząc na nazwy miesięcy. Gdy uczyłam się ukraińskiego, moja nauczycielka ostro walczyła z rusycyzmami w moim ukraińskim, więc starałam się pilnować i pilnuję do dziś. Żadnego „janwarja” – tylko „siczeń”. „Fiewrałja” też nie ma. Tylko „ljuty”. Mój mąż, który jest aktorem, kończył w Kijowie Akademię Teatralną im. Iwana Karpenki-Karego. To był ukraiński dramatopisarz. Niestety, nic z jego twórczości nie zostało nigdy przetłumaczone na polski. By więc poznać twórczość patrona mężowskiej szkoły, musiałam sięgnąć po ukraińskie oryginały. Skąd je wziąć? Okazja nadarzyła się dość szybko. Podczas jednej z wizyt na Ukrainie znalazłam u ulicznego handlarza wydany jeszcze w latach 80. tom dramatów, który w przeliczeniu na polskie pieniądze kosztował niecałą złotówkę. Karpenko-Karyj porwał mnie swoim humorem. Gdybym miała go do kogoś porównywać, to mamy tu do czynienia z mieszaniną Moliera, Aleksandra Fredry i Gabrieli Zapolskiej. Pyszne typy ludzkie, wspaniałe dialogi, wartka akcja i humor. Szybko jednak zwróciłam uwagę, że u niego nazwy miesięcy to... „janwar” i „fiewrał”, więc spytałam o to moją nauczycielkę. Wyjaśniła mi, że ukraiński język literacki kształtował się przez cały XIX wiek. A ponieważ ów język literacki tworzyli ludzie wykształceni, znający też inne języki, więc czasem wrzucali do niego obce słowa niczym w naszej staropolskiej literaturze nasz Jan Andrzej Morsztyn makaronizmy. Prawdłowo jednak mamy „siczeń” i „ljuty”. A czym jest „janwar” w rosyjskim, jak nie odpowiednikiem „januarego”, a więc pochodzącym z łaciny określeniem miesiąca posiadającego nazwę od boga Janusa? Nie jest to przecież rosyjskie słowo. A skąd nasze słowo „styczeń” bądź ukraińskie „siczeń”? Skąd nasz „kwiecień” i ukraiński „kwiteń” zamiast „aprila”? Rusz głową Polaku i sam odpowiedz sobie na pytanie, czy ukraiński to rosyjski dialekt, czy może jednak język, i to na dodatek bardziej podobny do polskiego.

Żeby było zupełnie ciekawie, już po napadzie Rosji na Ukrainę nasza rodzima Polona, czyli Polska Biblioteka Cyfrowa, dodała do swoich wirtualnych zbiorów sporo książek zarówno ukraińskojęzycznych, jak i polskich o Ukrainie lub tłumaczeń z ukraińskiego. Wśród nich między innymi pochodzące z 1913 roku wydanie *Wierszy* Tarasa Szewczenki autorstwa ukraińskiego poety Sydira Twerdochliba, które ukazało się w ramach Biblioteki

„Syna Ukrainy”. Oprócz tego ukraińskojęzyczne *Bajki* Leonida Hlibowa wydane w 1903 roku we Lwowie i inny ich wybór, również po ukraińsku, pochodzący z 1944 roku, a wydany i we Lwowie, i w Krakowie. Polona dorzuciła też pozycję jedną z ciekawszych z punktu widzenia języka i badań językoznawczych. To wydany w 1910 roku w Stanisławowie śpiewnik napisany łacinką i zatytułowany *Szcze ne wmerła Ukraina. Piśni patriotyczni i narodni. Złożyw na Fortepian Denys Siczyński*. W środku 152 pieśni, których teksty zapisane są po ukraińsku, ale z wykorzystaniem alfabetu łacińskiego.

Cóż... już na początku XIX wieku pojawiały się próby przejścia ukraińskiego na alfabet łaciński. Pierwszym, który zebrał to w całość, był ukraiński językoznawca Josyp Łozynskij, pisząc w 1834 roku artykuł *O wprowadzeniu abecadła polskiego do piśmiennictwa ruskiego*. On też opracował w języku polskim gramatykę języka ruskiego, choć jego opracowanie pozostało w rękopisie, gdyż przeciwko alfabetowi łacińskiemu protestowali prekursorzy literatury ukraińskiej. Čwierć wieku później czeski sławista Josef Jireček stworzył projekt oparty na ortografii czeskiej z zapożyczeniem z języka polskiego głosek nieobecnych w języku czeskim (ć, ń, ś, ź). Jednak i ten pomysł nie spotkał się z aprobatą. Później, w latach 20., gdy Ukraina była republiką radziecką, znów pojawił się pomysł wprowadzenia alfabetu łacińskiego, ale ostatecznie upadł. Również i współcześnie pojawiają się propozycje przejścia z cyrylicy na łacinkę. Nawet teraz, po wybuchu wojny, kilkakrotnie spotkałam się ze stwierdzeniami, że dla Ukrainy byłoby to dobre, gdyż stanowiłoby ostateczne odcięcie się od wpływów rosyjskich. Czy rzeczywiście wojna spowoduje zmianę alfabetu? Któż dziś odpowie na to pytanie?

Natomiast jedno jest pewne. Za naszą wschodnią granicą przez lata kwitła rodzima kultura, rozwijał się język literacki, a także literatura. Ta ostatnia nabrała rozpędu przez ostatnie 30 lat. Do polskich czytelników trafiły więc książki Oksany Zabuzko (kiedyś dla TVP robiłam z nią wywiad), Jurija Andruchowycza czy Serhija Żadana. Ten ostatni jest autorem przejmującej powieści *Internat*, której akcja dzieje się w Donbasie podczas trzech zimowych dni 2015 roku. Jej bohaterem jest 35-letni Pasza – nauczyciel języka ukraińskiego, który jedzie do miasta, by odebrać mieszkającego w szkole z internatem siostrzeńca. Nie jest to dobry czas na taką podróż, gdyż ukraińska armia właśnie opuszcza otoczone przez separatystów miasto.

Obecna wojna, jak bardzo koszmarnie by to nie zabrzmiało, z pewnością przyniesie nowe książki. Zwłaszcza, że ukraińscy pisarze nie próżnują. Wiersze powstają na gorąco. Przejmujące i bolące. Proza powstaje dłużej, ale... autorzy już zbierają tematy, biorąc udział w walce lub pomagając żołnierzom. Serhij Żadan już teraz zapowiedział napisanie powieści o wolontariuszach. Sam czynnie wspiera walczących rodaków. Do pisarzy spoza Ukrainy przysłał apel z prośbą o wsparcie. Napisał w nim m.in. „Potrzeb jest naprawdę bardzo dużo, nie potrafię określić, jaka z nich jest ważniejsza mniej lub bardziej. Kupno powerbanku dla żołnierza na linii frontu czy butelki mleka dla babci, którą ten żołnierz chroni? Sami ustalcie priorytety, ja tylko powiem, że pracuję z różnymi grupami wolontariuszy, a otrzymane od was środki (...) wydaję na bardzo różne rzeczy – wczoraj na przykład dałem 20 000 na samochód dla bojowników oraz 10 000 na żywność dla cywilów. Na jutro również mamy mnóstwo zamówień. Bardzo chcę, byście mnie usłyszeli – większość tych zamówień i potrzeb pojawia się nie dlatego, że «państwo nic nie robi» – tylko dlatego, że państwo nigdy wcześniej nie stanęło przed takimi wyzwaniami i dlatego potrzebuje naszej pomocy. Jeśli państwo będzie uratowane – wszystko odzyskamy (...) Szczegółowego sprawozdania z fakturami nie będzie (...) Ale potem napiszę dla was powieść o wolontariuszach”.⁴

A czytelnicy czekają. I wiedzą jedno: im prędzej skończy się wojna i Ukraina odzyska swój kraj, tym szybciej Serhij napisze zapowiedzianą powieść. A tym samym po raz kolejny pokaże, czym jest ukraińska tożsamość. Pokaże to kulturą, językiem i literaturą, autorstwa ukraińskiego pisarza, który już raz został doceniony Nagrodą Literacką Europy Środkowej Angelus.

Małgorzata Karolina Piekarska

⁴ Fragmenty apelu opublikowanego na stronie internetowej w moim tłumaczeniu.

Janusz Andrzejczak

Dwie książki, czyli o Pewności i o Nadziei

Jerzy Binkowski: Ave. Książnica Podlaska, Białystok 2022, s. 125

Ta książka, w tych czasach, to cud. Samo jej wydanie, w publicznej instytucji, książki od alfy po omegę religijnej, na wskroś chrześcijańskiej, katolickiej, jest cudem. Wiem, że zgłoszono się do Jurka z propozycją wydania jej, a on postawił warunek: „Albo to będzie książka religijna, albo rezygnuję”. Może sobie ktoś w tych czasach wyobrazić takie dictum?! Nie płaci za nią ani przejechanego przez tramwaj grosika i jeszcze ma wymagania!

Ma za to mój ukłon, podziw.

Ma ukłon i podziw także i za zawartość, za treść, czyli – za zamieszczone w książce (według pewnego liturgicznego porządku?) wiersze. Od czasów Herberta nie czytałem wierszy tak PIĘKNIE rozumiejących antyk, tak nim nasyconych! W trakcie czytania łapałem się na wrażeniach, że wcale nie czytam, tylko słyszę, chłonę, widzę, smakuję... Ale by się prawdziwie przekonać co to za poezja, trzeba Jurka usłyszeć, a najlepiej i widzieć! Do tego jeszcze – z Bachem, na fortepianie, w wykonaniu Marii Skurjat-Silvy...

22 marca 2022 roku, na promocyjnej Środzie Literackiej w Książnicy Podlaskiej, pomiędzy Jurkiem: jego wierszami, jego głosem, pomiędzy cudnie grającą Bacha Marią Skuriat-Silva i widzami, przechadzał się niewidzialny, uśmiechnięty...

Jezus.

W tej książce – wszystko jest o Nim.

Także i wtedy, gdy wspomina Jurek o swoich rodzicach, gdy kocha być Polakiem.

W tych straszliwie trudnych czasach, Wiara daje Nadzieję.

To kolejny cud, że także dzięki jego talentowi –
daje PEWNOŚĆ.



Aleksander Nalaskowski: *Bankructwo polskiej inteligencji*. Biały Kruk, Kraków 2022, s. 247

Książka profesora wciąga jak wir w rzece. Rzeka jest głęboka, z wodorostami na dnie. W końcu uwolni cię, w końcu wypłyniesz na powierzchnię, ale zanim pójdziesz sobie dalej, zanim pościgas z siebie sploty podwodnych roślin, zdążą one na tobie wyschnąć. Pójdziesz dalej z nimi, licząc na to, że same się wykruszą, wypalą w słońcu. Ale gdzie tam! Rzeczywistość nieustannie coś do ciebie przykleja. Jestem zły na to, że ktoś taki, jak Aleksander Nalaskowski, zamiast pisać o edukacji, o filozofii, o matematyce, a choćby i o swoich podróżach, musi, no po prostu – MUSI napisać taką książkę! Musi, bo jest wojownikiem i nie umie nie reagować na realia, gdy ktoś paskudzi ten piękny boży świat. Niestety, ma o czym pisać. Nie będę tu wyszczególniał o czym, bo jestem tuż po przeczytaniu tej książki i wciąż wyskubuję z siebie pozostałości z wciągnięcia się w jej wir. Gdyby na jego końcu były tylko wodorosty, bez trudności dałbym sobie z nimi radę, ale przykleiły się do mnie różne nieczystości, które zli i głupi ludzie wrzucają do rzeki. Te śmieci noszę na sobie. Nazwał je autor: „bankructwem polskiej Inteligencji”.

Olek jest wierzący, więc nie popada w rozpacz. Daje z trudem zauważalną nadzieję.

NADZIEJĘ.

Bez PEWNOŚCI.

Rafał Lasota

Entliczek pentliczek

czyli zaproszenie na szubienicę

Nadanie imienia szpitalowi, jednostce wojskowej, czy placówce oświatowej – jest ważnym wydarzeniem dla osób skupionych wokół instytucji i zaangażowanych w budowanie własnej tożsamości. Patron to wizytówka, identyfikacja, czasami także splendor. Pamiętam z młodych lat, gdy moi rówieśnicy szykujący się do egzaminów licealnych powtarzali: ja, idę do „królówki” – (LO im. Królowej Jadwigi w Warszawie) ja idę do Władka (LO im. Króla Władysława IV), podobnie wymieniana była Hoffmanowa, Batory czy Staszic. Giełda nazwisk patronów, odmienianych przez wszystkie przypadki, trwała w najlepsze i zapewne jest tak do dzisiaj. Jakie warunki powinien spełniać dobry patron i jak go określić, wyrysować, zmaterializować? Parafrazując w tym miejscu niezastąpionego Sienkiewicza, który ustami Rocha Kowalskiego mówił: „wuj to... Wuj”, powiem „patron to ... Patron”.

Najlepiej, jeśli przyszły patron będzie nieskazitelny, krystaliczny – słowem, będzie to chodzący ideał! Na samym patronie oczekiwania wobec jego osoby większego wrażenia nie zrobią. Kandydat na patrona opinie na swój temat ma za nic, bowiem tylko nielicznym osobom nominacja patronacka przytrafia się za życia.

Patron musi być kimś szczególnym, ba – musi być kimś szczególniejszym niż inni patroni lub patronowie, jak kto woli (obydwie formy dopuszczalne). Patron powinien wspierać ubogich – co prawda zupełnie nie wiem, z jakiej przyczyny ma to robić! Wychodzę z założenia, że jeśli ubogi weźmie się do pracy, zamiast czekać na wsparcie, to wyjdzie mu na zdrowie – a patron zajmie się czymś bardziej pożytecznym.

Patron powinien być miłosierny, albo powinien być bohaterem. W przypadku naszego kochanego kraju najlepiej byłoby, gdyby przyszły patron/bohater poległ gdzieś pośród powoi, burzanów i barszczu Sosnowskiego, w samotnym stepie. Niech w baśniowej poświacie zachodzącego słońca romantycznie rozdziobią go kruki i wrony, niech rozwłóczą jego

wnętrznosci, a on ostatkiem sił wyrzyczy, że właśnie przed chwilą zginął za sprawę. Dla samego patrona także byłoby lepiej, gdyby jako bohater zginął z bronią w ręku. Smutna prawda – być bohaterem w Polsce i jednocześnie żyć w tym kraju po prostu się nie da.

Kończąc wszystkie wyliczanki, dobrze byłoby, gdyby patron – jako osoba lepsza, idealniejsza, godniejsza jeszcze za życia, przysposobiłby się do przyszłej misji patronackiej poprzez objawy świętości. Najlepiej niechby przyszedł patron od niemowlęstwa żywił się bożą manną, ambrozją i nektarem. Dieta najlepiej zaświadczy o jego boskości. Wystarczy spojrzeć na Instagram czy Facebook. Każdy celebryta – a przecież nasz patron to także celebryta – jest na diecie. Jak w takim razie idealny patron, brnący przez swe idealne życie, mógłby obrzydliwie zeżreć na obiad schabowego z kapuchą? Najwyżej chleb i woda – to jeszcze ujdzie. Po tym wstępie uznajmy, że patron z grubsza jest określony i możemy go sobie nadawać.

Ktoregoś dnia otrzymałem do sprawdzenia tekst. Brzmiał on tak:

20 stycznia przedszkole z miasta „X” otrzymało imię „Entliczek Pentliczek”. Dzieci zaśpiewały hymn przedszkola pt. „Entliczek Pentliczek”, a następnie odbył się występ zakończony polonezem. Gratulujemy całej społeczności przedszkola imienia, które zostało wybrane przez dzieci, radę rodziców i grono pedagogiczne w wewnętrznym konkursie na nazwę placówki.

Po wstępnej lekturze jakże zajmującego powyższego tekstu poczułem się zainspirowany. Skoro przedszkole otrzymało imię, to taka osoba musi istnieć! Odpaliłem wujka Google’a, aby sprawdzić, jak wygląda ów Entliczek Pentliczek – bo przyznać się muszę – nie znam człowieka!

„Od małoletniości” – jak mawiał Kargul, bohater filmu *Sami swoi* – osłuchany byłem z wierszem Jana Brzechwy *Entliczek Pentliczek, czerwony stoliczek*. Nie miałem jednak bladego pojęcia, że ten Pentliczek to jakiś facet jest! Moje internetowe śledztwo niestety nie przyniosło rezultatu. Po bezowocnych poszukiwaniach Entliczka w necie, zadzwoniłem do autorki przesłanego do korekty tekstu. Po drugiej stronie słuchawki odezwała się miła kobieta.

– Mam do pani pytanie, czy podczas nadania imienia dla przedszkola patron był obecny na miejscu?

– Słucham? – zapytała zdziwiona.

– No, pytam, czy pan lub pani Entliczek, której/którego imieniem nazwano przedszkole był/była na miejscu?

Kobieta odłożyła słuchawkę, a ja uznałem, że patron Entliczek na uroczystość zwyczajnie nie przyszedł. Zacząłem szukać dalej. W spisie imion

polских ani Entliczek, ani Pentliczek nie występuje. W bazie nazwisk PESEL ani Entliczka, ani Pentliczka, ani tym bardziej Entliczka Pentliczka także nie było.

Zrażony niepowodzeniem, zacząłem dla rozrywki grzebać w necie. Uwagę moją przykuła strona WWW: *Katostwo Nyskie*. W pierwszej chwili pytanie: „co ma kat z Nysy do Entliczka Pentliczka?” nie przyniosło jasnej odpowiedzi. Nauczony doświadczeniem, że ciekawe materiały można znaleźć w najmniej oczywistych miejscach, postanowiłem pójść tym tropem. Pamiętam, że pisząc powieść o czarowniku Twardowskim (*Zwierciadło Mistrza* cz. I oraz *Czarownik Twardowski Pakt z Diabłem* cz. 2) najbardziej niesamowite historie odnajdowałem wśród starych pamiętników, dokumentów parafialnych, miejscowych podań czy w księgach grodzkich. Postanowiłem sprawdzić trop i muszę przyznać, że było warto.

Na katowskiej stronie znalazłem materiał pt. *Entliczek Pentliczek. O dawnej wyliczance inkwizytora Jana Kapistrano*.

Muszę przyznać, że opis zawarty na stronie był, jak dzisiaj można powiedzieć – mocny. Pan Kapistrano (oryginalna pisownia Giovanni da Capistrano) był papieskim inkwizytorem, działającym na terenach Europy Wschodniej w latach 1386-1456.

Kapistrano – dzisiaj święty Kościoła katolickiego, patron prawników, ma swoje miejsca kultu w wielu kościołach franciszkańskich, posiada także sporych rozmiarów ołtarz w krakowskim kościele ojców Bernardynów. Kapistrano wysyłany był przez papieża do walki z herezją i kacerstwem. W czasach swojej świetności mnich musiał budzić lęk wśród odstępców od wiary, ponieważ nazywano go Świętym Żołnierzem lub Biczem na Hebrajczyków. W 1454 roku Kapistrano organizował krucjatę przeciw Turkom, a niespełna rok wcześniej odwiedził Polskę, gdzie niestety został dobrze zapamiętany. W 1453 roku pod wpływem kazań głoszonych przez inkwizytora, wybuchły we Wrocławiu zamieszki na tle religijnym. Inkwizytor był człowiekiem znanym w Europie z obsesyjnego przywiązania do wiary. Wielokrotnie jako „święty rycerz” wyruszał na Sycylię, Morawy, do Mołdawii, Francji, Austrii czy Czech, w celu tępienia husytów i wszystkich odstępców od wiary. W 1453 roku w trakcie wrocławskich zamieszek Kapistrano jako przewodniczący sądu inkwizycyjnego, miał osobiście wysłać na poćwiartowanie żywcem 14 Żydów, a kolejnych 27 skazać na spalenie na stosie.

Ile prawdy jest w tym przekazie? Warto samodzielnie ocenić. Istnieje kilka źródeł powszechnie dostępnych¹, które potwierdzają te wydarzenia.

Współcześnie można usłyszeć głosy, związane z zakonem Dominikanów, że podobne wydarzenia na terenie Wrocławia nigdy się nie wydarzyły. Trzeba jednak pamiętać, że od kilkunastu lat trwa w Kościele katolickim wybielanie czasów inkwizycji. Kilka lat temu gruchnęła wieść o niewinności papieża w procesie Templariuszy. Okazało się, że cudownym zrządzeniem losu po blisko 700 latach odnaleziono w legendarnych archiwach Watykanu list papieża Klemensa, w którym uniewinnia on zakon Templariuszy od zarzutu herezji. Szkoda tylko, że ten sam papież wcześniej ochoczo wyklął zakon, spełniając wolę króla Filipa Pięknego. Stosy inkwizycji płonęły w całej Europie, w Polsce także. Dzisiaj z perspektywy wieków niestety nie ma znaczenia, czy jako żywe pochodnie, zamęczone przez kościelne sądy, spłonęło milion ofiar, czy tylko jedna niewinna osoba! Ważne, że miało to miejsce!

Nawiązując jednak do zakonu Dominikanów – zwanych w średnio-wieczu Psami Pańskimi – jako inkwizytorzy wysyłali na stosy setki tysięcy osób w całej Europie. Co ciekawe, do dzisiaj pełny spis inkwizytorów działających na terenie Polski w latach 1300-1660 – nie jest dostępny dla przeciętnego czytelnika.

Wróćmy jednak do Entliczka Pentliczka. Jak to brzmiało...

Entliczek pentliczek – i dalej – czerwony stoliczek...

Inkwizycyjne stoły zawsze splamione były krwią ofiar lub okrywano je czerwonym suknem.

Wyliczam zatem raz jeszcze:

Entliczek pentliczek, czerwony stoliczek,

Na kogo wypadnie, temu głowa spadnie...

– podobno tak brzmiały pierwotne słowa wyliczanki.

Co mogło oznaczać wyrażenie „entliczek pentliczek”? W czasach inkwizytora Kapistrano duchowieństwo powszechnie używało łaciny oraz języka niemieckiego. Można założyć, że entliczek pentliczek to zasymilowane i zaadoptowane do języka polskiego powiedzenie, występujące w łacinie lub języku niemieckim. Skąd taki wniosek? Rozwój języka oraz chęć adaptacji

¹ Nicolaus de Fara: *Vita clarissimi viri fratri Joannis de Capistrano*, w: „Acta sanctorum”, t. 10, cz. 58. Bruksela 1861, s. 467; za: Joanna Tokarska-Bakir: *Legends o krwi*. Warszawa: WAB, 2008, s. 110-112. Nicolaus de Fara: *Vita clarissimi viri fratri Joannis de Capistrano*, w: „Acta sanctorum”, t. 10, cz. 58. Bruksela 1861, s. 467; za: Joanna Tokarska-Bakir: *Legends o krwi*. Warszawa: WAB, 2008, s. 110-112. Ryszard Kiersnowski: *Życie codzienne na Śląsku w wiekach średnich*. PIW, Warszawa 1977 str. 156-162.

obcych wpływów jest wykładnią pozycji danego narodu. Jeśli społeczność jest silna i zasobna, język przez nią używany staje się dominujący. Dzieje się tak obecnie np. z językiem angielskim, w przyszłości być może będzie to chiński. W dawnych czasach rolę języka uniwersalnego pełniła łacina (mowa używana na terenie Cesarstwa Rzymskiego) lub mowa germańska. Polska, niestety, nigdy nie była na tyle mocnym narodem, aby wyrazy z naszego języka były przyswajane przez inne nacje. Za to jako naród zawsze byliśmy bardzo twórczy w wyśmiewaniu cudzoziemców. Samo określenie *Niemiec* – było wystarczająco obraźliwe, ponieważ sugerowało, że człowiek będący Niemcem jest zwyczajnie niemy lub chory, ponieważ nie potrafi porozumiewać się w naszej mowie. Podobnie było ze słowem *kozak* – czyli zwyczajny syn kozy, także wyraz *franca* (dawne określenie syfilisu) – wzięł swój początek od *Francuza*. A jeśli przy Francji jesteśmy... Wystarczy nawiązać do nieco późniejszej epoki napoleońskiej. Znane określenie *kurdupel*, nadane cesarzowi przez naszych żołnierzy – wzięło się właśnie z asymilacji językowej. Wpatrzeni w cesarza francuscy gwardziści, nazywali wodza *coeur de peuple* (serce ludu, wym. koerdepoēpl).

Słyszając to niezrozumiałe określenie, twórczy polski Maciej razem z Ignacym z Legionów Dąbrowskiego, zniechęceni klęskami cesarza w Hiszpanii i Rosji, nazwali wielkiego Bonapartego kurduplem.

Podobne przykłady asymilacji językowych występują znacznie wcześniej, jeszcze w czasach słowiańskich. Dzisiejszy wyraz *pieniądz* przywędrował z Niemiec. Niemiecki *pfening* z biegiem lat zmieniał się w starosłowiański *peněz*, aby w końcu przyjąć dzisiejszą formę *pieniądz*. Podobnie było z określeniem władcy, niemiecki *konig* przekształcił się w słowiański *kuněz*, następnie zastąpił go wyraz *kneź* lub *kńeź*, aż do obecnego *króla*. Aby daleko nie szukać, wystarczy przytoczyć zapis nazwiska samego inkwizytora – włoski *Giovanni da Capestrano* został spolszczony do formy *Jan Kapistran*.

A co dalej z entliczkiem pentliczkiem? Przedrostek *ent-* w wyrazie *entliczek* w języku polskim występuje w słowach obcych przyjętych do języka polskiego jak np. *entomologia*, *entropia*, *entreprzyza*. Końcowa, zdrabniająca część wyrazu brzmi nieco bardziej swojsko *-liczek*. Jednak to połączenie tylko potwierdza regułę. Są przecież wyrazy takie jak: *alkoholiczek*, *koraliczek*, *knedliczek* itd. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że alkohol, koral, czy knedel – także nie mają polskiego rodowodu.

Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że „entliczek” został zaczerpnięty z języka niemieckiego – w którym wyrazów, rozpoczynających

się od przedrostka *ent-* jest znakomicie więcej niż w łacinie. Najbardziej zbliżonym brzmieniowo jest niemiecki wyraz „entlich” (publiczny, wym. entliś). Podobnie rzecz się miała z „pentliczkiem” – pisownia tego wyrazu, gdyby był on pochodzenia polskiego, niewątpliwie wyglądałaby zupełnie inaczej. Zamiast połączenia dwudźwięku „en” w wyrazie *pentliczek* wystąpiłaby zamiana na samogłoskę nosową „ę” – pętliczek.

Łaciński wyraz *penitenza* (pokuta) – może wypełniać brakującą lukę w znaczeniu *pentliczka*. Czy tak było? Bardzo prawdopodobne. Inkwizytorzy zawsze namawiali ofiary do pokuty. *Entliche penitenza* – czyli publiczna pokuta, była drogą do wybawienia przed piekłem. Wina wyznana publicznie przez skazanego nie zwalniała od kary, jaką był stos, ale pozostawała tryumfem wiary nad błędzącą duszą.

Jak teraz wygląda niepozorny *entliczek pentliczek*? Przyznam, że dość blado...

Szanowny panie Janie Brzechwa, a właściwie panie Janie Lesman – patronie szkół, przedszkoli, domów kultury. Zastanawiam się, czy tym wierzę nie zakpiłeś z nas trochę. Ciekawe, czy przez przypadek, czy może z premedytacją wplotłeś wyliczankę krwawego inkwizytora do dziecięcej bajki, dając jej wieczne życie.

Rafał Lasota

Alicja Patey-Grabowska

Moje refleksje o książce Kazimierza Świegockiego *Mickiewicz egzystencjalny*

Książka Kazimierza Świegockiego *Mickiewicz egzystencjalny*¹ to nie jeszcze jedna dysertacja naukowa o naszym wieszczu, ale zupełnie oryginalne, indywidualne spojrzenie na twórczość wielkiego poety. Szczególnie na *Sonety Krymskie*, którym autor poświęcił wnikliwą analizę, spoglądając jakby przez lupę na każdy wers, słowo, ukrytą symbolikę.

Miedzy innymi interpretacje sonetów *Cisza morska*, *Burza* czy *Żeglarz* są absolutnie nowatorskie. Odkrywcze jest ukazanie paralelności tekstu z muzyką z IX i VII symfonii Beethovena, czy z II sonatą b-mol Chopina w *Burzy*. Takie wniknięcie w materię wiersza uzasadnia stwierdzenie, że dobra poezja i muzyka są ze sobą nierozłącznie splecione.

Liczne uwagi filozoficzne zahaczające często o katastroficzną determinację, jakże aktualną w obecnych czasach relatywizujących wszystko, zmuszają do głębokiej refleksji, np.: „Moce te są niszczące dla człowieka. Idzie do niego zagłada, a on nie ma się do kogo czy do czego odwołać w dochodzeniu swoich racji” – stwierdza autor w interpretacji sonetu *Burza*, zwracając jednocześnie uwagę na elementy antropomorfizujące, tak bardzo zresztą liczne w twórczości Mickiewicza. Na przykład woda porównana została do narzeczonej marzącej o szczęściu (*Cisza morska*). „Po chwili marzenia zanurza się znowu w sen, jakby owo marzenie było daremne, a jedynie sen miał moc uszczęśliwiania lub przynajmniej chronienia przed jakimiś przeciwnościami”. I dalej autor konkluduje: „Już tutaj zatem widzimy zapowiedź jakiegoś rozdzwieku między ludzkimi marzeniami a naturą rzeczywistości, w którą człowiek jest wpisany”.

Ciekawe jest studium samotności w sonecie *Żeglarz*, zahaczające o metafizykę i ontologiczno-eschatologiczne dociekania. Ten sam motyw samotności występuje również w innych sonetach, na przykład w *Burzy*: „Niektórzy żegnając się z życiem padają w objęcia przyjaciół, aby zmniejszyć

¹ Kazimierz Świegocki, *Mickiewicz egzystencjalny*, Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Warszawa 2021, s. 286.

grozę niechybnego unicestwienia. Najgorsza bowiem śmierć to ta, która dokonuje się w całkowitej samotności (...). Samotność człowieka wobec świata świadczy też dowodnie, że prawdziwa wolność nie jest jego domeną, a jedynie złudnym pragnieniem”.

Absolutnie nowatorskie jest dostrzeżenie różnicy w filozoficzno-biblijnym przedstawieniu obrazów i narracji w *Panu Tadeuszu* i w *Wielkiej Improwizacji* w kończącym książkę eseju *Bunt i pokora*. Są to dwa skrzydła poezji Adama Mickiewicza. Kazimierz Świągocki dopatruje się w *Panu Tadeuszu* pokory – i wyjaśnia: „Słowo to przywodzi na myśl naukę ewangeliczną o konieczności ukorzenia się przed Bogiem. (...) *Pan Tadeusz* nie zawiera treści teologicznych ani teologiczno-moralnych, przeto i o pokorze w sensie religijnym mówić tu nie sposób, ale z pewnością można mówić o pokorze w nim wobec świata. Wyraża się ona najpełniej w fascynujących opisach przyrody”. Opisy te, zdaniem Świągockiego, zdają się ujawniać metafizyczny ład i kosmiczny porządek, w którym bytuje człowiek. A więc świata godnego pokory i wdzięczności ze strony jego mieszkańca – człowieka.

Natomiast radykalnie różne treści przynosi interpretacja *Wielkiej Improwizacji*. W niej autor widzi człowieka w stanie buntu wobec świata, będącego dziełem Boga. A zatem i buntu wobec samego Boga, który stworzył jakoby niedoskonały świat, w którym bytuje zło. Konrad – bohater tego arcymonologu – zarzuca Bogu m.in. brak miłości do człowieka, nieczułość wobec dramatu istnienia. Jest to bunt metafizyczny – człowiek pragnie poprawiać samego Boga i zająć Jego miejsce.

Słusznie więc pisze Świągocki, że *Pan Tadeusz* i *Dziady* (ściślej: *Wielka Improwizacja*) to dzieła względem siebie antytetyczne, ale tworzące niejako dwa skrzydła poezji Mickiewicza.

Autor książki *Mickiewicz egzystencjalny* prawdopodobnie pierwszy zwrócił uwagę na wiersze sztambuchowe Wieszcza, często pomijane przez literaturoznawców jako rzekomo niższego lotu. A przecież to cieszące urodą słowa, zadziwiające ładunkiem ekspresji i głębokich niekiedy treści egzystencjalnych. Kazimierz Świągocki określił oryginalnie również talent translatorski Wieszcza, traktując jego przekłady jako dzieła o charakterze jego własnej poezji, a więc nie tyle odtwórcze, co twórcze i jakby własne.

Reasumując, nie sposób w krótkiej i w związku z tym dość powierzchownej refleksji ująć wszystkie aspekty interpretacji utworów Adama Mickiewicza dokonanej przez uznanego poetę i filozofa. Ale chyba już tych kilka przykładów ukazuje wagę i nowatorstwo dokonań badawczych

Kazimierza Świągockiego, jego zupełnie inne i bardziej pogłębione spojrzenie na twórczość Narodowego Wieszczu.

Najogólniej można określić metodę Świągockiego jako lekturę egzystencjalno-filozoficzną. Według jej zasad powstał swoisty „traktat interpretacyjny”, który w znacznym stopniu robi wrażenie dialogu dwóch poetów rozważających fundamentalne kwestie ludzkiego losu. Świągocki uchodzi w oczach krytyki akademickiej za poetę „najoczywiściej metafizycznego” (tak go określił Leszek Kołakowski). Na temat jego poezji powstało kilkadziesiąt prac naukowych pomieszczonych głównie w dwóch obszernych monografiach o znamienitych tytułach: *Poezja i egzystencja* (wyd. Akademia Podlaska, Siedlce 1999) oraz *Egzystencja, metafizyka i kultura w piśarstwie Kazimierza Świągockiego* (wyd. Akademia Humanistyczno-Ekonomiczna w Łodzi, Łódź 2018).

Alicja Patey-Grabowska

Grzegorz Walczak

27 marca – Międzynarodowy Dzień Teatru

(może powrót *Obłocznych*)

W związku z Międzynarodowym Dniem Teatru, który niedawno obchodziliśmy, chciałbym przypomnieć zainteresowanym o mojej sztuce teatralnej *Obłoczni*, czyli *Sen Chopina*, którą od listopada 2010 roku graliśmy aż do początków pandemii. Obsada wyborowa: Olgierd Łukaszewicz – Chopin, Henryk Talar – Julian Fontana, ja – mniej wyborowy, w roli Autora-Reżysera, a także Upadłego Anioła, co mi najbardziej odpowiada; muzycy – słynna multiinstrumentalistka Maria Pomianowska, która „napisała” muzykę Chopina, i świetni – Ewa Ossowska, pianistka, z multiinstrumentalistą Gwidonem Cybulskim. Sprowokowany niedawno przez Andrzeja Bartkowskiego – prezesa Mazurkas Travel (u którego w ramach *II Forum Humanum* również mieliśmy przyjemność zagrać nasz spektakl) pytaniem o genezę i początki mojego chopinowskiego szaleństwa napisałem ten niewielki felieton: *Nasz Chopin, czyli co mi strzeliło do głowy*.

Dlaczego podjąłem tak niełatwy temat? Trudność wynikająca z dysonansu faktologicznego ukaże się wyraźniej, gdy weźmiecie Państwo pod uwagę fakt, że muzyka Chopina w etnicznych wykonaniach Pomianowskiej ogarniała prawie cały świat, a za jego życia tylko kilka krajów. Zabierając się do pisania sztuki, sądziłem, że to przeszkoda nie do pokonania, że chyba upadłem na głowę.

W 2010 r., w 200-lecie urodzin Fryderyka Chopina, Maria Pomianowska przygotowywała album muzyczny *Chopin na 5 kontynentach* i namawiała mnie, bym podjął ten temat w jakimś ujęciu literackim, może w sztuce scenicznej. Zachęcał mnie też do tego Adam Struzik – marszałek województwa mazowieckiego, co stwarzało szansę dofinansowania produkcji spektaklu o naszym najwybitniejszym kompozytorze. Temat wydawał mi się ograny, wykorzystany w teatrze i w filmie, *Lato w Nohant* już było. Nie zamierzałem się ścigać z Iwaszkiewiczem. Po przesłuchaniu materiału muzycznego Marii, choć byłem przerażony, zmieniłem zdanie. Jej *Chopin* muzycznie był całkowicie odmienny, nie taki, jakiego do tej pory znaliśmy. Wpadłem na szatański (może boski) pomysł, jak pokazać Chopina i jego muzykę dziś, a uszanować prawdę historyczną o jego życiowych

przypadkach. Zastanawiałem się gwałtownie, jak pokazać go wszędzie tam, gdzie go dzisiaj można usłyszeć, gdzie była ze swym muzykowaniem niezmordowana propagatorka muzyki etnicznej, a zarazem Chopinowej. A Maria była chyba wszędzie, na całej kuli ziemskiej, gdzie przecież nie mógł wtedy dotrzeć On, ten, który musiał istnieć w każdej sekundzie naszego współczesnego spektaklu. I znalazłem klucz dramaturgiczny, by rozwiązać tę sprzeczność, by niemożliwe w twórczej wizji czasu stało się możliwe. Postanowiłem pokazać Fryderyka prawdziwego, żywego, ale już po śmierci. Żeby to zrozumieć, trzeba zobaczyć nasze przedstawienie.

Scenariusz oparłem na autentycznych listach Fryderyka Chopina i jego sekretarza osobistego w Paryżu, kompozytora – Juliana Fontany – na listach do ich przyjaciół. Listy te odnalazła po około 170 latach od ich napisania Magdalena Olierko i opublikowała je na kilka miesięcy przed rozpoczęciem mojej pracy nad sztuką. 20 lat po śmierci Chopina umarł też Fontana, by się spotykać z przyjacielem w moich tytułowych *obłokach* i... dopiero wtedy się przeciw niemu zbuntować. Za życia nigdy się nie odważył. Dopiero w *Obłocznych*, czyli *Śnie Chopina* Julian wypowiada swoją do końca życia tajoną skargę, nie wymyśloną przeze mnie, lecz wyrażoną przez niego w listach do Stanisława Egberta Koźmiana i wicehrabiny Kornelii de Verny. To odkrycie pozwoliło mi rozwinąć niezwykle specyficzny, z całą gamą stylistycznego dystansu, konflikt między dwoma przyjaciółmi, z których jeden przez długie lata służył wiernie wielbionemu przez siebie mistrzowi. „Akcja” sztuki to swoista podróż obu muzyków w nadziemskiej przestrzeni poza realnym czasem. Poetycko-fantastyczna fikcja spleta się we wzajemnym przenikaniu z autentycznymi przeżyciami głównych bohaterów. Oczywiście króluje tu muzyka Chopina, którą, jak się żartobliwie wyraziłem, *napisała* Maria Pomianowska. Wybaczcie to moje logicznie przewrotne sformułowanie, aliści w pewnym sensie uzasadnione. W spektaklu mamy do czynienia z niespotykaną propozycją potraktowania muzyki Chopina. Jest to niezwykle oryginalna wersja etniczna, zmienna w swej etnicznej formie, w różnorodności schematów rytmicznych, kolorystyce – w zależności od tego, nad którą krainą (kulturą muzyczną) zatrzymują się nasi „obłoczni” bohaterowie. Chopin grany na suce biłgorajskiej, fideli płockiej, sarangach, gadułek i czort wie jeszcze na czym, nie kojarzy się z klasycznym koncertem filharmonii.

Mimo rosnącej na świecie sławy Marii Pomianowskiej, mimo tego że udało mi się przywabić do swojej sztuki tak wybitnych aktorów, jak Olgierd Łukaszewicz i Henryk Talar, zawisła nad nami groźba zakończenia naszej

ledwo rozpoczętej działalności, gdyż Teatr Praga, pod którego szyldem odbył się spektakl premierowy w wydzierżawionej Fabryce Trzciny, właśnie się zwijał i na zawsze opuszczał kurtynę. Niewielkie mieliśmy szanse bez dalszej pomocy finansowej, a *żałko* było kończyć, gdy ukazały się piękne recenzje, a publiczność się do nas szczerze uśmiechała, najczęściej nie szczędząc bisów. I już się nie liczyło to, że umówiłem się z aktorami jeno na trzy występy, i nie przeszkodziło też im to, że twórcze wizje miałem, wciąż nowe, więc przez jeszcze długi czas po każdym kolejnym występie przynosiłem nieszczęsnym na próby nową wersję tekstu. To, że nie pożarli mnie Obłoczni i uszedłem z życiem, a nawet przyswajali moje tekstowe poprawki, rozwinięcia i inne autorskie perwersje, jest chyba zasługą Niebios, z którymi być może zawarłem tajny pakt. To nie jest zespół, co tylko goni za *dołgom rubljom*, to prawdziwi artyści i inteligencja. Wiedzieli, że musimy grać. A i ja grałem z nimi na scenie, no, częściej pod sceną przy swoim autorsko-reżyserskim stoliku. Mało tego, przejąłem na siebie funkcję instytucji, dałem się wmanewrować w dowodzenie całym tym mobilnym Zespołem – *teatrem*. Rozpędziliśmy się tak, że wprowadzie z większymi lub krótszymi przerwami od premiery w listopadzie 2010 r. graliśmy w Warszawie i w Polsce całej przez ponad 9 lat, póki nam nie przeszkodziła pandemia.

Nie żałuję, że podjąłem chopinowski wątek i już na początku postawiłem sobie skrycie intrygujące pytanie, czy taka forma się przyjmie, czy widz – nie tylko nieprzeciętny – da się wciągnąć w tego typu fikcję, za którą się kryje poznanie autentycznych rysów mniej znanego Chopina i chętnie ucha nastawi, by usłyszeć, jak wybrzmi ta zadziwiająca wersja jego muzyki, jaką zaproponowała Maria Pomianowska.

Mam nadzieję, że jeszcze wrócimy do tych teoretycznych pytań, szukając odpowiedzi w naszej *obłocznej wędrówce*. Niech no tylko szcześnie ten szatański covid, co wbrew oficjalnym zapowiedziom chyba tak szybko nie nastąpi. Jako upadły anioł mam z najwyższych sfer nieco mniej optymistyczne informacje. Teraz jednak w czas wiosenno-letni mogą się Państwo domagać wznowienia naszego spektaklu, co nie tylko zależy od naszego Zespołu, ale i od zapraszających nas ośrodków kultury w całej Polsce. Jak teraz, w dobie kryzysowej będzie wyglądać sytuacja finansowa Kultury, tego jeszcze nie wiemy. Tak czy inaczej, Sława Sztuce i Sława Ukrainie!

Grzegorz Walczak

Bartłomiej Świdorski

Anna na tropie tygrysa

(fragment)

W wieku dziewięciu lat Anna przeczytała już wszystkie książki z regału w swoim pokoju i zabrała się do biblioteczki rodziców. Słowniki, podręczniki i albumy taty tylko przekartkowała, pochłonęła początki paru kryminałów, na dłużej utknęła przy półkach z książkami mamy. Tata wieczorem zastał ją siedzącą na podłodze z ilustrowanym wydaniem *Władcy pierścieni* na kolanach.

Stanął w drzwiach, uśmiechnął się i omiótł wzrokiem pochyloną sylwetkę córki. Od bosych stóp zanurzonych w puszystym dywanie, przez opalone kolana przygniecione opasłą księgą, po rozsypane na sweterku włosy barwy słomy. Powstrzymał stary odruch zrobienia jej zdjęcia telefonem. Nie była już przedszkolakiem i nie mógł jej fotografować bez pytania, a pozowanie zepsułoby urok tego ujęcia. Zapamiętał je, odchrząknął, żeby nie przestraszyć dziewczynki i powoli do niej podszedł.

Gdy przeczytał tytuł książki, jego uśmiech nieco przygasł.

– Podoba ci się to?

Anna spojrzała na tatę nieprzytomnym wzrokiem osoby obudzonej z głębokiego snu. Pochyliła się i przesunęła palcem po ozdobionej elfickimi znakami stronicy.

– To książka dla dorosłych? – spytała.

Tata po wahaniu skinął głową.

– Ale przecież tu są księżniczki, smoki i magiczne pierścienie, jak w bajkach – zauważyła dziewczynka.

Tata wzruszył ramionami.

– Widocznie niektórzy dorośli też lubią bujać w obłokach – stwierdził.

W jego głosie słychać było współczucie.

- To fajnie – stwierdziła dziewczynka. – Fajnie dla nich.
- Tata dumał dłuższą chwilę, aż w końcu orzekł niechętnie:
- W zasadzie marzenia, same w sobie, nie są takie złe.

Sięgnął po jeden ze swoich ilustrowanych albumów, które wcześniej odrzuciła. Rozłożył go na puszystym dywanie, usiadł po turecku i zaczął jej pokazywać schematy ilustrujące, jak sny o lataniu popchnęły Leonarda da Vinci do konstruowania skrzydlatych machin i pierwszych lotni.

– Bracia Wright nigdy nie zbudowaliby samolotu, gdyby wcześniej o nim nie fantazjowali – powiedział. – Dziś korzystamy z ich świetnych pomysłów, tylko oczywiście udoskonalonych zgodnie z prawami aerodynamiki, według wzorów...

– A mama mówiła mi o dziewczynce, której w rączkę wbiło się ziarno wiatru i wyrosły jej skrzydła – przerwała mu Ania.

Tata znieruchomiał.

– Wiesz, że każde skrzydło musiałoby mieć ponad metr długości i jakiś metr szerokości, żeby oderwać ją od ziemi? – spytał po chwili.

– To była dosyć drobna dziewczynka.

– Nawet tycia, tycia kruszynka musiałaby mieć mięśnie jak kulturysta, żeby zatrzepotać skrzydłami zdolnymi ją unieść.

– Znała zakłęcie – odparła po namyśle Anna. – Dzięki niemu poruszała skrzydłami bez wysiłku.

– Skoro znała zakłęcie do fruwania, to po co były jej skrzydła?

– Bo były ładne – odrzekła Anna.

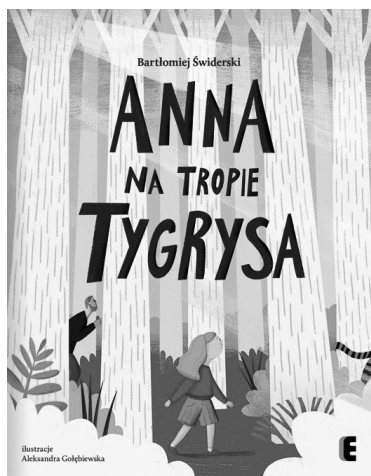
Tata skrzywił się, jakby przesunęła paznokciami po szkle. A potem zaczął mówić szybko, jakby próbował zagłuszyć ten niemiły zgrzyt.

– Marzenia nie są złe pod warunkiem, że marzyciele potrafią zejść na

Bartłomiej Świderski
Anna na tropie tygrysa
 Wydawnictwo EZOP
 Warszawa 2022

Stron 80

ISBN 978-83-65230-86-7



ziemię i wykorzystać je do praktycznych celów. Tak powstają wynalazki, dzięki którym prowadzimy dziś bezpieczne i wygodne życie. Pod wieloma względami jest lepsze niż w dawnych czasach. I jest to zasługa wyobraźni i nauki, a nie magii...

– A ja nie potrzebuję wygodnego życia – przerwała mu Anna – Wolałabym takie.

I wskazała na książkę.

– Bajkowe? – spytał tata z pobłażliwym uśmiechem.

– Proste. Przygodowe. Staromodne.

Tata myślał nad tym chwilę.

– Ale powiedz szczerze – poprosił. – Czy jutro wolałabyś pojechać do szkoły autem czy przedzierać się pieszo te dziesięć kilometrów przez ciemny las?

I wskazał za okno, gdzie w oddali majaczyła zielona ściana drzew.

– A znałabym magiczne zakłęcia? – spytała Anna z wahaniem.

– A jeśli nie?

– I tak wolałabym iść przez las – odparła dziewczynka po namyśle.

– Przez chaszcze pełne dzikich zwierząt, uzbrojona tylko w patyk?

Anna oparła plecy o fotel i podkuliła kolana.

– Pieszko przez las... – powtórzyła, skubiąc skórki przy paznokciach.

Tata uśmiechnął się.

– Dzielną dziewczynka – powiedział, zakrywając jej palce swoją ciepłą dłońią. – Ale jutro idziesz na pierwszą lekcję, pozwól więc, że dla pewności odwiozę cię autem.

Osiedle Anny łączyła z miastem trzypasmowa droga, okolona plastikowymi ekranami, „ciemne chaszcze” migały tylko w prześwitach między nimi. Dalej drzewa tworzyły zielony labirynt pełen słonecznych polan i cienistych zagajników – tak przynajmniej wyobrażała to sobie dziewczynka, która dawno nie była w lesie. Kiedy nazajutrz po nudnych lekcjach wracała z tatą ze szkoły, marzyła o polanach z oczkami wodnymi, wokół których fruwały kolorowe ptaki, i gęstwinach z wyrobionymi przez lisy tunelami. Opuściła szybę i usłyszała przebijający przez hałas aut szmer.

Rozkołysane drzewa szumiały „Annooo, Aaannnooooo”.

– Zamknij, bo się przeziębisz.

Siedzący w fotelu kierowcy tata patrzył we wsteczne lusterko.

– Zatrzymaj się na chwilę – poprosiła, posłusznie podnosząc szybę, choć tylko o centymetr.

- Wytrzymaj, zaraz będziemy w domu.
 - Ale ja nie chcę siusiu. Ja chcę do lasu.
- Brwi taty ściągnęły się pod zmarszczonym czołem.
- Po co?
 - Po prostu.

Tata westchnął ciężko. Jedna jego brew opadła niżej, a druga podjechała w górę i znowu patrzył na nią swoim zdziwionym, a jednocześnie zatroskanym i czułym spojrzeniem. Tak ogrodnik patrzyłby na koniczynę wyrastającą z pęknięcia w jezdni, którą pędzą samochody.

- Spieszymy się. I tu nie wolno stawać.
- A może...
- A może pogramy w badmintona w ogrodzie?

Podobną rozmowę odbyli już parę razy, ale Anna wciąż liczyła, że tata kiedyś się złamie.

– Poszukajmy grzybów – zaproponowała, podsuwając praktyczny pretekst leśnej wycieczki.

– Nie rosną w czerwcu – uciął ojciec. – Poza tym nie mamy odpowiednich butów ani sprayu na komary. I zamknij, proszę, to okno.

Anna nadal wierzyła w tatę, bo przecież w tylu innych sprawach można było na niego liczyć. Chętnie zabierał ją do muzeum, na warsztaty edukacyjne, na basen czy do galerii handlowej. Na ogół zgadzał się tam bez większych ceregieli na kupno kolejnej zabawki, sukienki czy słodyczy. I tylko w kwestiach lasu i baśni stawał okoniem.

W efekcie Anna była czterolistną koniczyną: dziewięciolatką, która wołała księgarnię od cukierni i las od galerii handlowej.

Czasem zastanawiała się, czy te dwie sprawy – las i bajki – mają ze sobą jakiś związek? U pana Tolkiena, autora *Władcy pierścieni*, miały. Podobnie u braci Grimm, u Christiana Andersena czy A. A. Milne'a, autora *Kubusia Puchatka*. A fakt, że tata – znany bajkofob – jeżył się na myśl o grzybobraniu, rodził podejrzenie, że także w świecie realnym lasy kryją jakąś tajemnicę.

Może magiczne knieje z domkami na kurzych łapkach i mówiącymi pluszakami wcale nie były wymysłem bajkopisarzy?

W końcu skręcili w boczną drogę prowadzącą do ich domu, krętą i nie-osłoniętą barierami dźwiękochłonnymi. Tata prowadził w skupieniu, korzystając z jego nieuwagi Anna znowu uchyliła okno. Wraz ze świeżym powietrzem wpadł do auta śpiew ptaków i szum drzew oraz mieszanka zapachów: kwiatów, żywicy i rozgrzanego słońcem drewna.

Nie mogła wejść w las, ale widziała go, słyszała i czuła.

A las szumiał „Annoooo, Aaannnnoooo”.

Nasunęła głębiej swój płócienny kapelusik i oparła skroń o zagłówek fotela. Spod kwiecistego ronda patrzyła na pokręcone sosny, pokryte czarno-białą korą pnie brzóz i rozłożyste drzewa, których nazw nie знаła. Kołysana ich szumem marzyła o zakamarkach tego zielonego labiryntu, których nie było widać z drogi. O drzewach porośniętych mchem i otulonych zaroślami, których gałęzie uginały się od nieznanых owoców. Pożywiały się nimi leśne zwierzęta: lisy, sarny, borsuki, dziki... Może pośród stu zwykłych dzików – znanych do bólu z atlasów przyrodniczych – mógł się trafić jeden gadający? Nie musiał od razu mówić płynnie, bez przesady, ale taki dziki geniusz mógłby się chyba przedstawić? Wychrumkałby swoje imię i dał się pogłaskać.

Anna nie miała pojęcia, co jeszcze mógłby jej powiedzieć gadający dzik. Ale na pewno nie mógłby oświadczyć: „Magia nie istnieje”. To dawało mu wielką przewagę nad niektórymi ludźmi.

– Kurrrika wodna i lądowa – mruknął tymczasem tata. Jak zwykle przeciągnął pierwszą sylabę, jakby gryzł się w język, zaczął mówić głośno, a zakończył cicho.

Anna zastanawiała się czasem, co jest niezwykłego w tych ptakach, że wymawiał ich nazwy w ten sposób, jakby w chwilach zagrożenia rzucał ochronne zaklęcie. Teraz jego szept „lądowa” zagłuszył zgrzyt hamulca i ich auto stanęło przed tarasującą drogę policyjną furgonetką. Przed jej maską stał policjant w czarnym uniformie z lizakiem w jednej i krótkofalówką w drugiej dłoni. Za jego wozem widać było parę innych i grupkę mężczyzn w kaloszach i kraciastych koszulach.

Tata zgasił silnik i odpiął swój pas bezpieczeństwa.

– Nie wychodź – poprosił Annę.

– Ale...

– Proszę cię – przerwał jej, unosząc palec. – Jedna minuta. Wyjaśnię, co się stało, i przepuszczą nas albo pojedziemy inną drogą. Zaczekaj tu.

Tata wszedł w krąg mężczyzn, którzy zgromadzili się wokół policjanta. Anna patrzyła przez szybę, jak rozmawiają, żywo gestykulując. Spróbowała ją opuścić, ale przycisk? w drzwiach przestał działać. Po chwili wahania odblokowała drzwi i uchyliła je tak, że mogła wystawić przez szparę ucho.

– Jechał tędy z Hamburga...

– Przewoził go do naszego zoo...

– Na parkingu przy autostradzie banda małałatów zaczęła się wygłupiać...

– Walili w ściany i w końcu otworzyli drzwi...

– Podobno myśleli, że on się dusi.

– Jaki „on”?

– Na początku nikt im nie wierzył...

– Co za „on”?

– Tygrys!

Annę замуrowało.

– Podobno wystrzelił jak strzała i dwoma skokami pokonał parking.

– Chce pan powiedzieć, że po naszym lesie biega teraz tygrys?!

Anna otworzyła szerzej drzwi i wysunęła głowę.

– Syberyjski – rzucił policjant, przyciskając krótkofalówkę do ucha. – Z tych większych.

– Nie biega, tylko śpi – powiedział mężczyzna z wąsami. – Najadł się.

– Moim kosztem – dodał łamiącym się głosem grubas w czerwonej czapeczce. – Urządził sobie polowanko w mojej oborze.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Anna nie musiała patrzeć, by wiedzieć, kto to powiedział.

– Moje trzy krowy mogą to potwierdzić, proszę pana – odparł ten grubas w czapce. – To znaczy: mogłyby, gdyby żyły.

– No i gdyby mówiły – dodał dla porządku wąsaty.

– To pan złożył doniesienie? – spytał grubasa policjant.

Tamten pokiwał głową.

– Jak tylko zobaczyłem tę masakrę.

Anna uszczypnęła się. Bardzo wyraźnie poczuła paznokcie na skórze. To nie był sen.

– Jeden tygrys pożarł panu trzy krowy? – zdziwił się tata.

– Nie mówię, że je pożarł – zniecierpliwiał się mężczyzna w czapce. – Zaduśił je i ponadgryzał, każdą po trochu.

– Widziałem tę jatkę – dodał wąsacz. – To znaczy, już po fakcie. Jego obora wygląda, jakby wpadło do niej tornado.

– Żaden tygrys nie atakuje całego stada na raz – zauważył tata. – Wybiera zawsze jedną ofiarę.

– To może tam było parę tygrysów, nie wiem.

– Firma transportowa zgłosiła stratę jednej sztuki – wtrącił policjant.

– Może inne tygrysy jechały na gapę?

– A może zdążył się już rozmnożyć? – rzucił tata z uśmieszkiem. Mężczyźni dali spokój policjantowi i zacieśnili krąg wokół niego. Ich pstrokate koszule i czerwone twarze kontrastowały z jego sylwetką w szarym garniturze. Anna pomyślała, że tak kot w butach wyglądałby w klatce pełnej tygrysów. – Może bestyjka skrzyżowała się z waszymi kotami?

– Może?

– Szkoda, że nie słyszy pana Darwin – prychnął tata.

– Kto? – spytał wąsaty, rozglądając się.

– Hm – mruknął gruby, najczervenniejszy ze wszystkich. – Nie widział pan nigdy KOTRYSA?

Tata roześmiał się, a policjant uśmiechnął i tylko mężczyźni pozostali poważni. Anna powoli przytknęła drzwi i po omacku sięgnęła do swojego plecaka po kartkę i długopis.

Tata grzecznie przeprosił mężczyzn i odszedł na bok. Pomachał do córki, którą widział kątem oka, i wybrał w telefonie numer żony. Kreska zasięgu na wyświetlaczu zamigłała i znikła. Zaczął manipulować komórką w uniesionej dłoni, wspinając się na palce i obracając ją na wszystkie strony. Nagle poczuł, że coś oblepia mu twarz. Zaczął płuć, potrząsać głową i drapać się po policzkach.

- Patrzcie, jednak załogował się do sieci!
- Play czy T-mobile?
- To leśna sieć. Nie pogadasz.

Mężczyźni śmiali się, a tata odwrócił się do nich plecami i zebrał z twarzy resztki pajęczyny. Na końcu jednej z nitek dyndał pająk. Włochaty, dzioki i wredny, jak wszystko tutaj – pomyślał. Rzucił go w las. Patrzył w ślad za pajakiem na nieprzyjazną gęstwinę, wilgotną i pełną pasożytów, odpychając i niebezpieczną.

– Brakuje tu tylko tygrysa i jego zmutowanego potomstwa – szepnął, a potem potrząsnął głową, odwrócił się i ruszył do radiowozu.

Policjant stojący w otwartych drzwiach auta rozmawiał z siedzącym za kierownicą kolegą.

– Przepraszam, mam prośbę – zwrócił się do nich tata. – Mieszkam niedaleko stąd. Przepuście mnie?

Policjant odwrócił się, rozejrzał i pokiwał głową.

– Niech pan zaczeka chwilę, my też już się zbieramy.

– Jak to? – zdziwił się podsłuchujący ich wąsacz w kraciastej koszuli.

Jak spod ziemi wyrósł grubas w czerwonej czapeczce.

– To robota dla jednostki prewencji! – krzyknął tak, by usłyszeli go kompani.

– Właśnie! – podchwycił wąsaty. – Oni mają te specjalne usypiające naboje.

– Na tego krowożercę potrzebna będzie bazooka!

– Pewnie też ją mają.

– Oni mają wszystko – dodał grubas. Uśmiechnął się i rozmarzył. – Kiedy ja służyłem, mieliśmy do dyspozycji głównie pałki i armatki wodne, chociaż tym też dało się poszaleć, nie powiem...

Wszystkich na chwilę zatkało, pierwszy oprzytomniał policjant.

– Ściągamy tu posiłki – uciął i dodał głośnie: – Na razie rozejdźcie się do domów, zaryglujcie drzwi i czekajcie na instrukcje.

– Mamy słuchać radia czy wejść do internetu? – spytał wąsacz.

– Prewencja ma specjalne wozy z megafonami, zrobią tu objazd.

– Czyli jednak zarządza pan „kotrysowy alarm”? – rzucił z przekąsem tata.

Żart był adresowany do policjanta, ale groźne spojrzenia cywili świadczyły, że wypowiedział go za głośno. Policjant dotknął dwoma palcami

czapeczki w niedbałym salucie i wsiadł do radiowozu. Rozległ się dźwięk przychodzącego SMS-a. Pozytywnie zaskoczony tata odwrócił się plecami do posępnych mężczyzn i wyjął z kieszeni telefon. Okazało się, że znowu ma zasięg. I wiadomość „Kiedy będziecie?” od żony. Ustępując z drogi policyjnej furgonetce, która zaczęła się toczyć w stronę autostrady, zszedł na pobocze. Wolną ręką pomachał córce w samochodzie i znowu uniósł palec oznaczający jedną minutę.

Łączenie trwało i trwało, aż grupka na drodze zaczęła się przerzedzać. Samochody odjeżdżały i po chwili zostało na niej tylko auto taty. Kołowrotek w jego telefonie miał wirtualne dane, aż znowu wyświetlił komunikat: „brak sieci”. Tata ze złością wcisnął komórkę do kieszeni i kopnął leżącą w trawie szyszkę. Poleciała łukiem, stuknęła w pień sosny i upadła w krzaki.

Nagle coś w nich zaszeleściło. Tata zamarł. Na moment zapadła absolutna cisza i dopiero po chwili jego serce uderzyło znowu. W głowie zawirował mu kołowrotek przypominający ten z telefonu. „Tygrys”, „bestia”, „rozszarpane” – kręciły się w nim słowa, które przed chwilą wykpił. Nie brzmiały już tak zabawnie. Uniósł ręce, które przy spotkaniu z tygrysem syberyjskim zapewniłyby mu taką samą ochronę, co pająkowi pajęczyna. Aż podskoczył, kiedy krzew poruszył się znowu. Powoli wysunął się spod niego podłużny kształt. Łapa? Ogon? Wystraszony tata zaczął się przesuwawać w stronę auta.

– Aniu... Uważaj... Masz opuszczoną szybę? Odsuń się od niej, błagam...

Ciemny kształt rósł, aż w końcu oddzielił się od krzewu. Tup, tup, tup. Jeź wysunął spod krzaka swój spiczasty ryjek. Tata dłuższą chwilę patrzył na kolejnego małego, leśnego zgrywusa, który postanowił zagrać mu dziś na nerwach. Kołowrotek w jego głowie powoli zwalniał.

– Kurrka wodna i lądowa...

W końcu otarł czoło, wziął głęboki wdech i odwrócił się do auta.

I wtedy wystraszył się naprawdę.

Bo było puste.

Tata rozejrzał się. Na drodze unosił się jeszcze kurz za samochodami, które odjechały w stronę ich osiedla i leżącej za nim wsi.

– Porwali ją – pomyślał. – Ci faceci w kratkę porwali mi córkę!

Tak zemścili się za wszystkie docinki. Otworzył drzwi auta, żeby ruszyć w pogoń, i niemal usiadł na kartce. Zdenerwowany chwycił ją i przebiegł wzrokiem. „Poszłam do lasu. Nie martw się, zaraz wrócę. Ania”. To było jej pismo! Tata wysiadł z wozu i znowu się rozejrzał. Pusto. Podszedł na skraj lasu i kolejny raz tego fatalnego dnia wbił wzrok w zieloną, wilgotną gęstwinę.

– Anna!

Nie było jej.

Nie było zasięgu.

Nie było wyjścia.

– Pałka, zapalka, dwa kije, kto się nie schowa, ten kryje.

Tata nie słyszał starej wyliczanki od wieków, a jednak przypomniała mu się natychmiast, gdy tylko pod nogami zachrząściło mu igliwie, gałęzie zasłoniły słońce i owionął go znajomy, zbutwiały zapach.

– ... osiem, dziewięć, dziesięć – bezwiednie liczył swoje kroki. – Zamykam budkę i szukam.

Coraz bardziej oddalał się od drogi, z której obiecał sobie nigdy nie zbacząć.

– Kogo pierwszego zobaczę, temu nigdy nie przebaczę!

Pomyśleć, że kiedyś lubił tę zwariowaną wyliczankę. Las kojarzył mu się z wolnością i zabawą, drzewa pachniały przygodą i zapraszały do wspinaczki, zarośla dawały schronienie i patyki na ognisko, a poszycie o smaku jagód kryło leśne skarby... Ale to było dawno temu.

– Anna! – krzyknął.

Odpowiedziało mu tylko echo.

Dziewczynka tymczasem dziarskim krokiem szła przez las. Miała nadzieję, że zanim tata ją znajdzie, to natrafi na jakąś rusałkę, gadającego dziką albo przynajmniej na kotrysa. Słyszac nawoływania taty, przyspieszyła kroku. Odchyliła rondo swojego kapelusza i patrzyła w górę na

gałęzie, które odsłaniały i zasłaniały słońce tak, jakby niebo mrugało do niej słonecznym okiem. W zaroślach grały świerszcze i pachniało latem. Nad ścieżką kiwały się pokrzywy, a między ich ząbkowanymi liśćmi wisiały jakieś jagody. Zerwała jedną i rozgryzła, ale nie smakowała jak coś przeznaczonego do jedzenia. Przypominała trawę, której kiedyś z ciekawości spróbowała, była gorzka i jałowa... Taka leśna jagoda – pomyślała po chwili – może być nie tylko niejadalna, ale wręcz trująca. Anna wypłuła przeżutą skórkę i aż pisnęła z przejęcia. Była w lesie od paru minut i już przeżyła pierwszą przygodę! Niesamowite.

Podekscytowana ruszyła słoneczną ścieżką przed siebie.

Tata brodził w igliwiu, nasionach, szyszkach i innych leśnych śmieciach przykrytych warstwą liści. Gniły w wodzie z wczorajszego deszczu i lepiły mu się do butów. Skąd tyle liści na ziemi w czerwcu? Nie miał pojęcia. O lesie wiedział tyle, co jego lakierki o marszu na przełaj. Szybko straciły blask, przemokły i pokryły się siatką pęknięć. Patrzył na nie uważając, by nie wpaść w jakiś dół, choć jednocześnie musiał wypatrywać pajęczyn.

– Annoo! Aannooo!

Próbował sobie wyobrazić, dokąd mogła pójść, ale szybko się poddał. Nie potrafił odtworzyć myśli kłębiących się w małej rozgorączkowanej głowce. I nie mógł się skupić. Słyszając bzyczenie jakiegoś owada, gwałtownie przechylił głowę i uderzył się o złamaną gałąź. Pomyślał, że przydałoby mu się coś do karczowania zarośli. Jakaś „pałka, zapalka, dwa kije” ... Wystarczyłby jeden. Wypatrzył długi z białą korą, który okazał się jednak zbyt giętki. Przypomniawszy sobie, że brzoza jest miękka, za to sosna stanowi podstawowy surowiec do produkcji mebli. Skoro nadaje się na stół, to na pałkę chyba też? Po chwili potwierdził to w praktyce.

A jednak, coś już wiedział o lesie.

Anna szła rażno przed siebie, a korony sosen wciąż kołysały się wesoło na tle błękitnego nieba. Drzewa rosły jednak coraz gęściej i słoneczne oko w górze lekko przygasło. W końcu natrafiła na kolejną po wilczych jagodach leśną atrakcję – dzikie wysypisko śmieci. Omijając je szerokim łukiem, weszła w zagajnik o wyjątkowo gęstym poszyciu. Brodziła chwilę

w szeleszczących krzakach, gdy nagle wydało się jej, że słyszy pisk. Kucnęła i odgarnęła liście, ale niczego nie dostrzegła, za to kolejny pisk zabrzmiał głośniej. Dopiero po chwili dojrzała szaro-żółtą kulkę, kołyszącą się na wątych łapkach. Pisklak poruszał skrzydełkami zbyt małymi, żeby polecieć, a jego czarne oczka niemal wychodziły z orbit. Pomocy – zdawał się pisać. Anna podniosła głowę i wytężyła wzrok. Wydało się jej, że dostrzega gniazdo, wiszące wysoko w koronie drzewa. Z westchnieniem pochyliła się. Mały dzióbek otwierał się i zamykał, a łapy z różowymi pazurkami drobiły w miejscu. Serce jej się krajało, ale bała się wziąć pisklaka do ręki. Zdjęła z głowy kapelusz, położyła go w trawie i ostrożnie przeturlała puszystą kulkę do środka. Niestety, nie miała wprawy we wchodzeniu na drzewa. Na próbę wspięła się na konar wiszący tuż nad ziemią i zakręciło jej się w głowie. O wejściu z pisklakiem nie było mowy.

Tymczasem maluch przysiadł na podkulonych łapach i kołysząc się, przymknął oczy, jakby mościł się w kapeluszu. Po namyśle postanowiła go tak zostawić – ogrzeje się, może prześpi, a jego mamie łatwiej będzie go znaleźć. Na pewno go znajdzie – pocieszała się – rodzice zawsze przychodzą na pomoc swoim dzieciom. Patrząc na opuszczonego ptasiego berbecia, poczuła łzę napływającą do oka. Nie wiedziała już sama, nad kim i dlaczego płacze. Otarła powiekę i wyprostowała się.

Wiatr poruszał drzewami, które rysowały na poszyciu tajemnicze wzory. Nawet jeśli idąc tu, zostawiła ślady, to teraz nie widziała ich w falującej gęstwinie. Zaczęła się zastanawiać, skąd przyszła.

(...)

Bartłomiej Świdorski

Janusz Andrzejczak

A najbardziej

Ciemnieją świerki
topola ku górze biała.

Słońcem zielonym
prześwietlone listowie
olszyn, grabin i leszczyn.

Para kruków w locie
noc wykrakała,
a wykukała kukułka
że jutro podeszczy.

Sosennieją sosny,
dziuple dębów
ptakiem do gniazda
skrywają ziewanie.

Nowym siewem
nasze ślady zarosły.
Nowy las zaraz po nas.

Trochę dla mnie
a najbardziej,
dla niej.

Białe wiersze

Kiedyś wyruszę
w lasy takie,
że tylko ja,
z drzewem i ptakiem,
z mchem i drogą...

Ja tylko.
I nikogo.

I będę szedł,
i będę szedł,
w lasy bezludne, dzikie.
Przystawać będę
tylko po ogień,
nad leśnym strumykiem.

Oto u celu.
Wszystkie tułaczki,
w brzozy zakłęte.
Ja na nich wierszem,
na pniach po zwrotce,
tchu atramentem.

A gdy on spłynie,
po pierwszej burzy,
zasilą strofy
trawy zielone,
i kępy turzyc.

Ktoś kiedyś w dziupli
odnajdzie kartki
od brzozy bielsze
i się zachwyci
niezapisanym
ich białym wierszem.

Bym wysepkę

Wysepkę z chmurek
Bym dla Ciebie ulepił
przed Tobą rozłożył
bym na niej posadził
sosny i brzozy

Wiatr by nawiewał
sam Bóg swą ręką
by igły z liśćmi
szumiały nam miękko

Ty z jednej strony
a ja od drugiej
byśmy prześwitu
ujęli smugę

Tę samą brzozę
byśmy podpierali
by się nieboskłon
z nadmiaru szczęścia
na nas nie zwalił

Czerwony płomień sosen
Wali w werble czarny dzięcioł
drozdów gwizdzą instrumenty
wiją się słoje z pamięcią
dzień gaśnie, ledwie zaczęty.

Sieci pajęczej nici
zachód złocisty przyszył
chwila i już uchwyci
co cichsze jest od ciszy.

Gęstwienie mrok, dzień coraz rzadszy
las się kukułczy i grzywaczy
kto słuchał, słyszał. Kto patrzył
choćby wyteżał, nie zobaczył.

Noc furkocze w podszycie
czarnym jak sadza kosem.

Pali się, w moim zeszyście,
czerwony płomień sosen.

Drzewo rzeki

A tymczasem rzeka,
jak płynęła,
tak płynie...
Kolejną płynie drogą,
zaplątana w trzcinie.
Na wiele odnóg
się rzeka rozlewa,
by znów w jedną rzekę.

A ponad nią – drzewa.
Olbrzymie, krępe sosny,
z mięśniami siłacza,
dźwigają firmament,
aby się roztaczał.

Narysuj drzewo rzeki.
Albo rzekę drzewa.
Tchnij piękno.
I życie.

I niech się rozsiewa...

Janusz Andrzejczak

Anna Bernat

Moje concertiny¹

* * *

Concert-i-na
na wiatr
– i – na kamienie
– i – na drągi jeszcze żywych sosen

koncert –
z głębi lasu

orkiestra
bez dyrygenta

metalowy dźwięk strun
jakby płacz skrzypiec

przeszywający pisk oboju
flety pianissimo

concertina
na drogę stąd – tam

echo powtarza:
nie ma przejścia
nie ma
concert-i-na-iiii-naaaaa!

* * *

Nie ma nadziei,
linie papilarne stóp
nie wróżą nic dobrego

¹ Wiersze wyróżnione w konkursie literackim ZAiKS „Wolność myśli – wolność wyrazu”,
luty 2022 r.

idzie na wojnę
idzie na ból
na głód i łzy

nikt się z tobą nie będzie liczył
jesteś jeszcze mały
jak ci wytłumaczyć że już nigdy
za żadne swoje dziecięce skarby
nie zobaczysz taty?

jak ci to powiedzieć
żebyś się nie przestraszył?
jak?

tata nie zdążył ci jeszcze
powiedzieć o wielkim niebie...

* * *

Wchodzę do domu
dym
zapach przypalonych
ziemniaków

ciało przewieszane przez fotel
jakby śpiące

pogotowie
szpital
w jedną stronę –
udar niezwyknięty

nie wiem co zrobić
z nieruchomymi butami
co z jak żywymi fotografiami
co?
z siwym włosiem na kamizelce?
komu oddać zegarek który chodził

od ciebie do mnie?

nieodwracalne pożegnanie
wieczny odpoczynek
i
z drutu kolczastego pamiątkowy różaniec

* * *

Stoję przy oknie
dobrze widzę mój spacerownik

dziś tylko
gołębie drepczą w kółko
obok maszeruje
wrona patrolowa

wróble podskakują na krzakach –
tej przydomowej concertinie

obok czysta kartka
ołówek z gumką

co napiszę to skreślam

nigdy przenigdy
nie myślałem że kiedykolwiek
zwalczy mnie pandemia

* * *

Kiedyś
pomagałem przyjaciołom
kieliszkiem radości

dziś otrzymuję od innych
w podarunku
dodatek pielęgnacyjny

przyjmuję go
po męsku z pogardą

no, cóż moje lata
są o mnie całą prawdą

* * *

Przysiadam
na pierwszej lepszej ławce
nogi drętwe

papieros? – o, nie już nie palę

moja starość
zasługuje na lekkie powietrze
i niech mi ziemia lekką będzie

* * *

Kraty przenikają
kraty za kratami
kraty? – a to jedynie zasłony w kratę

stało się
zamknęli mnie
jestem więźniem

chleb i wodę zostawiają pod drzwiami
to
przez tę „psiakrew maseczkę”!
zapomniałem zakryć usta i nos
nie zachowałem dystansu

z nieziemskim bólem głowy
odpowiadam jedynie na sms-y
bliskich

głęboką nocą wychodzę na spacer
z psem
– do diabła z tym wszystkim!

* * *

Za lasami za rzekami
w swojej rodzinnej wsi
zmarł staruszek
pies ogłosił to wyciem

opieka społeczna
przyjechała po błocie
na rowerach

pochowany na koszt sąsiadów
nikt nie płakał
ale pogrzeb i tak był uroczysty

przynieśli z łąk i pól
naręcza kwiatów żywych

i ja tam byłem
i zazdrościłem

* * *

Chodzę po parku
słucham drzew
rozumiemy się
do najcichszego szmeru liścia

dobrze jest
przytulić się do pnia
klonu trójpalczastego
objąć go
stopami wrosnąć w ziemię
zamknąć oczy

westchnąć
po chwili
zobaczyć
jak pod zielonymi płatkami liści
krople rosy
mienią się łzami
wracam
tylko drzewa tak kochają starych

* * *

Im starszy człowiek
tym szybciej pędzi
jak na złamanie karku

w maseczce dokładnie
schowane usta nos

jakby ta szczepionka
dawała życie wieczne
żeby tylko żyć dłużej
i jeszcze
i jesz.....

* * *

Spadają gwiazdy
słowo myśli przeczy

spadają więzy ludzkie
może to i lepiej

dlatego
jak wróbel
z okruchami szczęścia
o świcie
sam ze sobą umawiam się
na życie

* * *

Jeśli droga do celu wyboista
jeśli zamiast iść
co krok się potykasz

a jedyny towarzysz
twój zgarbiony cień
jak uparty osioł wlecze się za tobą

spróbuj zatrzymać się
i choć to nie moja sprawa
radzę na najbliższym skrzyżowaniu
zastanowić się:

co? jak? dlaczego?
skąd? dokąd? i po co?

* * *

Nie spodziewam się
że dostanę więcej niż mi dane

że usłyszę słowa otuchy
zanim powiem Amen

w każdej chwili
przebaczam sobie jak dziecku
mogę cierpieć albo nie

wolna wola
wolny wybór
to gra
w niebo – piekło

* * *

Codziennie nowe zasieki
concertiny żeby nie moc

nowe życiowe zapory
druty ostrzałowe żeby zawrócić
nie dla mnie

pokornie przedzieram się na kolanach
w głąb lasu
po najdalsze leśne knieje

stare wilki umierają samotnie
zostawiają po sobie jedynie
tropy wspomnień

* * *

Widzenie –
pusty stół
krzesło

ojciec młody
pamiętam w szarym ubraniu
przezroczysta twarz
ręce jakby z pergaminu
uśmiecha się

nie dopuszczają mnie
nie mogę usiąść mu
na kolanach

wzdłuż i wszerek kraty
groza dla dziecka

na wysokim murze budka strażnika
falująca concertina
– przeklęta Rakowiecka!

Anna Bernat

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Na przykład Trojanki

Oni są chorzy,
Wymyślili złą śmierć.
My znałyśmy tę
Całującą w powieki,
Trzymającą za rękę.
Oni są chorzy,
Wymyślili złą miłość.
Mówią o niej słowami
Z terminologii wojennej,
Oddanie to poddanie i klęska.
Zdobycie – żołdacy w rozgrabionym mieście.
Oni są chorzy,
Wymyślili złe imiona rzeczom,
Dali swoje nazwy narzędziom
Stworzonym przez nas.
Oni są chorzy,
Wybacz im, że nie znając bólu rodzenia,
Potrafią łatwiej zabijać. Z łżejszym sercem.

Nie, nie wybaczej im.
Chorych trzeba pielęgnować.
Chorym ustępować.
I tak umrą.
I tak umrą przed nami.

Krzysztof Boruń (1923-2000)

Alarm¹

Pierzchła
czerwienią okryta,
w mgłę spowita,
W słońcu skryta,
Moc.

Nadeszła
ciemna, granatowa,
parna, nerwowa,
głuchosłowa,
Noc.

I nic...
Tylko w ciszy,
ciszy ludnej, a pustej,
tysiącoustej
coś śmiercią dyszy.

I nic...niby nic...
tylko gdzieś w głębi
coś drży, kłębi,
beztroskę ściera z lic.

I nic...
Tylko gdzieś w dali
wiatr się żali,
jakaś melodia wstaje, znika,
zamarło wszystko, zasłuchane,
oczekiwaniem rozedrgane
w dali coś szumi, bzyka...

* * *

¹ Wiersz datowany na rok 1942 lub 1943, odnaleziony w 2021 roku w starym zeszycie, spisany z ołówkowego rękopisu przez córkę autora, Katarzynę Boruń-Jagodzińską.

Wtem gwizd!
 Daleki
 jęczący, wzbierający,
 coraz to bliższy,
 wibrujący,
 szaleńczy, obłąkany ,
 grozą pijany,
 o szyby głucho dzwoniący,
 rosnący,
 to znów cichszy,
 a za nim drugi, czwarty,
 symfonią tonów rozedrgany,
 zda się trwający wieki.

A wśród tej rzeki
 łkań
 pomruk miarowy
 z góry spada,
 szarpie za krtań,
 w mózg się wkrada,
 rozsadza głowy,
 warkotem myśl uśmierci
 nim z nagła w uszy się wwierci
 świst
 złowrogi...
 Nagle błysk
 jasny oślepiający.
 Chwila...
 I dźwięk straszliwy
 Niemilknący,
 w nerwach żywy,
 dławiający,
 sięgający
 w trzewia
 spazmem trwogi.
 Obawa nerwy rwąca,
 i znów i znów

bez końca,
i znów stęk ziemi
rozdarty.
I znów ten szum przeraźliwy,
i szyb lecących jęk
na bruk ulic.
A potem ciszej i ciszej.
I nic...

Krzysztof Boruń

Andrzej Książek

Doświadczenie

Wiatr bawi się żdźbłem trawy.
Kropla deszczu spada z wysokości.
Żłobi skałę.
Moje argumenty przegrywają z czasem.
W generalnej próbie.
Przed odsłonięciem
zasłony
bogini
Mai.

Odkrywanie

Zgodnie z ruchem wskazówek zegara.
I nie zgodne. Sprzeczne. Konfliktu
pełne.
Niewyrażające zgody na nikczemność
podłość i tym
podobne.
Przepływ i odpływ morza
który zostawia na piasku małe żyjące
organizmy na niszczycielskie
działanie promieni
słonecznych.

Odgłosy

Nic nie jest już tak przejrzyste
krystaliczne.
Światło rzuca cień.
Za czynem coś się kryje.

Jakaś interesowność korzyść
przyjemność.
Za matowymi szybami widać
kontury rzeczy i ludzi
którzy dźwigają ciężar.
Każdy osobno.

Tyle było udoskonaleń
zapewnień
obietnic
że będzie lepiej niż było.
Pozostaliśmy na swoim dawnym miejscu.
gdzie drogi
krzyżują się.
Rozbiegają.
Nie spotykają się
ze sobą.

Wołanie

Przywołuję chwile momenty.
Wołam psa którego nie ma.
Kota czarnego z wielkimi oczami
pełnymi zdumienia.
Martwe żyje powraca
z daleka.
Z tak daleka że zaczynam wątpić w to
czy było
czy musiało tak być?
Czy coś naprawić?
Poprawić.
Choćby poduszkę chorej matki
po dwóch
udarach.

Obietnice

Deklaracje nie dostąpią nobilitacji.
Pozostaną na poziomie słowa.
Myśl stoi wyżej niż sądziłem.
Pochodzi od niewidocznych
mgieł które
unoszą się.
Opadają w postaci kropli rosy.
Przybierają formę która jest rzeczą.
A która to rzecz też jest formą.
I pomyśleć że kiedyś było to
jednym.
Niepodartym na strzępy.
Nie dającym się podzielić.
Skutecznie stawiającym
opór.
Przyjacielsko usposobionym.
Bez wrogich zamiarów.
Stojących naprzeciw
sobie.

Niepowtarzalne

Może nie tak.
Może inaczej niż było.
Wrócę do wiersz malowanych ręką dziecka.
Przestawię pionki na szachownicy
króla i królową umieszczę na końcu kolejki.
Według dzisiejszego scenariusza.
Wbrew zbiegowi okoliczności.
Zbiegłemu z silnie strzeżonych
konieczności.
Z następstwem wydarzeń
które nie można cofnąć.
Kamień rzucony porusza lawinę
w sposób jednostajny.
Nieodwracalny.

Prolog

Strzeż się złego
który knuje niegodziwości.
Aby nie sprowadził hańby
na rodzaj
ludzki.
Ognia który ogarnia i spopiela
duszę.
W niwecz obraca czyny szlachetne.
Chroń się przed zarazą
która dziesiątkuje ród po rodzie.
Dociera do granicy
wytrzymałości na ból
i cierpienie
Strzeż nie strzeżone dowolne
które niczym wichura przewraca
posągi
pozostawiając w ich miejsce
puste
które jest obce
z którego zimno
wieje.

Andrzej Książek

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Cieszymy się sobą

Cieszymy się sobą,
dnem każdym, nocą,
wieczorem, brzaskiem, chwila, porankiem.
One wstają, wypełniają nas wybuchają przychodzą
i odchodzą...

Nie uciekaj, zbliż się, przytul, podaj dłoń!
Cóż po fleszy błyskach, virtualu,
pustce bez realu?
Fabulach Netflixu, gdy nie czujesz jej ust, dotykasz szkła,
a na piersiach kładzie się cień uśmiechu z przedwczoraj?

Nie szukaj wymówek, że co było nie wróci,
zakłęb żadnych nie powtarzaj, bądź sobą!
Miej serce, nie mów, że już z kamienia.
Wracaj... Przecież Tyś moja, Tyś z herbu jest Poraj!

Frazesów puste słowa i żale wyrzucić z siebie na bruk zbity
jak demonów czzcze podszepty,
gierki i dyndałów swawole.
Cóż że po nich, gdy w girlandach do czeluści wiodą,
przedsionkiem stają się otchłani...?

Nolens volens!?

Czy tego chcesz? Milczeć? W gniewie trwać?
Drzwi na spusty pozamykać?
Nic nie widzieć,
lub chcieć widzieć tylko zło, nic dobrego.
Któż bez winy? Czymże Cię zranił?

Uśmiechnij się. Tak, tak... jeszcze raz!
Już wraca Twych oczu blask.

Spójrz, przecież wiesz... ucałuj.
Zegar bije bez wytchnienia.
Daj buziaka. Powtórz, oh tak. Tak!

Za nimi tęsknię.
Nic złego nie ma w ich anielskim braniu
Powiedz koniec swym grymasom.

Olśnij szczęściem. Niech uwiecznią Cię!
Już czas...
Jakże cudnie Ci w tym trwaniu...

Jam dla Ciebie gotów do stóp Twoich rzucić i świat cały,
Czoła stawić każdej chwili, wszystkim czasom ...

Tylko powiedz...

Warszawa, 08.05.2022

Jerzy Marciniak

przepraszanie przeszłości

(z cyklu: Historia Polski)

wtedy przez Paryż przeszła ulewa
wypłukała wszystko z ulic
i jeszcze więcej ze mnie

było nas siedmioro
może ośmioro czy dziewięcioro
a trochę więcej gdy zasiadaliśmy
do darmowego obiadu

tworzyli
w poezji Nową Falę która
utknęła gdzieś po drodze do brzegu
a tych kilka kropel które dotarły
wsączyło się szybko w piasek
nie pozostawiając większego śladu

mieli dużo
aresztowania w Polsce i więzienia
niektóre prawdziwe niektóre ustawki
legendę kwartalnika Puls i wiersze w podziemiu
ja tylko Wyrok za niepopelnione przestępstwo
Sąd Rejonowy w Poznaniu V.1.Kp.200/76

zbierali dla Kultury
podpisy przeciwko prymasowi Polski

ich znał
Marek Hłasko Józef Czapski Jerzy Giedroyc
Pablo Picasso Gala Dali Misia Godebska
Napoleon Bonaparte Maximilien de
Robespierre czy król-słońce Ludwik XIV
ja byłem anonimowy

dostałem do tłumaczenia teksty z podziemia
 Nowa Fala i Drugi Obieg
 który praktycznie nigdzie nie dobiegł
 czy coś
 jak znana rymowana fraszka
 siedzi kogut na żerdzi
 i
 daje wiatry

dwa wiersze wybrałem
 na ulicy zostawiłem resztę w pierwszym
 kubie na śmiecie

te dwa wyrzuciłem kilka ulic dalej

poemat
 Kapusie Oszukujący Robotników
 podpisany
 Konfederatka Polski Niepodległej
 wyrzuciłem jako pierwszy albo ostatni
PRZEPRASZAM

mieli kasę w Paryżu i Brukseli
 którą w całości przekazywali
 ukochanym robotnikom w kraju
 czyli
 ładowali we własne kieszenie
 jeździli po świecie i często pili całą noc

wydrukowałem opowiadanie
 w Tyglu Kultury poświęconym poecie
 opozycjoniście z Łodzi
 On wtedy w Paryżu Konfederatce... to ja...
PRZEPRASZAM

*Amsterdam 2018.11.6
 po spędzeniu urodzin w burdelu*

Piotr Müldner-Nieckowski

Notatki ukraińskie

luty – marzec 2022

Oślepieni

Mapa z wypalonymi miastami
rzęsy skaleczonych południków
jedno oko wybite Kijów drugie Mariupol
trzecia Hałyna porwana żelazem gąsienicy
a to nie motyl rozwinął z kokonu skrzydła
zdobione kiczem
i wgryzł się w gardło byś przestał z bólu
krzyczeć
a najlepiej – oddychać

Ukraińiec czeka na Rosjanina

Błękit nieba nad żółcią płomieni
dogasającej dzielnicy
Gotuje się grzmieć o świetle
o Witaliju co szedł po wodę
do kranu na ulicy
a ślad jego stóp zaginął
wraz z dymem i pyłem
gdy zasłaniając sobą syna
z gotowym do rzutu Mołotowem
czekał tu na następnych
co jadą ze zgrzytem

Chłopcy na Ukrainie

Rój chłopców zginął
na lekcji historii

w klasie trafionej rakietą
by błysło fajniej niż w kinie!

Rakietnik wróci do domu
z lodówką zabraną Ukrainie
suszarką do bielizny
lokówką skradzioną dla mamy
której opowie
mrugając do niej po każdym łyku
jak było w Charkowie
po dzwonku na przerwie
z tym bydłem dzieciaków
pokiełbaszonych wybuchem

A tak nas znienawidzili
i teraz mają za swoje
mamo mam jeszcze dla ciebie
kostium kąpielowy
i czepek plażowy
w boju to wszystko zdobyte

Matka Rosjanka

Matka żołnierza który łopatą
zabił ojca dwóch dziewczynek –
niewinna temu że go rodziła

Ale i ona umiera
z płaczu nad grobem
że zginął

Zamurowany

Stoisz i się boisz krok do przodu
krok do tyłu spadnie z nieba
ciężar

przygniecie wszystko coś zrobił
do dzisiaj już jutro tego nie będzie
już wczoraj połowę wciągnął czołg
pod ziemię wraz z matką i dzieckiem
jakbyś się sam замуrował cegłami
które tak wokół furkoczą w rosyjskim dymie
a jeszcze nie wiesz co we Lwowie
czy ciotka Ołena żyje bo wuja Andriya –
a byli razem tak blisko jednym ciałem –
nie ma go
dzicy zabili ojca sąsiada
nie ma
nie widzisz niczego nie ma
zamurowałeś
ze zmartwienia wsiąkasz w zaprawę
rodzi się pamięć
bieleje skóra jak wapno tło notatek
dołem stopa czerwona czernieje
i krew już nie popłynie
o kurwa jak tu sino
po co to tak ale by żeby
oj słuchaj nie słuchaj tego
szalejesz coraz głośniej
oszalej będzie ci lepiej
przestaniesz myśleć jak człowiek
wyjmij nóż i im pokaż
pistolet naciskaj spust do zdechu!

Otwarte oczy

Widok tego co strzelał
a nie przewidział
że obraz idzie w głąb ciała ofiary
niezmieszany z pamięcią ze słowami i z krzykiem
przez otwarte oczy przenika do myśli
która na skrzydłach swej wyobraźni
leci śpiewami fal języka



lecz czujnie zarazem siedząc na winklu
 wiedząc że wszystko tu jest spisane
 w tych tkankach bolesnych
 w lędźwiach przed skokiem na przeciwnika
 zębami piły wcina się do kielicha
 twardy łyk octu za wasz polski Katyń
 i nasz polski Wołyń,
 tak (ależ dudni!)

tak jak wy teraz trzymacie dla nas tę kartę...
 A cóż to za karta Polacy?
 bo my ją musimy wczytać przez otwarte ślepiec
 gdy wszystko widać na dłoni
 wypisane do krwi gwoździem...

I nie ma studni która to wszystko
 pochłonie zaleje zeznikami

Wiersze i rysunek: Piotr Müldner-Nieckowski

Alicja Patey-Grabowska

Sen poetów

I oto co
 przepowiadają poeci
których słowa jak sępy
krążą nad mięsem ziemi
 Myśliwi strzelają do nich
Kobiety zakrywają oczy
a beztroscy mówią: głupstwa

I oto co
 przepowiadają poeci
Cisza i bezruch
tylko długie cienie
przesuwają się za słońcem
 od nagich budynków

W kościołach
 Bóg bez wiernych

Kołycki –
 bez dzieci

Dzieła sztuki –
 Maski pośmiertne

A księżyc w pełni
i słońce nad miastem

 bez zwierząt i ludzi
Oto co w wierszach przepowiadają poeci

Jaki cios

Jaki cios w drzewo
do padnięcia
ile razy

Jaki cios w serce
do nagłego osłupienia
ile razy

Jakim ostrzem przed oczy
aby zobojętnieć na błysk
ile razy

Jaki cios do złamania
człowieka

Z książki „Wybór poezji” LSW 2021

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

* * *

dzikie gęsi
tak daleko od domu
moje dzieci

* * *

kręta ścieżka
liść za liściem prowadzi
na jej mogiłę

* * *

trzymają dystans
na mszy żałobnej
jak zimno

* * *

pod ostrzałem
niesie siewki na słońce
stary ogrodnik

* * *

polska wiosna
drzwi otwarte na oścież
w każdym domu

Małgorzata Karolina Piekarska

Ostatnie pożegnanie

Jackowi Kowalczukowi¹

Byłeś kolorowym ptakiem
Teraz spopielony
Przesypujesz się
Jak piasek w klepsydrze
Gdy karawan podskakuje na wybojach
A garstka znajomych idzie za tobą
Potem twoja matka
Niezdarnie głaszcze urnę
Poprawia przykrywkę
Niczym kiedyś czapkę na Twojej głowie
Jeszcze tylko kwiatek do środka
Potem ty
Przesuwanie płyty
Pokrzykiwania grabarzy, że trzeba bardziej w prawo
Bo płyta wpadnie w światło
I już
Wieczna ciemność
Trąbka na pożegnanie
Mówiłeś, że po to chodziłeś do szkół,
By nie musieć wstawać o świcie
Tylko dłuugo spać
Teraz już możesz.
Dobranoc.

Marzec 2021

¹ Jacek Kowalczuk – reporter TVP. Zwolniony z pracy zmarł samotnie w domu. Za datę śmierci przyjęto datę odnalezienia ciała – 7 marca 2021.

Krzysztof Rudziński

Chwila w wierszach

pamięci Jerzego Narbutta

Dobrze, że są jeszcze
w Kampinoskiej Puszczy
jak stolica Poezji
partyzanckie Wiersze,
w których otworem stoi
kościółek beztrosko,
a pęk ogromnych kluczy
zapomnianych w zamku,
jak w czasach Starej Baśni
nie zamyka Wierszy.

Są jeszcze epitafia
z epopei kniei
i flaga narodowa
do góry nogami
poetycznie inaczej,
wszak jesteśmy w Wierszach;
a zegar, co się spieszy
o minut czterdzieści –
mierzy czas Wierszowany.

W końcu – i na mnie przeszło
licho czarów Wierszych...
i zapisałem wierszem
jedną chwilę Wierszy.

Dwa wzruszenia

Wzruszenie przebija śnieg –
kwitnie przebiśnieg.

Na pomnik Jana Kochanowskiego w Czarnolesie

Nimb szlacheckiego stanu aureola,
początek kwiatu paproci zwiastun
burz uwięzionych – lipcowy Czarnolas
spaceruje po ścieżce słonecznego blasku.

Posągu Jana ciepły nastrój tak filuternie oczy mruży...
I coś ukrywa, za plecami – coś jak poezja? – zapach róży?...

Lubię te świty letnie...

Zofii Ewie Szczęsnej

Lubię te świty letnie, gdy dalekie głosy
pierwszych ech życia, dochodzą pomału.
W ogrodzie jeszcze ciemno. Schyłek krótkiej nocy
przeciąga się pod lipą. Kosy się ozwały.

Z oddali głos pociągu przez chwilę się toczył,
zabierając tęsknotę do odległych krajów.
Jakiś smutek zostawił. Zwilgotniały oczy,
choć wiem już, że na pewno nie jechał do raju.

O mało bym zapomniał. – Przecież wiecznie młody
w lasach palmowych Elche' mam swoje ogrody
i dom na nieskończonych Pana Taorminach.

Już pierwsze słowa psalmu z kurnika tam płyną
i wiem, że pora wracać. Przecież mnie czekają,
gdzie znam już wszystkich świętych, i oni mnie znają.

Elegia na śmierć starej mapy

Najpiękniejszą z podróży
jest to wędrowanie

w krainy białej kartki
dziwne okolice.

Trzeba tylko odepchnąć się
od brzegu piórem
schwytanego żarptaka
wysławić. Granicę,
przez którą się tutaj wchodzi
odnaleźć na mapie.

Rozejrzeć się pogodnie.
Usiąść na kanapie
i chłonąć przygodne
rozkosze i dziwne.

Wnet kraj biegłych linijek
przebiega szczęśliwie.
Ile tutaj pór roku
marszczy się i żyma.
A mizdrzy się do pióra.
Rozpościera w klimat,
który zmienia się
zwija powtórnie rozwija
ulega ewolucji.
Dowolnie przemija.

Kraj to bardzo spokojny,
lecz czasem przeszywa
rozpisaną idyllę tam,
huragan w stepie.

Rewolucja nadciąga,
a więc może lepiej
przerwać ją nagłym brakiem
tuszu w długopisie.

Doświadczenie mi mówi
a może przeczucie?

– Zapewne nie podejmie jej
jutrzejszy ranek.

Dziki urody tego kraju rozpasanie
znaczy podróży kostur
twórczym tuszubranie.
Skąd je całe pomieścił
w wąskiej rurce małej?

Tych magicznych robaczków toczono pejzaże,
te zaklęcia pisarza kreślone w ukryciu,
którymi kraj przemierza
– piękniejszy niż w życiu.

I nikt poza nim nie wie,
nie zna tej pustyni,
co na odległej stronie
praży się w upale.

Tam umiera z pragnienia,
lecz walczy wytrwale.
Jutro odnajdzie studnię.
Gdy tymczasem blisko,
gdy próbował soczewką rozniecić ognisko,
nieposłuszny płomyk zajął skrawek mapy
bezkresnej wyobraźni.
Ogień strawił wszystko.

Niedokończony wiersz o trawie

Bez przerwy w dostawach cicho rośnie trawa,
ucieleśnienie rosy usprawiedliwienie
zadośćuczynienie przed jej wniebowzięciem.
Bambusem prosem papirusem ryżem
wokoło gra w zielone chlorofilem strzyże
na jeża ani spojrzy nie lubi plagiatów.

W skromności doszła szczytów prostoty, i w kwiatach,
za to nie zna umiaru skoszonych zapachów.
Kumarynową¹ mową chemicznie dojrzałą
opowiada dzieciństwa – swych korzeni – pamięć.

Ewolucyjnie biegła, istną doskonałość
ureczywistnia kształtów, lecz poetów chyba
urzekła nazbyt rzadko albo wcale. Bywać
tedy poetą zwykła sama w sobie.

Roi się, więc wiersz trawie w jej pierwszej osobie
ale jakże przelotnie, bo w najlepsze schnie
od zimowych przymrozków odcinając się;

skąd jeszcze w niebo pachnąc wyniośle mówiła,
jak się z wiersza o sobie sianem wykręciła.

Cymbałki z Dębna²

Pani Dyrygent Aleksandrze Włodarczyk

Średniowieczne cymbałki –
więc nie z tego świata
i ich stroiciel
i dźwięki muzyki;

a że do nas podobny
jak śmiertelny anioł,
stąd słyszemy ich dźwięki
wspak prawom fizyki.

Krzysztof Rudziński

¹ Kumaryna – związek chemiczny odpowiedzialny za zapach siana.

² XV-wieczne cymbałki ze średniowiecznego kościołka w Dębnie na Podhalu. Jak gdyby wbrew prawu akustyki, ich cieńsze blaszki wydają dźwięki niższe, a grubsze, wyższe.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Ukraińskie marzenie – kartka z dziennika

To było ćwierć wieku temu
w Kamieńcu Podolskim,
zamek,
minaret z Matką Boską,
katownia w podziemiach ratusza,
postument Wołodyjowskiego.

Popłątane są ścieżki historii.
Łatwo zbłądzić
bez wytrawnych przewodników.

– Kochani – mówi mer Nadieżda –
za Polskę, za Ukrainę!
Kieliszki dźwięczą.
– Razem jest nas miliony –
mówi doktor Jurij
– My i wy,
pierwsza potęga Europy!

Oczy się śmieją...
serca rosną.
Marzenie!

Na wyciągnięcie ręki?

Popłątane są ścieżki przyszłości.

– U nas huki wojny
– Woła w słuchawkę Nadieżda
– Na wiwat – mówię
– Teraz jesteśmy Unią!

Ukraińskie marzenie w rękach!
W mdlejących rękach z pancerfaustem.

4 III 2022

Mistyka-fizyka

Szalonym rytmem bije muzyka,
ja ją w ramionach swoich zamykam.
Kiedy ustami warg jej dotykam,
czy to fizyka, czy to mistyka?

Gdy czuję dreszcze i przypływ siły,
a ciała w węzeł mocny się zbiły
i ona oczu mych nie unika,
czy to mistyka, czy to fizyka?

Wirują światła i świat wiruje,
czy się domyśla, co mnie nurtuje?
Gdy się gorąca skończy muzyka,
fizyka będzie, czy też mistyka?

Gorąca, czuła, lecz księżycowa,
los czyta w gwiazdach, za nie się chowa,
przyciąga, wabi, robi uniki,
fizyką ludzi, pragnie mistyki.

Ja drzewo stare z korzeniem w glebie,
z liśćmi, co tęsknie szumią do ciebie,
ziemsko-podniebnej krzykiem liryki
mystykę wzywam, pragnę fizyki.

4 II 2018

Splątanie

Przecież jesteś z materii, lecz z jakiego świata?
Tak realna tak bliska, że jesteśmy jedno –
tak mówią święte słowa – ale czy na pewno?
Niewidoczna pod dłonią, kosmiczna poświata

jak falami ciężenia, magnesu falami
przyciąga moje ziemskie, drżące prądem ciało.
Choć nie ma spieć iskrzących, to wciąż ciebie mało

i błogość stale głodna pod twymi palcami

zaś w uszach nuty śmiechu, czasem zadumania
nad tym spotkaniem rzadkim, w którym tak pasują
kszałty z dwóch różnych światów, a słowa malują

przeszłość z podobnej baśni, dziwny cud spotkania.
Nie chcemy się wypłatać z tej sieci przejrzystej
dziwną mocą wiążącej, upragnionej, czystej.

Są Ludzie

Śmierć to rzecz zwykła, też rozkład ciała,
cierpienie gdy mróz i zamiecie,
walka z naturą, miłość natury
to los nasz, to my w naszym świecie.

Na jedno się zgodzić nie wolno,
tu strona życia jest inna,
gdy dusze i ciało przenika
przemoc bezwzględna i zimna.

Nie mogę myśleć, uciekam
jak kiedyś zbiegowie w knieje,
na pomoc Nieba nie czekam,
jak tu odnaleźć nadzieję?

Jedni budują armaty,
a inni śnią poematy.
Cóż mogę? – Wykrzyczeć światu,
że jest zbrodniarzem dyktator?

Są *Ludzie* z sercem pomocnym,
prawdziwi, nad mroki nocy.
Jest prawda (lęk dyktatora).
Kiedyś nadejdzie jej pora.

Gdy sny się czarne ziściły,
teraz potrzeba ci siły .
Czy dosyć masz mieczy i tarcz?
Walcz Ukraino, walcz.

Tak było zawsze

Zawsze tak samo, zawsze tak samo
tam bomby, rozpacz i krew
tutaj śniadanie, rogalik z kawą,
w programie dowcip i śpiew.

Na Ukrainę dwadzieścia złotych,
ciepło się robi na duszy.
Tam huk nad głową, tam świst nad głową,
jak dobry thriller porusza.

Za siódmą górą, za siódmą rzeką
huk wojny – filmowy dźwięk.
Ale gdy bitwy są niedaleko,
już w sercach budzi się lęk.

Tak zawsze było, tak zawsze będzie,
aż widok ruin i zwłok
kończy przemowy, wzniosłe orędzia.
Potrzebny jest wstrząs i szok,

który wygodnych zrywa do czynu,
a gdy ofiary i glód
ruszą do walki z potężną siłą –
prawo historii – nie cud.

22 III 2022

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

Duch

W starych notatkach znalazłem zapis
„ciało ograniczało jego ducha
kiedy umarł stał się wszystkim”

ile lat miał ten kto pisał
dokąd tak bardzo się spieszył
czego tak naprawdę pragnął

zwykły pomiar ciśnienia
wyznacza granice wyobraźni
ustawia szlaban przed ruchem

ciało szuka przyczyn i związków
bez przerwy dedukuje i indukuje
pyta jak dziecko „dlaczego?”

dopiero nieświadomość ucisza
kojący brak przestrzeni i czasu
i wszelkie pojęcie które przechodzi

Znaczenie

Chociaż niechciane
to jednak wskazują mi na ekran
lokują się gdzieś z prawej strony
albo skrywają w pasku na samej górze

Natalia Kwiczol zapowiada nową płytę
Tomasz Dromader zmienił partnerkę
Izabella Chrzan będzie mówić co myśli
Michał Wiśniowy znowu farbuje włosy

pytanie pierwsze
jakie znaczenie mają takie informacje
pytanie drugie
jakie znaczenie mają dla pewnych ludzi

Klaudia Rozbieralska zapowiada zdjęcia
Zenek Martenowski buduje nowy pałac
Weronika Pupek powiększyła biust
Krzysztof Widzisz cierpi na anoreksję

pytanie trzecie
jakie znaczenie mają ludzie którzy to czytają
pytanie czwarte
jakie jest znaczenie ich decyzji dla mojego życia

Monika Kremowska reklamuje kosmetyki
Kuba Deriperski jednak nie pobił partnerki
Joanna Leszcz szuka auta za milion złotych
Marcin Hak twierdzi że ma coś na żonę

przypomina to aktywność każdego psa
który instynktownie wszystko znaczy
dla psa obsikanie i znaczenie to jedno
ale wierzyć że obsikane ma znaczenie

ostatnie pytanie
czy w ogóle jest jakaś szczepionka na to obsikiwanie

Jerzy Śleszyński

Grzegorz Walczak

Z cyklu *Ukraińska elegia*

Śmiertelna pycha wodza

napisane w piątym dniu inwazji

Jak łatwo jest bezwolnym zgładzić myśl,
jak niepokornym trudno zasiać po bezmyśli spokój.
Gdy bałwochwalstwo raz przyswoi sobie naród,
już odruchowo bije tyranowi pokłon.

Historia nie powstrzyma ślepych na to,
co tak zraniło dziadów naszych i dziś się powtarza.
Wystarczy jeden żądry błysk, jak dla rekina
kropla krwi w okrutnym łbie zbrodniarza.

A zatem trzeba tylu bohaterów
i jeszcze więcej ofiar mocarstwowej pychy,
a potem tylko dzwonów głos pogrzebny
i matek łzy, jak pąki kwiatów na cmentarzach cichych.

Ukraina – Imperatyw kategoriyczny

dzień 10. Ukraina walczy

Takiej tragedii greckiej, jak dramaturg Putin,
nie napisałby żaden Sofokles ani sam Ajschylos.
Szaleńców dużo było, lecz tak wrażej buty
to chyba nie znał nikt. Wieść straszna – w Czarnobyliu

niemal na zapalnik, gdzie „wieczny” sarkofag,
przykrywa postać najgorszego dżina,
nie wiedząc, co czyni, włożył żołdacki profan,
i bomby ciskał w Zaporozu, gdzie czeka atomowa mina.

Czy sprawiedliwość dla nas będzie dobrą tarczą,
i prawdy wyższa racja, no i dobra wola?
Kogo mamy zbawić – tych, co za nas walczą,
czy resztę świata – a bohaterom śmierć albo niewola?

Pluszowy miś

16 III – dwudziesty pierwszy dzień obrony Ukrainy

Dlaczego wybierasz dla tych ludzi pożar
i rozpacz tylu matek,
bohaterstwo synów, którzy stoją
w długim szeregu do Piotrowej bramy?
Ich anioł stróż nie nadąza wyłapywać nadlatujących rakiet.
Okaleczone miasta jeszcze nie uklęknęły.
Wypalone oczy domów zaniemówiły.
Ptaki zapomniały codziennej modlitwy.
W Mariupolu, zamknęci w paszczy Lewiatana,
nie mają już co pić.
A ty, piewco poddańczej wolności,
któremu sny o potędze zamąciły umysł,
siewco śmierci nagłej i nieoczekiwanej,
gdzie przykucnąłeś, w jakim złotym bunkrze?
Do twojego pałacu próżności
nie dochodzi przekleństwo dręczonych,
nie słyhać tam wylatujących w powietrze szpitali,
rozpaczliwych krzyków przedszkolank,
nie widać rozczarowania w przerażonych oczach
twoich żołnierzy – żółtodziobów, których oszukałeś.
Spójrz, idzie chłopczyk charkowskim podwórkiem.
Szuka pluszowego misia, którego pewnie spłoszył dziś poranny alarm.
Rozgląda się za swoją zgubą.
Na moment zamarł, zachwiał się.
Ognisty ptak przeszył mu dziobem serce.
Może teraz znajdzie swego przyjaciela
gdzieś tam... po drodze do nieba.

Grzegorz Walczak

Tamara Bołdak-Janowska

Piiip

krótki dialog Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

BeJot: Piiip mać. Nie no, piiip mać. Można ochupiiip. Zabija się literaturę. Zabiera się słowa. Covid i wojna, medialna propaganda, wytrąciły mi z rąk – wszystko. Zredukowały mnie. Co można powiedzieć w stanie tak zredukowanym? Najwyżej coś o śmierci. Masz. Przeczytam Ci wiersz Rilkego, w znakomitym tłumaczeniu Adama Pomorskiego, słuchaj:

* * *

Łzy wylewam. Wylej, je, wylej,
śmierci, murzynie, dźwigaczu
mojego serca. Nieś mnie pochylej,
niech spłyną. Chcę mówić. Bez płaczu.

Tragarzu serca, olbrzymie, czarnuchu.
Mówieniem co zmienię?
Uwierzyłbyś, że przerwałem milczenie?

Kołysz, staruchu.

No i widzisz, co jeszcze, jaka kolejna redukcja, długotrwała już, tam trzeba wypipować słowa „murzynie”, „czarnuchu”, bo są niepoprawne politycznie przecież. No więc zamiast tych słów powinnam wstawić „piiip” albo zabić ten wiersz, usunąć, jakby go nigdy nie było. A ten wiersz o śmierci jest przecież arcydziełem. I słowa, piiip, piiip, nikogo nie obrażają. Słowa te nie stanowią wyzwiska, lecz zawiadamiają o poczuciu bliskości, i to jeszcze jakiej. Arcydzieło nigdy nie obraża, nigdy nikogo nie krzywdzi. Do tego stopnia pokochałam ten wiersz, że przetłumaczyłam na język prosty w eseju do Czasopisu:

Ślozy lju. Wyli, jich, wyli,
śmierć, nehar, dźwihar
maho serca. Niasi minie bolsz pachilo,
chaj spływuć. Chaczu hawaryć. Ni płaczuczy.

*Bahażowy serca, atlant, smaluszysko,
Ty by pawieryŭ, szto ja prarwaŭ maŭczahnienie?*

Kaŭszy, stary czort.

Słuchałeś? Nie słuchałeś. Mam nadzieję, że mój kochany język prosty nigdy nie stanie się niepoprawny politycznie jak za komuny. I w ogóle, ciągle uchodzi za niepoprawny tu i tam, i już mi się nie chce mówić, gdzie. Ogólnie stwierdzę: u siebie. W swojej ojczyźnie. „Mówieniem co zmienię?” Dobrze, że u nas w domu żyje mój kochany język prosty. Małeńkie życie. Zagaduję na ulicy Białorusinów, a oni: tylko opozycja mówi po białorusku. Zagaduję na ulicy Ukraińców, a oni: białoruski umiera, a ukraiński zaczyna życie w pełni, bo i ci, co go dobrze znają, i ci, co ledwie znają, przechodzą ostentacyjnie na ukraiński, i jak mówią, tak mówią, bo uważają, że bez języka narodu nie ma. Białorusini też mogliby tak, mówić własnym językiem, jak potrafią, literacko czy ludowo, jak umieją. Język zacząłby żyć. Zagaduję następnych, czy w Kijowie jest strasznie? Odpowiedź: Nie, tam nie jest strasznie. Nie? Nie dowierzam, ale i o nic więcej nie pytam. Już na początku wojny niemieckie media podają, że do Polski ruszyła przede wszystkim ukraińska klasa średnia. I że na granicy kwitnie handel ludźmi, młode dziewczyny wpadają w ręce сутenerów.

Tolo: Ty wiecznie zagadujesz ludzi, wiecznie przeżywasz swoje ostatnie mohikaństwo w języku białoruskim. Słuchałem. Porażający tekst. Ale jedźmy dalej, a miało być o poprawności politycznej. Graj piękny Cyganie... stop. Nie wolno.

BeJot: Piękny Cyganie... W Grecji Acigani oznaczało lud wędrujący, wróżbiarski, nie wiadomo skąd, nieznan. Zależy, kto wymawia to słowo, dobry człowiek normalnym tonem, niezabarwionym wewnętrzną nienawiścią, czy rasista, podkreślający złym tonem nastrój swej duszy, a jest on podły w znaczeniu: żaden dobry człowiek tego nie przyjmie. No więc nie samo słowo należy tępić, tylko rasistę. A jest odwrotnie. Graj piękny Cyganie... To tango pozostaje dla mnie na zawsze piękne. Dla mnie słowo „Cygany” jest pięknym słowem. Pięknie brzmi. W tym tangu szczególnie pięknie. Wolny człowiek nie uważa nazwy swojej narodowości za wyzwisko, i nie wstydzi się jej, ale też nie gloryfikuje, popadając w megalomanię narodową, pograżając duszę w nacjonalizmie, i tak samo ma w stosunku do koloru swej skóry. Niech się rasista zawstydzi. Jest dla mnie dupkiem dupków na wieki wieków. Obrażam uczucia rasisty.

Tolo: Ba. Graj piękny piiip... Zabrano ludziom ich zwyczaję, ich sposób życia, inaczej ich nazwano, i jako Romowie powinni być szczęśliwi. Są szczęśliwi? Ty z nimi rozmawiasz. I jedna Cyganka, którą na jej prośbę poczęstowałaś papierosem, mówi do ciebie: Nerwi, pani, nerwi. A my. Czyż nie zabiera się nam przeszłości, wspomnień, literatury wybitnej, tańca. Pamiętasz, jeszcze w starym elementarzu mieliśmy ciepły wierszyk: Murzynek Bambo w Afryce mieszka... Zabrano teksty, które wcale nie pobudzają uczuć rasistowskich.

BeJot: Piiip w Afryce mieszka, piiip ma skórę ten nasz piiip... Co ja tu wypipowuję, przecież ten wierszyk unicestwiono, zabroniono go. Zabrano mi mój elementarz, moje życie. A nasza zagraniczna przyjaciółka, Jok, mówi, że w USA naganni raptem są i Mozart, i Beethoven, i Bach, bo są „zbyt biali”. Słyszysz? Są „zbyt biali”. To znaczy byli „zbyt biali”. I mają być już jako ci, co byli i już się nabyli? Poprawność polityczna nie zmniejsza rasizmu, nazizmu, szowinizmu, a utrwała podwójną moralność, i przesuwając rasizm, i w istocie jest zakazem mówienia przeciw rasizmowi, szowinizmowi, itd., bo odbiera słowa, a nawet, jak widzisz, wielkie muzyczne nazwiska. Hamuje rozwój sumienia. Bez rozwoju sumienia jest martwe, leży odłogiem. Wielka literatura zawsze sprzyjała rozwojowi sumienia. I wskazywała, że jest coś takiego, jak sumienie – bez względu na narodowość czy kolor skóry. Sumienie nie ma ani narodowości, a koloru skóry, bo należy do każdej rasy, do każdej narodowości, i tak samo rasizm. Poprawność polityczna na sumienie nie wskazuje. Trzeba się do niej asymilować tuż za progiem. Zakuć. Co innego myślisz, co innego mówisz. Jesteś poprawny politycznie, ale pozostajesz rasistą i jak tylko będzie okazja, pobijesz tego, kogo już zwiesz Romem, i tego, który ma inną skórę. No i sam jesteś nagle „zbyt biały”. Czy jestem „zbyt biała”, mówiąc, co mówię? Dla jednego rasisty będę „zbyt biała”, a dla „zbyt białego” jestem zbyt czarna, czy zbyt żółta. Kiedyś jakiś rasista wrzasnął w moją stronę: O, żółta idzie. A ja jak im puściłam długą wiąchę cudnych najczystszych polskich wyrazów, w najwyższym stopniu niepoprawnych politycznie, to zbaranieli. No i zostali pewnie do dziś tymi baranami. Zdaje się, że poniżam baranów. Winy nie czuję. To stadko urośnie w stado poprawnych politycznie. I będą używać słowa „bękart”, które ja uważam za poniżające, bo takie jest. Rzeczywiście poniżające słowa same powinny z czasem umierać. Jednak takie żyją. Słowa, nieponiżające nikogo, są zabijane. Piiip, piiip mać. Poprawność polityczna jest narzucana odgórnie, a sumienie zawsze rozwija się oddolnie. Wielka literatura to oddolność rozwoju sumienia autora.

A z wierszyka o Bambo jedyne słowo, które mi się nigdy nie podobało, to „koleżka”. „Murzynek Bambo w Afryce mieszka. Czarną ma skórę ten nasz koleżka” ... Autor dopasował tu rym do „mieszka”. I nie jest to udana operacja na języku. Nieudane to, i już. Ogólnie to wierszyk dopasował do ideologii internacjonalistycznej, wtedy obowiązującej. Już w dzieciństwie raziło mnie słowo „koleżka”. Raniło serce. To o tym trzeba mówić. To jest nie do przyjęcia. W słowie „koleżka” zawiera się lekceważenie, podejrzenie, pogarda. Nie w słowie „Murzynek” na litość boską.

Tolo: Nagle balet *Dziadek do orzechów* jest niepoprawny politycznie, bo pokazuje tańce różnych narodów, a więc dany naród obraża. Jakże pokaz tańca może obrażać? Dobrze wiedzieć, jacy jesteśmy z cudzych oczach, które nie są rasistowskie, a artystyczne. To zdanie wolności. Jeśli się nie spełnia to zdanie czy też zadanie wolności, to wolności nie ma, a co więcej – niemożliwe staje się dzieło sztuki, czy to tekst, czy balet, bo zostaje odebrane tworzywo i dobre oczy. Uwaga twórcy ukierunkowuje się samodzielnie i oddolnie. I tak Czajkowski pozostaje najbardziej znanym na globie i najbardziej kochanym kompozytorem. Ale coś jeszcze. W. Goldberg, rozpędzając się w modnym nowym rasizmie, wypuściła triumfującą nową mądrością tyradę w amerykańskiej TV, że holokaust nie miał za podłoże żadnego rasizmu, bo to przecież biały człowiek gnębił białego człowieka!!! Jasnie panująca nam poprawność polityczna na dworach wolnego świata niespecjalnie się na tym skupiła, bo to przecież nic takiego, to dopuszczalne, bo to taka nowość nowiutka. Zaprotestowali na szczęście Żydzi: a nie tak, moja pani, to niedopuszczalne. To nas przeraża, rani do kości.

BeJot: Na szczęście była reakcja w porę. I była głośna na szczęście. Reakcja w porę to wielka rzecz. Może być wyciszona, usunięta, przemilczana. Takie czasy. Ma być bezmyślnie i bez reakcji w porę, i w ogóle bez reakcji. Przecież mówię, że poprawność polityczna zabija sumienie, wstrzymuje. Piiip mać. Trzeba piiip mać, po nowemu, po nowemu. Przeinaczyć, przeinaczyć. A tylko po to, żeby po nowemu było. Unieważnić wszystko, co było. Omawianie spraw unieważnić. Przeinaczyć ptaka nietola w motyla, a motyla w stalowe drzwi, kota w psa, a psa w kotwicę, a kotwicę w błądą dupę. Tak się nie da żyć i tak się nie da zrobić. Życie to stara sprawa, zaopatrzona w stare słowa, nieśmiertelne i śmiertelne. W mnóstwo starych słów. I jak mówię, złe słowa same umierają, a sprzyja temu oddolnie rozwijające się sumienie wielkiego poety czy pisarza. To sprzyjanie nie bywa tożsame z oficjalnym odgórnym zabijaniem słów, podczas gdy one będą żyły u rasisty w stanie utajonym domowym, aż sobie gdzieś wybuchną w odrażającym czynie.

Poprawność polityczna musi iść w parze z wewnętrznym przekonaniem – musi! A że jest odbierana powierzchownie, dobrze widać. Powierzchownie i jak reżim. Niejeden polityczny typ będzie plótł pierdoły rasistowskie, a przez to jakoby staje się niepoprawny politycznie, bo mu się ją narzuca z góry, i w try miga, i dla niego to nowy reżim, więc się „bohatersko” opiera, a to nie tak. Poprawność polityczna jest dobra wyłącznie wtedy, kiedy jest wyrazem wewnętrznego przekonania i nigdy inaczej. Bez tego staje się odgórnie narzucanym mandatem, w nieskończoność. I zatykając usta rasiście, wcale ich nie zatyka. Niczego nie załatwia. Jej wyznawcy rzucają się na kolejne słowa jak myśliwi na króliki. No i przekraczają już granice, wietrząc w kolejnych słowach ładunek rasistowski. A tak wcale nie jest. Rzucają się na dzieło, na książkę, na balet, na wiersz. Głupio przedobrzyli.

Tolo: Czy nie za głośno mówisz? Właśnie włączył mi się dzwonek ostrzegawczy. Jesteś niepoprawna politycznie. Twój rysunek na szybie jest dla Europejczyka zbyt wyraźny, za ostry. A diamentowe ostrze słowa zbyt głośne dla uszu Europejczyka. Pochucham na tę szybę, niech się zamgli. I już. Widzisz, jaki spokój przynosi zamglona szyba? Nie ma słów, nie ma sprawy. Człowiek zaczyna się czuć komfortowo. I o to chodzi. Komfort dobrego samopoczucia to wartość niezbywalna dla współczesnego człowieka.

BeJot: Komfort ten nie rozwija sumienia, nie porusza. Mnie do żywego porusza to, że Beethoven, że Mozart, że Bach uznani zostali za „zbyt białych”. Wędrujący rasizm. Powiedzmy następująco: rasizm wędruje od ludzi do ludzi. Żyje sobie na naszym świecie rasizm. Wędruje od ludzi do ludzi. Nasza zagraniczna przyjaciółka mówi jeszcze, że obecnie Chińczycy są znienawidzeni za covid, że się ich zaczyna źle traktować, że się oskarża za to, że w istocie nic o covidzie nie powiedzieli, skąd im się wziął, co to jest w rzeczywistości. A więc stosuje się odpowiedzialność zbiorową. Dla mnie jest to wyjątkowo wstrętne. Nie jest dociekaniem, nie jest mówieniem o sprawie, nie jest badaniem sprawy aż do skutku, nie jest trzeźwym politycznym procesem sprawy. Stosowanie odpowiedzialności zbiorowej to element poprawności politycznej? Nienawidzić wszystkich Chińczyków za covid jest ok? No bo srobo... Piip mać. Jak słyszysz, poprawnie politycznie wypipowuję mięcho. To dla żartu. Żart jest zakazany?

Tolo: Nieładny dialog nam wyszedł. Przez dwa lata trzeba było w kółko gadać o covidzie, a dziś o wojnie Rosji z Ukrainą. To nam wypipowuje wszystkie inne tematy. A Ty o literaturze.

BeJot: O wielkiej literaturze, bo to na niej dokonuje się morderstwa, także w imię triumfu produkcyjniaka rynkowego z poprawną polityczną

linią. Młodzi uciekają od otyłych produkcyjniaków. A ani oni, ani ja nie chcemy ani o covidzie, ani o wojnie. O tym, że taka wojna będzie, pisałam 20 lat temu w eseju, w kilku esejach do „Czasopisu”, a jeszcze wcześniej w rozmowach z Niemcami. Przestrzegałam, błagałam o uwagę. Mówiłam o projekcie Jałta Zero, o projekcie KGB – Putin, a wreszcie 20 temu to: o nowej wojnie w Europie. No i nic. Brano to za subiektywne czarnowidztwo albo wyciszano. A dziś nie chcę niczego wieszczyć. Czarno widzę. Coraz czarniej. Już mi się nie chce mówić, gdzie tę czerń widzę. Lepiej coś swego przeczytaj. Może poczuje się lżej.

Tolo: Fragment *Lustra* przeczytam, a to baśń o wędrującym Aju. Aj trafia z planety na planetę, ze spełnionym systemem państwowym, bez marginesu nieporządku, tak charakterystycznym dla demokracji obywatelskiej. I masz fragment słów Paschalisa, mędrca z jednej z tych planet:

„...więc w głębi takiego państwa zasada «prawo-» i «leworęczności» jest **totalna** – rozciąga się na całego człowieka i obowiązuje również nogi. Obywatele takiego państwa nie chodzą, lecz skaczą. Na jednej nodze, nie muszą dodawać, ale dodam – na nodze właściwej. Młodych to nawet bawi, dorośli udają, że przywykli, a starzy, którzy już nie mogą skakać, siedzą albo leżą. Leżeć wolno im tylko na właściwym boku, wskutek czego nabawiają się odleżyn. Dlatego z utęsknieniem myślą o wybawieniu, jakim jest śmierć: zasłużyli sobie na niebo.

Zmarłych w takim państwie też się kładzie na właściwym boku. Jeśli zachodzi podejrzenie pomyłki procesualnej, dokonuje się ekshumacji zwłok i ewentualnie poprawia położenie.

– A czy zwłokom nie jest wszystko jedno? – przerywa zszokowany Aj.

– Absolutnie nie – dusza takiego człowieka, w myśl doktryny, zmylona pozycją, mogłaby powędrować w niewłaściwą stronę

– To i tam obowiązuje prawo i lewo?

– Tak tutaj wierzymy. Bóg prawych przyjmuje prawych, a Bóg lewych – lewych.

Sen czy jawa, zastanawia się Aj. Wszystko wygląda prawdziwie, wręcz racjonalnie – aż się nie chce wierzyć. I po to człowiek kiedyś zszedł z drzewa, żeby zupełnie **stracić perspektywę?**

Przez chwilę Ajowi wydało się nawet, że zobaczył nowe nuty, ale to tylko cienie ptaków posypały się z nieba i jak krople wody roztrzaskały o kamienną posadzkę.

Taki szary deszcz, powiecie? Deszcz jest zawsze szary, chcielibyście kolorowy? Sprawdzajcie i wymyślajcie nowe nuty, **zupełnie nowe** – dał się jeszcze słyszeć głos oddalającego się Paschalisa”.

BeJot: Uspokojona to ja się nie czuję.

Tolo: A musisz?

BeJot: Muszę, żeby spać bez strachu. Ale też wiem, że twoja proza pt. *Lustro* to baśń. Zupełnie nowe nuty wymyślać... Tak. To nie to samo, co zamiana kubka w młot, a buraka w posła czy generała, czy prezydenta. Bałaganiarski dialog nam wyszedł, ni to o poprawności politycznej, ni to...

POTEM

Tolo: No to od początku. O wojnie. Spróbujmy, mimo wszystko.

BeJot: Nie byłam tam, nie widziałam, mogę coś z daleka powiedzieć, wypowiedzieć moje uczucie. I bardzo mi się nie chce! Zmuszam się. Moje uczucie w stosunku do wojny jako sposobu rozwiązywania problemów w XXI wieku to wstręt, całodobowe obrzydzenie, okropne sny, pełne wojny i mego sprzeciwu. Nie ma takiej sprawy, której by nie można rozwiązać pokojowo. Dobrze, od początku. Będąc w stanie zredukowanym, co można powiedzieć, co napisać. Wszystko naraz, covid, wojna, polityczna poprawność, wojna, wojna – wali w twórcę ta potworna trójca i pozbawia go mowy. Jest jak śmierć. „Mówieniem co zmienię?”. Mówię o twórcy, a to niemal przestępstwo, mówić o twórcy – nie? A ja o twórcy, a ludzie giną. Ale co to za twórcy byli, skoro nie powstrzymali ani jednej wojny, a niektórzy zachęcali do boju? Takie pisanie to pierdoły były. Jedyna osoba w XXI wieku, która dotrzymała pisarskiej klasy, to autorka tytułu: *Wojna nie ma sobie nic z kobiety*. Swietłana, Ty się tego zdania nie wyrzekaj nigdy, bo stwierdzę: Twoje pisanie to pierdoły były. Wielka twórczość to zawłaszczający pokój. Wielka twórczość nie bywa ani trochę sentymentalna i nie pobudza atawistycznych emocji, a emocja to odruch, zdania nie zmienię: wielka literatura jest zawłaszczającym antyodruchem. Swietłana, chyba nie pisałaś tego kapitalnego zdania „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety” tak na pokojowym luzie, tak bez ostatecznej pokojowej pewności swej postawy, żeby je w czasie nowej wojny skwitowano uśmieszkiem: to dla bab, to tylko baby coś tam sobie mówią? Jeśli mam je brać poważnie, to muszę stwierdzić, że dotyczy każdej wojny. Tak czy nie? Jeśli dotyczy każdej wojny, to zdanie to marginalizuje kobiety – usuwa ją w cień na wypadek wojny, uznanej za jedynie słuszny środek rozwiązywania problemów. Uznanej tak przez kogo? Nie wiem,

przez kogo, choć media pchają mi przed oczy jedynego winnego od czasów bombardowania Jugosławii, no nie wiem, ale czuję usuwanie w cień mojej osoby z moim uczuciem wstrętu. W ogóle każde pisanie to pierdoły były.

Tolo: Jeśli tak mówisz, to co, to każda wojna jest ważniejsza? Skoro każde pisanie według ciebie to pierdoły były? Jeśli arcydzieło może być zwycięzcą dla wszystkich, arcydzieło jak mówisz – jako zawłaszczający pokój, to co, to nagłe tego zwycięzcy nie ma? Znika ten najpiękniejszy?

BeJot: Na czas pokoju te pierdoły były.

Tolo: To co, to zostaje kategoria historyczna – rozprawy historyczne?

BeJot: To też pierdoły były. Wiecznie po wojnie jej ocena.

Tolo: Co wojny mają w sobie, skoro ciągle wybuchają?

BeJot: Cywilizowany dureń. Wojny wywołuje cywilizowany dureń.

Tolo: Sięgnijmy po naszą stronę mityczną. Jeśli morderca Kain wyszedł wolny, i dostał znak na czole, że jest nietykalny, niech sobie chodzi wolny po świecie, to pytam, czy jesteśmy ślepi na chodzącego wolno mordercę, czy rozmyślamy jedynie nad sposobem jego zabicia, czy pozwalamy sobie wmówić, że Kain musi być, być na naszym świecie, być i być? Utknęłam w punkcie bez wyjścia.

BeJot: „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”, Panie Boże – tak sobie zawołałam. Nie usłyszysz. Mężczyznę słyszał, bo to Bóg facetów jest. Nasza strona mityczna to też pierdoły były. Ze zdania Swietłany Noblistki wyjścia nie ma. Utknęłam w nim.

Tolo: No dobrze. Dlaczego mężczyźni zachowują się tak sentymentalnie? Jedni wywołują wojny, inni sentymentalnie w nie się angażują? Dlaczego mężczyźni nie reagują racjonalnie?

BeJot: Bo od wieków przebywają we własnym towarzystwie. Mężczyzna mężczyzny nie poucza, nie wytyka tego, że racjonalny nie jest.

Tolo: To dlaczego wy, kobiety, w tej sytuacji pozwalacie, żeby nad wami siedział taki ktoś? Jako mężczyzna pytam – czy mężczyzna wie, co robi?

BeJot: Skoro we własnym towarzystwie od wieków facet świat układa, to przecież uznał się racjonalnym na wieki wieków i nie chce wiedzieć, co robi, co wyprawia. Nie chce babskiego spojrzenia. Tłumi je skutecznie.

Tolo: W mediach jeden wielki lament bezsilności, na poziomie emocji, wylewany przez obie płcie. Dyktatora obwołuje się szaleńcem, czyli zdejmuje się z niego winę.

BeJot: Toż to właśnie mówiłam Kazikowi, tak lamentującemu, jak lamentują media. Nie wiem, kto włada mediami. Baba jaka duża czy jaki tradycyjny facet.

Tolo: Ta strona, która ma interes, ale nie wiemy, kto. Dlaczego na takie media godzą się społeczeństwa, które uważają się za wolne i demokratyczne? Budowanie wojny przez media, to się dzieje. Dlaczego jest zgoda?

BeJot: Sęk w tym, że media wyhodowały zbiorowy mózg tłumu. Jeśli wyjdiesz przeciw tłumowi, to cię uduszą. Jesteś sam. Jesteś nieliczny. W społeczeństwie, uważającym się za wolne i demokratyczne, taki jeden ktoś się przedrze, choć na chwilę, zaburzy zbiorowy mózg tłumu. No choć na chwilę się przedrze. Zanim go uduszą. Albo się przedrze skutecznie, a za nim pójdzie wielu. No i jest jeszcze coś w takich społeczeństwach, z przedartym głosem wolnego człowieka: jeśli tylko prezydent wędruje w stronę dyktatora, to się organizuje wybory i wybiera kogo innego. A jeśli ten ktoś następny okaże się dyktatorsko durny, to też się go zmienia, bo działają procedury demokratyczne. Jeśli te są zaburzone, to prezydent staje się nieusuwalnym dyktatorem – poczucie władzy tak działa. Jednak i dyktatorzy nie są nieśmiertelni. Tylko mogą żyć długo, a w tym czasie dojrzewa, co tylko chcesz, sprzeciw, sentymentalne pragnienie wolności, ale i pęd ku wojnie domowej. Ale powiem coś jeszcze. Dla mnie obrzydliwe są wojny domowe i wojny jako takie. To zaszłość, to XIX wiek, to powinno zdechnąć w naszym nowym wieku. A jestem za postawą Gandhiego, jeśli chodzi o wrywanie się spod władzy kolonizatora. Idziemy przeciw karabinom kolonizatora, nawet ginimy, ale idziemy, nieuzbrojeni, pokojowo, nieustępliwie. Idziemy, szeregami, już są nas miliony, gołą piersią stawiamy opór, nasz opór się rozwija, naszych gołych piersi będzie coraz więcej, aż do skutku. To byłby XXI wiek. Protest białoruski był taki. Nie został doprowadzony do końca, do skutku. Rozmył się na wyłonieniu z tłumu protestujących Cichanoŭskiej, która miała dokonać cudu ukrócenia rządów dyktatora. Cudu nie będzie, bo żaden człowiek nie jest od cudów, i Cichanoŭska też nie. Na razie to baba wstrzymana – tak to ujmę. I zrobiona na medialną lalkę, bez śladu choć jednej zmarszczki. Popkulturowa polityka. No i ciągle mówi po rosyjsku, choć przecież białoruski zna. Za dużo nadziei w nią lud położył – tak to ujmę, a taki stan ludu to XIX wiek. Urwany bunt, bo ma być cud. Polska reakcja to: nie było rozlewu krwi, więc Białorusini okazali się durni. Nie warto za bardzo się nimi przejmować. Opór bez rozlewu krwi to ukraiński opór językowy: mówimy po ukraińsku, mówimy w ojczystym języku. Piękny opór. To mi się podoba. A wojenna typowa męska napierdalanka nie podoba mi się, bo „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. Utknęłam w tym zdaniu – ono jest dla mnie na zawsze. Nie ma z niego wyjścia, ale ono jest! Jest takie zdanie! Putin od początku był projektem KGB i tą durną Jałtą Zero, o której bębnił

od początku swej prezydentury, a ja o tym pisałam i pisałam, a teraz znowu o tym przypominam. Przejechał się na Ukrainie, bo posługiwał się przestarzałą koncepcją, że to odin naród z Rosjanami. Ukraińcy już poznali smak mówienia o sobie w ojczystym języku i nie ustąpią, bo to nie odin naród, język swój mamy i kochamy go. A Białorusini z tą swoją Francją-elegancją protestu rozmyśli się na Cichanoўskiej...

Tolo: Tak, ona miała tubę po rosyjsku, więc odin naród wchodzi w grę...

BeJot: Skoro ten sam język... Ale może to wstrzymanie jej w rozwoju, jak i jej „ludu”, jest czekaniem na lepszą polityczną okazję... A ja wołam: Białorusini, mówcie w swoim ojczystym języku do cholery wreszcie! Organizujcie szkoły! To wszystko, co powiedziałam o wojnie jest oczywiście mówieniem o wojnie z oddali, z boku. No i z tym zdaniem, z hasłem, z którego nie mam wyjścia: „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. Wielkorusy, czyli ludzie mocarstwowi, z mentalnością mocarstwową, uważają, że języka białoruskiego używają tylko naziści, bo był taki białoruski epizod – bratali się z nazistami, a podczas tego bratania się organizowali sobie szkoły z białoruskim językiem nauczania. I Wielkorusy podobnie traktują Ukraińców, bo to wszystko nacyki mają być. Mocarstwowe spojrzenia poznałam i od Amerykanów. Mocarstwa są bliźniaczo podobne w mentalności, ale Amerykanie mają stały dopływ sygnału – stop! Na szczęście. Niekiedy po czasie, po tym, jak już dokonali gdzieś typowej męskiej napierdalanki wojennej. Nie znoszę spojrzenia mocarstwowego. Mówię o tym otwarcie. Spojrzenie mocarstwowe to spojrzenie z wysoka na każdą inną kulturę, na inne wyznanie, narodowość i tak dalej. Łatwo zrobić „naszą wojnę” na kimś z tych niższych. Poza tym, o czym już media nie mówią, ale mówiły: Biden oficjalnie zezwolił Putinowi na zrobienie, jak się wyraził „małej wojny”. I miało być na tę „małą wojnę” zero amerykańskiej reakcji. A mówił pokrętnie, mętnie, długo, a nawet jakoś wesołkowato. Ale jednakże takie zezwolenie było. Pomyślałam wtedy, zdurniał, czy co? Sama zdurniałam, słysząc to.

I coś jeszcze: na tym naszym spotkaniu przeciw wojnie Putina drą się pisarze w obronie ukraińskości, a ja na własne uszy słyszałam jeszcze wczoraj, jak to popierają po dziś i na zawsze akcję Wisła, bo inaczej „mielibyśmy polskie Bałkany”, bo „Ukraińców słusznie wywieźliśmy, bo oni nienawidzą Polaków, a Polacy też ich nienawidzą, bo UPA wiecznie żywe, no i kocioł bałkański gotowy”. No widzisz. Jak to na pokaz było, te wszystkie nagle „nowe słowa” miłości? Ja takiej nieszczerości nie mogę na sobie dokonać. Nie umiem tak pięknie kłamać.



Tolo: Zrobiło nam się duszno, nie do zniesienia. Wpuśćmy trochę powietrza z innej materii: sen jest jedyną wolnością – wolną od jakichkolwiek konsekwencji, chyba że ktoś zaryzykuje opowiedzenie go, a to czasem staje się koniecznością. Zatem – kurtyna!

Bogata trójwymiarowa sceneria w pięknych kolorach. Misterium pt. *Sprawozdanie z wojny*. Podtytuł: *Sprawozdanie ma pobudzić słuchających, lecz w gruncie rzeczy dominuje w nim obojętność*.

1) Sprawozdanie rosyjskie. Duży basen, wypełniony wodą, w niej pływają wyrazy. Każdy zanurza w wodzie język i wypuszcza z niego przed siebie wyrazy. Rosyjskie wyrazy są jakoś mdłe i jakoś omdlewają. Omdlewają w połowie. Tam, gdzie głowa. Mają głowę i już nie mają.

2) Sprawozdanie polskie. Ten sam basen i te same wyrazy, ale są one białe-czerwone. Trzeba złowić językiem wyraz, taki białe-czerwony, trochę tak, jakby go lizał w kolor ten i ten, i puścić go przed siebie pod wiatr, żeby głośno łopotał.

3) Sprawozdanie niemieckie. Ten sam basen i te same wyrazy, lecz mają kształt niemieckich wihajstrów, takich z bardzo dokładnym wykończeniem. Procedura łowienia i wypuszczania przed siebie wyrazów podobna, jednak brane pod światło wyrazy te nie wykazują znaków wodnych.

4) Sprawozdanie francuskie. Jak wyżej, ale jakby bardziej operetkowo. Wyrazy wyginają się w dwóch płaszczyznach, ni to w przód, ni to w tył, a języki są bardzo długie i kłębaste, i podobnie falujące, ni to w przód, ni to w tył, i z tych języków spływają te same wyrazy o wojnie.

5) Sprawozdanie amerykańskie. Basen kojarzy się z mennicą i pocztą, a pływające w nim wyrazy przypominają z jednej strony znaczek pocztowy, a z drugiej banknot, popstrzony klejem. Z języka wyrazy spływają ze smakiem obowiązującej doktryny. Ci, którzy mają podejrzenie słusznego falsyfikatu, uspokajają się szybko, że „Bóg kocha Amerykę”.

Komu się śni inaczej, cóż... też nie musi wierzyć.

Ale czy wołanie „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety” nie jest ułomne? Są baby wojny.

BeJot: Baba wojny to facet wojny. Dobrze byłoby, gdybyś coś męskiego w tym duchu wykrzyknął.

Tolo: Mogę to samo męskim głosem, wtedy wołam do baby wojny, ale ona głucha. Widzisz, że z tego wołania powstaje nam martwy punkt.

BeJot: Gdyby ktoś napadł nam naszą ojczyznę, chwytny za broń, nie?

Tolo: Tak. Wtedy powstaje naturalny odruch chwytania za broń. Karabin jest jednak dla nas za ciężki. Jesteśmy w takim wieku, że chwytny kanton z lekarstwami na drogę, myśląc, że jak się skończą, to umrzemy to żaden zwycięzca nas już nie uratuje. Karabinu nie uniosę i uciekać nie mam już sił. I ty tak samo.

BeJot: Wojna nie ma w sobie nic ze starego człowieka, nic z dziecka. Wojna ma w sobie wszystko, czego nigdy nie powinno być.

Tolo: Pozostają nam czyny nieracjonalne. Przecież zaklinany wojnę: przecież codziennie coś maluję na suficie według twego projektu – mamy już duże wesołe słońce w płomiennym kwadracie, mamy kolorowe planety, chmurki, jaśniejszą na ciemnej, murzynka-aniola w zielonym i niebieskim skrzydle, gwiazdki jak u Joana Miró, czerwone i czarne kwadraty, proste maźnięcia pędzlem, takie wesołe kreski, seledynowe, różowe, cały kuchenny sufit stał się jak kolorowa narzuta. Jest w tym zaklinaniu element wiary: a nuż takie zaklinanie wojny wyprze ją ze świata i nie zginą już ludzie, a wrogowie oprzytomnieją. Masz tu jeszcze fragment z mego *Lustra*:

„Jeśli jest poniedziałek, to dobrze, że jest poniedziałek – przyjmij go jak gościa. I wprowadź do najpiękniejszego pokoju, i powiedz: tu cię nikt nie obrazi, nie skrzywdzi.

I nie obciążaj go zbyt wtorkiem ani środą, bo jutro najpierw musi nadejść. I nie zasypuj go łupinami i skorupami po sobocie i niedzieli – one należą już do łupin i skorup.

Nie wieszaj też na nim płaszcz ostatnich lat. Bowiem lata już się do-
dały do lat.

Jeśli jest słońce, to w nocy powinien być księżyc i Ziemia może pewnie trzymać się kursu, do którego przywykły okna twego domu. i firany, i zasłony. I wszystkie sprzęty, czy to stojące, leżące czy wiszące.

A jeśli przyjdzie zły człowiek? Żeby ci wszystko odebrać? Spalić twój dom z całym inwentarzem żywym i wytworzonym?

I zetrzeć twoją trwogę i bicie twego serca?

I mimo, że słyszałeś o pokojowym Chrystusie, będziesz musiał to zrobić: zabić”.

Tekst i rysunek: Tamara Bołdak-Janowska

Krzysztof Choiński**Polski los***(dwa fragmenty powieści)***Pokusa 1916**

I znowu snuły się dni, znaczone monotonnymi zajęciami szaro-bure dni wiosny, która niby to nadchodziła, a potem cofała się spłoszona. Rzadkie spotkania przy wódce i coraz marniejszych zakąskach kończyły się nieodmiennie chóralnymi śpiewami, po rozważeniu któryś tam raz niepewnego losu żołnierzy bez państwa i bez wsparcia zwierzchników... poza tym jednym, który prowadził niezbyt dla nich zrozumiałą grę, ale któremu ufali bezgranicznie. Zbliżała się Wielkanoc. Z frontu docierały ciągle wieści o ponurym życiu w okopach, przywożone przez urlopowanych legionistów, albo przez rekonwalescentów po trapiących armię niczym plagi egipskie chorobach. Gdzieś pod Dyneburgiem zapowiadała się ofensywa rosyjska, na froncie zachodnim było „bez zmian”, tylko jatka pod Verdun trwała nadal bez ostatecznego rozstrzygnięcia. Padały ponure liczby: trzydzieści tysięcy... pięćdziesiąt tysięcy... siedemdziesiąt tysięcy... W końcu ludzie zaczęli obojętnieć na ich straszliwy sens. Bronisław pogrążył się we wspomnieniach o Marysi Ślabiszewskiej. Popadał stopniowo w nastrój coraz bardziej melancholijny, z którego wydobyło go nowe zajęcie, zupełnie nieoczekiwane.

Interesował się zawsze nowinkami technicznymi. Odczuwał od dzieciństwa niezwykły podziw dla mnożących się wynalazków, z entuzjazmem śledził rozwój techniki, marzyło mu się, że sam zostanie kiedyś inżynierem i obdarzy ludzkość jakąś nową maszyną. Kiedy już jako dorosły człowiek przeczytał reportaż z pierwszego lotu braci Wright, powiedział do starego buchaltera, u którego terminował w hucie jako jego możliwy następca:

– Oto przyszłość naszego świata!

Urzędnik spojrzał na niego znad zsuniętych na czubek nosa okularów i odrzekł tonem pobłażliwym:

– Ech wy, młodzi! Ta zabawka będzie służyć jako rozrywka na jarmarkach i nic więcej. Przecież oni lecieli tylko przez półtorej minuty, a ile paliwa trzeba, żeby pofrunąć dalej? I jak ta maszyna je udźwignie?

Bronisław nie odpowiedział nic, nie chciał wdawać się w dyskusję z człowiekiem, którego szanował, ale pomyślał sobie, że starzy nie nadążają za postępem. Pasjonował się nadal wszelkimi wiadomościami o sukcesach lotników, martwiły go wiadomości o katastrofach, próbował nawet rozszerzyć swoje wiadomości z fizyki, ale brakowało podstaw, nauczyciela, wreszcie czasu. Przy kolejnych lotach, otwierających dalsze etapy rozwoju aeronautyki, nie mógł powiedzieć swemu mentorowi „A nie mówiłem”, bo buchalter zmarł na serce dwa lata po tej rozmowie.

Wśród budzących zainteresowanie Bronisława wynalazków była fotografia. Fascynowała go możliwość utrwalania twarzy i sylwetek ludzi, którzy mieli kiedyś tam umrzeć, a mogli żyć wiecznie na kartonikach ze specjalnego papieru. Obserwował zawodowych fotografów, zadawał im często pytania i powoli zaczął rozumieć, jak to wszystko funkcjonuje. Obecnie widywał człowieka, który swego czasu „zdejmował” panny z Oddziału Wywiadowczego. Był to znany w całym mieście specjalista, u którego zamawiano zdjęcia z wycieczek, ślubów, spotkań koleżeńskich czy jubileuszy. Pewnego dnia Korowski zobaczył go na ulicy, w trakcie uwieczniania budynku Rady Miejskiej i przystanął. Ten zauważył zainteresowanie przechodnia i przerwał na moment swoje zajęcie.

– Umie pan może robić zdjęcia? – zapytał, zaciągając się śmierzdzącym dymem machorki zawiniętej w kawałek gazety. – Może wywoływać?

Bronisław westchnął i machnął ręką.

– Gdzie tam! Ja tylko tak... platonicznie.

– Szkoda. Potrzebuję kogoś do pomocy. Wziąłem na naukę jednego i drugiego chłopaka, ale to mało, niczego nie rozumieją. Marnują mi tylko papier i odczynniki.

– Nie mogę się najać. Sam pan rozumie – służba.

– No tak, oczywiście. A może chciałby pan popatrzeć na moją robotę? Niech pan przyjdzie do mnie wieczorem. Po siódmej jestem zawsze w domu.

Na wręczonej mu wizytówce Korowski znalazł adres. Dał się skusić i od tej pory stał się kimś w rodzaju bezpłatnego terminatora, bez obowiązków, ale z dostępem do wiedzy i umiejętności niezwyklego fachowca. Poświęcał każdą wolną chwilę na wieczorne wizyty w zakładzie „Janusz Bylski, zdjęcia pamiątkowe i inne”, gdzie słuchał wykładów z historii fotografii, rozważań o zaletach i wadach różnych typów klisz i papierów, obserwował pilnie wszelkie czynności swojego mentora, wreszcie został dopuszczony do wywoływania i utrwalania. Okazał się uczniem tak pojętnym, że Bylski powiedział kiedyś podejrzliwie:

– Pan mnie chyba nabiera. Musiał pan już mieć z tym do czynienia. albo ma pan wyjątkowy talent.

Wysłuchawszy wyjaśnień, czemu jego gość nie mógł zetknąć się czynnie z rzemiosłem fotograficznym, popatrzył w zadumie na suszące się odbitki z jakiegoś ślubu i rzekł:

– Wie pan co, panie Bronisławie? Niech pan weźmie zwolnienie z wojska, a ja pana przyjmę na stałego pracownika. Może nawet po pewnym czasie zostaniemy współnikami. Zarobki są nie najgorsze, z głodu nie umrzemy.

Korowski poprosił o dwa dni do namysłu. Pasował się z myślami, rozważał wszystkie „za” i „przeciw”; propozycja zapowiadała kawałek chleba nie do pogardzenia, może dorobiłby się na tyle, żeby w przyszłości założyć własny zakład? A przecież, jeśli powiodą się plany małżeńskie, trzeba będzie zapewnić rodzinie jakiś przyzwoity byt.

Kiedy tak rozmyślał pewnej nocy, paląc papierosa na ganku, poczuł nagle na sobie czyjeś spojrzenie. Wrażenie było materialne, jakby ucisk na potylicy. Zszedł po schodkach na żwir ścieżki, żeby zadeptać niedopałek. Ciężar nie ustępował, nacisk rósł, jak gdyby ktoś chciał zmusić go do obejrzenia się. Włosy zjeżyły mu się na głowie, bo nie wiadomo czemu był pewien, że patrzy na niego ojciec.

Bronisław, jako sceptyk, nie wierzył w zjawy i upiory, wszelkie modne opowieści o seansach spirytystycznych zaliczał do bajek rozhisteryzowanych panius. Tym razem jednak zaszło coś niewytłumaczalnego, po prostu wiedział, że ten człowiek, którego nie może pamiętać, stoi przy nim.

– Czy ty tu jesteś? – spytał półgłosem.

Wokoło panowała cisza kwietniowej nocy, już cieplejszej, ale wciąż wilgotnej. Najlżejszy powiew nie poruszał gałęziami jabłoni. Bronisław zaczął tracić oddech. Obejrzał się – nikogo. Nagle zalała go fala myśli chaotycznych, niczym wylewających się z jakiegoś kotła czarownic. Ludzkie egzystencje unicestwione na polu, które nie było polem chwały, a raczej ogromną, śmierdzącą gnojówką cierpień i agonii, często nikomu nie znanych... Franciszek Korowski uszedł z życiem, ale za jaką cenę? Najpierw leczył się z ran, ukryty w stodole, potem tułał się Bóg wie gdzie, zmieniał nazwisko, zniknął, gdy go wywęszyli, peregrynował z jednego końca Królestwa na drugi, w końcu zapadł w matecznik świętokrzyski. Kiedy fala poszukiwań i represji opadła, wyswatano go z dziewczyną stojącą u progu staropanieństwa; dzięki teściowi dostał tę mizerną dzierżawkę i dokonał żywota porwany przez gwałtowną chorobę. A wszystko po to, by świat przypomniiał sobie o zamordowanym kraju, żeby „nie zginęła”... Czy wobec tego dziś, gdy

rozpętała się gigantyczna zawierucha, przepowiadana przez poetów i polityków, on, Bronisław Korowski miałby zrezygnować, uciec, schować się?

Zapalił następnego papierosa, zaciągnął się raz a dobrze, po czym zgaasił go i powoli wszedł z powrotem na ganek. „Robię się przesądny, jak stara baba”, pomyślał.

Następnego dnia powiedział Bylskiemu:

– Wie pan, jednak nie mogę przyjąć pana propozycji. Jestem panu bardzo wdzięczny, ale są pewne względy, dla których...

Fotograf popatrzył na niego uważnie, nie zażądał dalszych wyjaśnień i rzekł:

– Rozumiem. Szkoda, bo ma pan talent.

Nie rozmawiali o tym więcej. Bylski zrobił się jakby trochę osowiały i małowówny, zaś Bronisława zajęły sprawy osobiste i tak się jakoś stało, że przestał odwiedzać fotografa. Zainteresowania rzemiosłem nie stracił, ale sęk w tym, że „tajne panny”, jak je kiedyś nazwał Witelski nagle powróciły. Domek na przedmieściu ożył, dziewczyny wychodziły na spacer, czasem grzebały w ziemi, usiłując wskrzesić zaniedbany ogródek. Bywały i takie godziny, podczas których na zewnątrz panowała pustka, za to przez świeżo umyte okna widziało się siedzące przy stolikach podwładne, zaś naprzeciwko nich stał dowódca i mówił coś z dużą swadą. Co pewien czas odwracał się i pisał na szkolnej tablicy kilka zdań, a panny pilnie notowały.

Bronisław zjawił się tam raz i drugi, został przyjęty bardzo uprzejmie, udało mu się wznowić spacer z Marysią, ale czuł, że zaszła jakaś zmiana. Dziewczyna była dziwnie milcząca, wymizierowana, roztargniona i w ogóle robiła wrażenie, jakby myślała przez cały czas o czymś innym. I nagle nastąpił wstrząs: oznajmiła, że wyjeżdża. Zapowiedziała to lojalnie na spacerze, na który on wybrał się z bukiecikiem fiołków, trochę na rekonesans w sprawie oświadczyń, które powróciły w jego planach. Podziękowała za kwiatki serdecznie, a potem rzekła:

– Muszę kolegę powiadomić, że znowu wyjeżdżam i chyba już tu nie wrócę, Dostałam nowy przydział.

Bronisławowi zaparło dech w piersiach:

– Ale zaraz, jak to? Dokąd?

– Przenoszą mnie do szpitala w Krasnymstawie. Jak wspomniałam, byłam przedtem pielęgniarką, a potrzebne są na gwałt nowe siły fachowe. Poprzedni personel sanitarny trochę się wykruszył.

– Nie mają już nikogo innego? – wykrztusił i zaraz poczuł, że chyba powiedział coś głupiego.

– To wszystko dlatego, że front może się obudzić lada tydzień. Poza tym organizują tam oddział zakaźny, a ja mam pewne doświadczenie w tym względzie. Zdarzyło mi się pielęgnować chorych na tyfus.

Dostrzegłszy na twarzy Bronisława przerażenie, dodała z uśmiechem:

– Proszę się nie martwić. Jeden z naszych lekarzy powiedział kiedyś, że mam wrodzoną, wysoką odporność na infekcje.

Dalszy ciąg spaceru był melancholijny, odzywali się rzadko i zdawkowo. Po dwóch dniach Bronisław wstał o piątej rano, żeby odprowadzić Marysię na pociąg. Na zatłoczonym peronie śmierdziało, ludzie popychali się i przepychali, grzmocili bagażem po nogach każdego, kto stanął im na drodze. Poranna mgła mieszała się z dymem walącym z komina lokomotywy. Kolejarz z młotkiem na długiej rękojeści szedł wzdłuż składu, pochylając się od czasu do czasu, by flegmatycznie stuknąć w osie. Bronisław wziął szturmem najbliższy przedział, wciągając za sobą pannę z jej tekturową walizką i plecakiem. Odgrodził łokciami wybrane miejsce, posadził na nim swoją podopieczną, a że było już słychać okrzyki konduktorów „Proszę wsiadać! Drzwi zamykać!”, pocałował ją w rękę i wyskoczył na peron. Potem szedł równolegle do toczącego się wolno pociągu, wpatrzony w uśmiechniętą twarzączkę, widoczną w oknie.

– Proszę o kartkę z adresem! – zawołał.

Marysia skinęła głową. Oboje wiedzieli, że chodzi o numer poczty polowej.

Kartka przyszła po tygodniu, była miła i ciepła. Nadawczyni wspominała spacer, które pozwoliły jej oderwać się od trosk i zagrożeń wojennej egzystencji. „Dziękuję Koledze za opiekę i za to, że Kolega stworzył mi na chwilę zaciszny kąt”, zakończyła. Bronisław długo medytował nad kartką zastanawiając się, czy tekst oznacza to, co on chciałby, żeby oznaczał. Odpisał kwieściście i aluzyjnie, po czym zaczął szukać sposobu na uzyskanie rozkazu wyjazdu do Krasnegostawu, albo gdzieś w tamte okolice. Okazja nawinęła się niejako sama: Witelski zaanonsował, że wysyła go do Lublina.

– Pojedziesz do Miitargeneralgouvernement w sprawie zaopatrzenia magazynów. Tu masz pismo i wszelkie towarzyszące brednie. A tak naprawdę...

Tu nastąpiła seria tajnych spraw do załatwienia, kilka adresów i haseł do zapamiętania. Bronisław kiwał głową, powtarzał polecenia, ale w pewnej chwili wtrącił:

– Boguś, czy nie mógłbyś wysłać mnie przy okazji do Krasnegostawu? Chorąży przerwał litanie konspiracyjną i spytał podejrzliwie:

– A na cholerę ci Krasnystaw?

– Wiesz, mam tam coś do załatwienia... – Korowski poczuł, że policzki zaczynają go palić. – Tak raczej prywatnie...

– Ech, ty stary kombinatorze! Już wiem! Koleżanka Słabiszewska dostała przydział do tamtejszego szpitala! Dobrze mówię?

Po czym na jeszcze jedno, pełne konfuzji skinienie głową, poklepał go po ramieniu:

– Nie martw się. Zobaczymy, co da się zrobić.

W ten oto sposób rozkaz wyjazdu został uzupełniony o nazwę miasteczka i dodatkowy, całkowicie fikcyjny cel podróży.

Następnego dnia, idąc na stację, natrafił w mizernym słońcu kwietniowego popołudnia na scenę, która wstrząsnęła nim do głębi. Oto ulicą szedł fotograf Bylski, zakuty w kajdanki, pod eskortą trzech żandarmów austriackich. Twarz miał poszarzałą, na wąsach widniały resztki jedzenia – widocznie zgarnęli go w czasie obiadu. Spojrzał przelotnie na swego byłego ucznia i w jego oczach ukazał się na sekundę błysk rozpacz, a może coś w rodzaju prośby o ratunek? Jeden z żołnierzy popchnął aresztanta, nakazując mu przyspieszenie kroku i cała grupka minęła Korowskiego, który stanął jak wryty. Co to było? Czego chcieli od fotografa? Bronisław obejrzał się za nimi z poczuciem beznadziejnego smutku.

W pociągu przyszło mu do głowy, że może być powołany na świadka. Gdyby chodziło o jakieś sprawy gospodarcze, na przykład o zakup materiałów fotograficznych „na lewo” od sojuszniczej intendencji, to pół biedy, ale jeżeli to coś gorszego? Wtedy sam diabeł nie wybroniłby jarmarcznego artysty. Lepiej było nie myśleć, co nad nim wisi.

Jesienny turysta 1939

Podróż z Chełma do Puław pozostawiła Władysławowi Korowskiemu wrażenie czegoś upiornego, co przypominało stare sztychy, ukazujące okropności wojny. Pedalując z wysiłkiem, któremu towarzyszył ból poobcieranych stóp, patrzył na kikuty spalonych drzew, ruiny domów, strzaskane wraki samochodów i furmanek, na ludzi idących niczym w lunatycznym śnie, z węzełkami i większymi tobołami na plecach. Raz, w polu, dostrzegł wbity w ziemię kadłub i połamane skrzydła z biało-czerwonymi szachownicami; była to chyba jedna z wersji RWD, sportowego samolotu,

służącego na czas wojny jako łącznikowy. Przez mgnienie zastanowiło go, czemu wrak nie został dotąd uprzątnięty, ale zaraz jego uwagę przyciągnęła kobieta, stojąca nieruchomo przed spalonym płotem, za którym widniał czarny, osmalony szkielet resztek murowanego domu, z kominem wzniesionym ku niebu niczym ręka w geście błagalnym czy wyrażającym. Oto dzisiejsza żona Lota, pomyślał, zamieniona w posąg dlatego, że widzi karę za grzechy nie popełnione, efekt zła tryumfującego, pełnego pychy o rozmiarach dotąd niespotykanych. Mijały go motocykle, prowadzone przez zamaskowanych jeźdźców Apokalipsy w skórzanych płaszczach, z lufami karabinów maszynowych sterczącymi z przyczep, samochody terenowe o kształcie przypominającym wannę, wiozące rozpartych szeroko oficerów w czapkach, których zadarte z przodu ku górze denka miały stać się symbolem zagrożenia. W kolejnym miasteczku wjechał w tłum piechurów, rowerzystów, wozów zaprzężonych w konie tak umęczone, że ledwie trzymały się na nogach. Po chwili okazało się, że za zakrętem głównej ulicy stoi posterunek, który kieruje potok uchodźców gdzieś w lewo. Za plecami obojętnego wartownika, wykonującego automatyczne ruchy kolorowym kółkiem na drewnianej rękojeści, widać było w perspektywie rynku ustawione równo czołgi i kręcące się obok nich sylwetki w czarnych mundurach. Zanim Władysław zdążył skrócić w ścisiku, zobaczył jeszcze wypaloną kamienicę i fragment skwerku z usypanymi naprędce mogiłami; przed jedną z nich klęczały dwie kobiety pogrążone w modlitwie.

Wyjechawszy z miasteczka, natrafił na kolumnę samochodów ciężarowych, których platformy były osłonięte plandekami w zielone, różowe i żółte plamy. W codziennym języku utrzymało się określenie „kolor ochronny”. Władysław spodziewał się zobaczyć wewnątrz żołnierzy, siedzących sztywno z karabinami ustawionymi przed sobą – widok taki zdążył już spowszechnić. Okazało się jednak, że ciężarówki wiozą stosy skrzyń, strzeżone przez pojedynczych wartowników. Zdjęła go ciekawość: amunicja, broń, czy konserwy? Boże, ileż tego zabrakło naszym, a ile zostało porzucone na drogach!

Zatrzymał się u furtki gospodarstwa, które nie było zrujnowane i zagadnął stojącą przy płocie starą kobietę o pomarszczonej twarzy:

- Niech będzie pochwalony! Czy mógłbym prosić o łyk wody?
- Na wieki wieków. A no, proszę, proszę. Tego się nie odmawia.

Naczerpał prawie całe wiadro ze studni osłoniętej omszałym daszkiem. Najpierw opłukał twarz i ręce, a potem pił jak koń, wsadzając nos bezpośrednio do kubła. Przeleciało mu przez myśl, że gospodyni, która stoi

obok przyglądając mu się z uwagą, chciała dać do zrozumienia, iż tylko tyle dostanie za darmo. Pomylił się. Kiedy oparł się oburącz o ocembrowanie i łapał oddech, kobieta powiedziała z troską w głosie:

– Pan z daleka.

– Tak – odrzekł krótko.

Nie miał zamiaru udzielać informacji o przebytej trasie ani o celu podróży.

– Musi, co pan głodny. Ja zaraz...

Odwrociła się i podreptała ku domostwu, niskiemu, krytemu strzechą, jakby wbitemu w ziemię.

Władysław zaczął dręczyć pytanie, jaką sumę może poświęcić na zaspokojenie głodu. Od rodziców dostał połowę tego, co mieli, złotówka była jeszcze oficjalnie w obiegu, o czym wiedział z przypadkowych rozmów. Usiłował obliczyć, czy wystarczy mu na opłatę za ślub i na podróż z Ireną, choćby tak zwaną okazją. Z drugiej strony obawiał się, że organizm odmówi posłuszeństwa – ostatni raz jadł coś wczoraj po południu.

– Niech wam będzie na zdrowie – usłyszał obok.

Stara kobieta podawała mu przekrojoną na pół pajdę razowca, w której tkwił kawał sera.

– Dziękuję. Ile jestem pani winien?

Zamachała rękami, jakby oganiając się od stada os.

– A dy naszym nie wolno żałować! Zrobiliście cośta mogli, ale siła złego... I co, macie tera z głodu zemrzeć po drodze do domu?

Zrozumiał. Wzięła go za żołnierza przekradającego się w cywilu, żeby nie pójść do obozu... To te buty z cholewami!

Pochylił się i pocałował ją w rękę. Podnosząc głowę zauważył, że druga dłoń kreśli nad nim znak krzyża. Napełnił jeszcze wodą manierkę, bezcenny atrybut tułaczy i wsiał na rower. W głowie miał wspomnienie o tamtej kobiecie z Łucka, która pokazała mu drogę do szewca.

– Dziękuję z całego serca – rzekł najgoręcej jak tylko umiał. – Wie pani, jadę do narzeczonej, weźmiemy ślub jak najprędzej.

– A to podobnież sam nasz główny biskup nakazał, żeby udzielać sakramentu bez zapowiedzi. Bo to czasy ciężkie i niepewne...

Z trudem powstrzymał dziki okrzyk radości. Oto – jeśli to prawda – znikła najtrudniejsza przeszkoda na drodze do możliwie szybkiego zawarcia małżeństwa: nie będą musieli czekać!

Trzymając jedną ręką kierownicę roweru, pogryzał łapczywie chleb. Ten dar smakował mu, jak chyba nigdy żadne jedzenie do tej pory, zwłaszcza,

że nie mógł zapomnieć tamtego chłopca spod Chełma, który zagroził mu poszczuciem psami.

Wstąpiły w niego nowe siły. Naciskał na pedały ze zdwojoną energią, obliczając w myśli, ile jeszcze zostało mu do przejechania. W miarę jednak, jak ubywało kilometrów, o czym informowały tabliczki na drogowskazach, takie jak „Pulawy. Divisionsstab. Stadtkommandantur”, opadały go obawy. Czy tam nic się nie stało? Czy wrócili cało z bezsensownej tułaczki? Podobno zresztą miasto było bombardowane, zginęło sporo ludzi, więc nawet przed wyjazdem mogli uciepieć. Jeszcze w Chełmie słyszał pogłoski, o których nie powiedział rodzicom. Zaczął się głośno modlić:

– Panie Boże, spraw, żeby Irka żyła, żeby jej się nic nie stało!

Na skrzyżowaniu dróg zatrzymała go kolumna jeńców. Przesuwały się przed nim twarze wynędzniałe, upiornie blade, plecaki i polowe rogatywki, szynele ubrudzone wskutek kilkudniowego marszu. Żołnierze starali się jednak trzymać głowy podniesione wysoko i patrzyli w oczy stojącym na poboczu wędrowcom. Władysław uchwycił spojrzenie wysokiego, chudego kaprała; ten rzucił okiem na buty rowerzysty, uśmiechnął się nieznacznie, podniósł do czapki dwa palce, a potem zacisnął pięść na wysokości pasa i potrząsnął nią lekko. Odpowiedział mu taki sam gest. Kolumna szła i szła, tyczkowaty kaprał obejrzał się jeszcze i po chwili utonął w oddalającym się tłumie.

Znowu te buty, w których ułan z cenzusem Korowski miał dosięść konia hen, na wschodzie, dokąd go wysłali, bo na miejscu nie było dość wierzchowców ani wyposażenia! A wszystko skończyło się na peregrynacji po drogach i bezdrożach, ba, należało się cieszyć, że przypadkowy szewc zapobiegł odpadnięciu podeszwy.

I wreszcie zobaczył przejazd kolejowy wśród lasu, z posterunkiem niemieckim przy szlabanie. Wartownik spojrzał na niego obojętnie, widocznie zakurzony i wymizerowany rowerzysta nie wydał mu się kimś podejrzanym i groźnym. Na prostej, długiej ulicy, wysadzonej starymi drzewami, stały tu i ówdzie ciężarówki z plandekami w różnobarwne łaty, snuli się albo czekali na coś żołnierze w hełmach i czapkach polowych, z restauracji wyszli trzej oficerowie, opowiadający sobie coś głośno, z wybuchami śmiechu; zaczerwienione twarze wskazywały na spożycie posiłku zakrapianego alkoholem. Przed budynkiem starostwa widać było ogromny ogonek, którego uczestnicy trzymali pod pachą albo przed sobą jakieś pudła. Z bliska okazało się, że są to odbiorniki radiowe.

Władysław zatrzymał się i oparłszy nogę o chodnik, zapytał stojącego najbliżej wąsatego jegomościa, który dzierżył w objęciach dużego telefonena:

– Przepraszam, co tu się dzieje?

– A to, proszę pana, kara śmierci za posiadanie radia – odrzekł niedbale zagadnięty. – Od jutra, jak u kogoś znajdą, to pod ścianę!

I spokojnie wrócił do ożywionej rozmowy z dwiema paniami w średnim wieku, obarczonymi podobnymi pudłami. Ponieważ Władysław stał z wybałuszonymi oczami i nie odjeżdżał, wąsacz obejrzał się i dodał:

– Niech pan się nie przejmuj! Oni tak codziennie: za białe pieczywo, za posiadanie waluty i tak dalej.

Korowski odepchnął się od krawężnika i ruszył. Rzecz mieściła się w logice tego, co już zdążył zobaczyć i usłyszeć po drodze, ale tu oszołomiły go obfitość i drobiazgowy charakter zarządzeń, które najwyraźniej miały sparaliżować świeżo upieczonych niewolników. Zdążył gdzieś zobaczyć obwieszczenia o karach za zrywanie tych druków o wątpliwej polszczyźnie, co wskazywało, że takie przypadki miały miejsce.

Minął wylot ulicy Głębokiej, którą chodzili z Ireną na spacer w wiosenne wieczory. Jeszcze chwila i ukaże się wjazd na folwark... Brama była nie tylko otwarta, ale i uszkodzona, jedno jej skrzydło zwiśło smętnie na wyłamanych zawiasach. Na okólniku stały, jak zwykle, maszyny rolnicze; dwa pługi, traktor, brona, siewnik zdawały się jednak mówić, że tu życie płynie swoim normalnym korytem. Władysław zsiadł z roweru, przeżegnał się i ruszył wolno w stronę domu. Rządówka nie była właściwie naruszona, tylko na jednym narożniku od strony ogródka widniały ślady ognia. Nagle spojrzął w lewo, ku mostowi na łasze wiślanej i poczuł, że serce mu się zatrzymuje: w skarpie nadrzecznej ziała ogromna dziura po chłodni rozwalonej przez bombę. To tu miał być schron dla pracowników majątku i ich rodzin... Władysław chwycił się oburącz za głowę, upuszczając rower z brzękiem łańcucha i omal nie zawył.

W tej samej chwili usłyszał melodyjne wołanie:

– Władeczk! Władeczk! Tu jestem!

I oto tulił w ramionach Irkę, wynędzniałą, ale żywą; nadbiegła od stromy domu w kwiecistej sukience letniej, którą tak lubił, bardziej niż zwykle podobna do sarny, sadzącej długimi susami przez leśną drogę. Całował ją w usta, w oczy, w szyję, powtarzał bezładnie:

– Moja ukochana! Moja jedyna! Żyjesz. A ja pomyślałem...

– Władeczkule mój najdroższy, ja wiedziałam, że przyjedziesz i ciągle wychodziłam na podwórze... Właśnie dlatego, żebyś się nie zdenerwował, jak zobaczysz... Bo to było tak, jeszcze przed naszym wyjazdem...

Ponad jej głowę zobaczył stojącą przy furtce panią Wiktorię, która osłaniała ręką oczy od słońca; jej twarz wyrażała mieszaninę uczuć tak dziwną, jakiej nigdy u niej dotąd nie widział. Była tam irytacja, ulga, rozczulenie – wszystko równocześnie. Od strony obory dobiegł ich przez okólnik potężny baryton pana Pawłowskiego:

– A to mi nowina! Przyjechał wreszcie! Bogu chwała, nic ci się nie stało!

I gospodarz nadszedł po chwili, stawiając długie, zamaszyste kroki, jak to miał we zwyczaju przy obchodzeniu folwarcznych budynków i pól.

Krzysztof Choiński

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Sykomora. Ubi arma sonant

(fragment powieści)

Rozdział 1. Wyjazd

Samochód stojący przy jednej z posesji na placu Wilsona miał otwarty bagażnik. Była sobota wczesnym rankiem pierwszego tygodnia maja. Mężczyzna w dżinsach i niebieskiej koszuli w paski kończył ładowanie ostatnich pakunków. Na pierwszy rzut oka mógł mieć około czterdziestu lat. Podwinięte rękawy wskazywały, że przygotowania do podróży jeszcze trwają. Pochylał się i prostował, wrzucając przedmioty do komory bagażnika czarnego infiniti. Właściwie nie zabierał ze sobą zbyt wiele. Jedną podręczną walizkę. Marynarkę. Przewiesił ją na wieszaku z tyłu przedniego siedzenia kierowcy. Dwie pary spodni, pulower, kilka koszulek polo, parę butów na podeszwie skórzanej, trampki, piżamę i bieliznę na zmianę. W końcu wyjeżdżał tylko na tydzień. Nie zapomniał również o pianie do surfingu.

– Woda w Bałtyku o tej porze roku nie należy do najcieplejszych. Kolokwialnie mówiąc... – wspomniał.

Uśmiechnął się przy tym na wpadające mu do głowy słowo „kolokwialnie” – nadużywane ostatnio w mediach i wśród znajomych.

– You see, jakie to zaraźliwe... przylepia się jak guma do żucia do podniebienie nie chcąc zejść z czubka języka?! Poprawniej brzmiałoby: „w istocie”, „obrazowo mówiąc”. Ale, czy ja zawsze muszę być poprawnym?

OK, gdy mu się spodoba – zostanie dłużej. Od dziś jest wolny. Ma trzydzieści dni urlopu. Wolny jak ptak niesiony wiosennymi prądami powietrza z południa na północ. Świadomość, że one lecą do miejsc, w których mają rozpocząć nowe lęgi, dodawała i jemu chęci do życia. W dal odsuwała nie mile wspomnienia z niedawnej przeszłości. Nie chciał wracać do rozstania z żoną. Po raz pierwszy od wielu dni sama myśl o wyjeździe na urlop napawała go radością. Do niedawna żył tylko pracą. Jechał do Rynu. Potem miał przenieść się do Władysławowa nad Zatokę Pucką. Kto wie może

pobyt nad jeziorami i morzem będzie zapowiedzią dni lepszych, jaskółką bardziej szczęśliwych. Ostatnio miał wrażenie, że ono go opuściło...

– Wracam, niedługo przecież wracam... – pomyślał jakby chciał się usprawiedliwić.

Przełożył plecak z karimatą w sam róg bagażnika. Nie, by ukryć w nim wzruszenie. Nie raz przecież wyjeżdżał. Z tą różnicą, że tym razem nie zostawiał tu nikogo. Synowie we Francji, u matki. Wyjeżdżał raczej ze względów pragmatycznych, by oderwać się od teraźniejszości.

Zatrzasnął tylną klapę bagażnika, sprawdził mocowania deski surfingowej do relingów dachu samochodu. Ostatni raz spojrzął w okna domu, wsiadł do środka i przekręcił kluczykiem stacyjkę silnika.

Warszawa o tej porze dnia wydawała się miastem pogrążonym w półśnie. Przecież był sobotni poranek. Od poniedziałku do piątku i w weekendy od południa do późnego wieczora zazwyczaj tętniła życiem. Duży ruch uliczny samochodów większości światowych marek. Wielu przechodniów w różnym wieku podążających swoimi ścieżkami w sobie tylko znanym celu. Wchodzących i wychodzących do i ze stacji metra. Coraz liczniejsze grono charakterystycznie ubranych rowerzystów, osób uprawiających jogging – mogło to tylko potwierdzać. Miasto z ciekawą architektonicznie zabudową. Nawet, jeśli niektórzy przyznają czasem, że mogłoby być z tym lepiej...

– Owszem, gdyby nie wojna i ten typ. Czysty Aryjczyk z wąsikiem! – natychmiast ripostował.

– Tu przecież nie pozostał kamień na kamieniu! – dodawał.

Jemu się podoba taka jaką jest. Z zabytkami, które pozostały. Odbudowana na nowo. Z dość licznymi terenami zieleni wtopionymi w jej śródmiejski krajobraz. Szklanymi wieżowcami, galeriami, nowymi osiedłami pokrytymi elewacją z piaskowca lub kamienia – wszystko to go zachwycało i pociągało zarazem. Jako warszawiak był ze swojego rodzinnego miasta dumny. Szczególnie tu, w tej dzielnicy, od lat zwanej oficerskim Żoliborzem, czuł się najlepiej. Wszędzie miał blisko. Tu mieszkał Generał Sosabowski, Dowódca polskiej Samodzielnej Brygady Spadochronowej spod Arnhem, Generał Nil-Fieldorf, Dowódca Kedywu AK. Nieopodal wolno płynące wody Wisły dodające miastu splendoru i majestatu. Nadrzeczne bulwary, kafejki, restauracje, plaże od strony Saskiej Kępy. Odmładzające jej wizerunek jak uśmiech dojrzałej kobiecie. Zdawały się zapraszać do środka. Po latach obcego panowania i dominacji Warszawa odzyskiwała

swoją tożsamość. Tylko sobie właściwy styl. Ukazywała światu własną duszę. Niepowtarzalną. Zawsze tęskniącą za wolnością, lubiącą przeglądać się w jej świetle jak w lustrze. Dla wrogów może i niepokorną. Dla przyjaciół otwartą i szczodłą.

– Pięć minut po godzinie ósmej. A oto pogoda. Na dziś zachmurzenie małe z możliwością niewielkich opadów na wschodzie kraju. Temperatura 22 stopnie Celsjusza na zachodzie i południu, do 20 stopni w centrum i 19 stopni Celsjusza na północy i wschodzie Polski. Ciśnienie tysiąc hektopaskali i rośnie. Życzymy Państwu miłego weekendu i dużo słońca.

– Dzięki, thanks a lot. To dobra zapowiedź jak na początek urlopu – pomyślał wsłuchując się w dalszy ciąg porannej audycji radiowej.

Leciał Rod Stewart i „Some guys have all the luck”. Lubił jego piosenki i choć trochę się podstarzał, a chrypka powoli zdawała się mu bardziej przeszkadzać, niż być jego atutem – to go cenił. Za talent, styl, odwagę, wytrwałe dążenie do celu w tym, co robił. Oczywiście za szereg muzycznych hitów, których lubił słuchać i przy których się wcześniej bawił. Nawet, jeżeli dla młodszego pokolenia Szkot mógł się już wydawać oldboyem.

– Owszem „Some guys have all the luck”... some ... – powtórzył.

– Daj spokój! Nie warto oglądać się w tył. Nigdy, gdy przeszłość niszczy, nie buduje, przybija, rozczarowuje! Czasem trzeba coś przeciąć, postawić kropkę, zamknąć pewien rozdział po to, by móc rozpocząć na nowo, nie ulegać złudzeniom, nie tworzyć iluzji, uchylić furtkę nadziei.

– Czy jednak nie jest to oznaką słabości? – bił się z myślami.

Na chwilę zatrzymał samochód na czerwonych światłach. Kilka osób wracało z nocnej eskapady delikatnie mówiąc mocno spóźnionych do łóżka. Machali do niego chorągiewkami i prosili o uchylenie okna. W ich zachowaniu nie dostrzegał agresji. Znał się na ludziach. Nie chciał rozpoczynać tak pięknie zapowiadającego się dnia od odmowy czegokolwiek i komukolwiek. Zwłaszcza, gdy czyniły to młode kobiety ze spontanicznym uśmiechem na ustach. Uchylił nieznacznie okno.

– Prosimy niech Pan nas poprze! Precz z Kaczyzmem! Kaczyński pod sąd! Żądamy wolnych mediów, przyjęcia uchodźców i pigułek dzień po!

Odwzajemnił uśmiech. Bez słowa przymknął okno. Powoli wciskał pedał gazu. Ulotka zawisła przyciśnięta w połowie na szybie. Napotkane postaci oddalały się w lusterku jak w końcówkach filmów Hitchcocka.

Wymachiwały rękoma krzycząc i manifestując swoje niezadowolenie. Po kilkuset metrach zatrzymał się. Zdjął kartkę zadrukowanego papieru i wyrzucił ją do pobliskiego kosza...

– Nie chodzę utartymi ścieżkami – powiedział pod nosem.

– Któż by chciał chodzić utartymi ścieżkami? Człowiek zadowolony z siebie, drobnomieszczanin, bojący się świata, ludzi, zamknięty w sobie. Egoista, konformista, zastraszony przez silniejszych, nie mający własnego zdania, stadnie myślący, cierpiący na brak testosteronu. A może zwykły tchórz lub leń....?

– Jak sobie to wyobrażasz?

– Very po prostu, ganz einfach, Voilà qui est simple – odpowiadał sam sobie.

– OK... Gdyby tylko chciało być takie very simple... i nie było nieustanną gimnastyką charakteru.

– Od młodości szedłem własną drogą. Miłość, wolność, odpowiedzialność, wierność zasadom. Wszystko razem przyprawione odrobiną szaleństwa. To przecież azymuty mające wyznaczać postępowanie homo sapiens, o ile sam siebie i swoje otoczenie nie skazuje na egzystencjalny bezsens trwania i/lub życia w obłudzie i zakłamaniu.

Droga na Mazury wiodła przez kilka pomniejszych miast Kurpi i Podlasia. Dzięki trasie szybkiego ruchu właściwie ich nie widział. Co najwyżej elewacje domów, zarysy rynków, kształty wież kościelnych. Przed nimi fragmenty pól przedzielonych miedzami. Zielonych łąk, o tej porze roku usłanych dywanem żółtych mleczy.

– „*Tak mi się tylko wymknęło* – żenujące wypowiedzi niemieckiego komisarza Woertingera...”.

Dość nieoczekiwanie radio przerwało nadawanie programu muzycznego.

– O Chińczykach mówi „żółtki” i obraża Walonów. Wszystkie tłumaczenia jednak nie pomagają. Takich werbalnych potknięć komisarz odnotował bowiem w swojej karierze już zbyt wiele. Do nich z pewnością należały pogardliwe wypowiedzi na temat kobiet i małżeństw gejowskich...

– Zadziera nosa! Rasista, nie przepadam za kochającymi inaczej, ale i homofob? Czyżby wąsy były znów w modzie? Chyba, że to zwyczajne niemieckie poczucie humoru? Ciężkie jak buty clowna z zelówkami z ołowiu – skrzywił się z niesmakiem.

– „Warto przypomnieć, że prawie 40 lat temu komisarz wygłosił kontrowersyjną wypowiedź nad grobem wcześniejszego premiera Badenii Wirtembergii, biorąc poniekąd w obronę nazistowską przeszłość byłego sędziego Kriegsmarine z czasów II wojny światowej” – mimo woli wsłuchiwał się w kolejne informacje płynące z radiowego eteru o znanym polityku zza między.

– Hmm... to już nie typowe niemieckie poczucie humoru. To raczej wychodząca spod skóry arogancja. Kto wie może drzemiąca gdzieś w głębi serca aryjska buta, plan na nową narrację historii... – skomentował bez zachwyty.

– Ciekaw jestem, jak zareagują na te epitety Chińczycy?

Domyślał się, że w swojej wielotysięcznej historii takich rzeczy nie wymazują z pamięci. Wspomnił na kodeks mistrza Sun Tzu sprzed 2500 lat i całkowicie pragmatyczny ogląd świata przez wynalazców prochu. Zresztą tak charakterystyczny do dziś. Był pewien, że choć daleko od Europy to w sprzyjających dla siebie okolicznościach o tym sobie przypomną. Tak, czy inaczej – nie pozwolą zapomnieć.

Dojazd do miasta urozmaicony był wzniesieniami zalesionymi przez różne gatunki drzew. Głównie iglastych. Wzniesienia to pozostałość po epoce polodowcowej. Tak zwane moreny czołowe. Zza jednej ze ścian lasu wyłaniała się panorama położonego nad jeziorem Rynu. Na wzgórzu stał zamek. Stąd widać było również fragment kamienic starego rynku. Ich jasne ściany i czerwone dachówki lśniły w promieniach słońca. Zupełnie jak w jednej ze scen filmu reklamującego Polskę dla turystów zza granicy. Nad masztami zacumowanych na przystani jachtów niestrudzenie przelatywały w tę i z powrotem wrzaskliwe mewy. W wyobraźni słyszał ich pisk już w tym miejscu. W czasach szkolnych był tu na obozie harcerskim. Po kilkutygodniowym kursie uzyskał patent żeglarza. Dokładnie pamiętał te szalone dni, nieprzespane noce. Pływanie po wodach okolicznych jezior. Złamany maszt na moście w Mikołajkach. Wysokie i strome brzegi Bełdan oraz sam egzamin. Nagle nadciągnęły chmury. Zerwał się porywisty wiatr. Jak w czarną godzinę pękło mocowanie wanty z lewej strony burty. Do brzegu dopłynęli na pagajach. Ścigały ich pierwsze grzmoty, towarzyszyły błyskawice. Nie było co strugać bohatera. Na początku robili sobie z tego tak zwane jaja. Ktoś dla zabawy krzyknął: „Nadchodzi biały szkwał...” Po stu metrach wiosłowania „śmichy” ustały. W końcu niespełna szesnaście lat u progu życia usprawiedliwiać mogło wiele. Przedtem zdążyli wykonać kilka manewrów pod żaglami. Egzamin został zaliczony. Szanowne grono

komisji egzaminacyjnej oceniło wykonanie wyznaczonych zadań pozytywnie. Z techniki i umiejętności żeglowania oraz za wykazanie rozsądku, opanowania i rozwagi – jak orzeczono na dyplomie.

– Aha... Na początku obozu musieliśmy wypić podany przez drużynowego wyjątkowy coctail. Miksturę o smaku zmiksowanego mydła, mleka i śmietany. Wszystko popieprzone i posypane sproszkowaną dodatkowo sporą porcją chilli – przywoływał tamte dni w pamięci.

Na zakończenie zepchnięto ich w harcerskich mundurach z pomostu do wody. Tak wyglądał chrzest wodniaka. Tego nie da się zapomnieć. W pierwszej chwili zaskoczeni, gniewni i źli chichotali później ze wszystkiego, susząc bluzy, spodnie i spódnice przy ognisku. O tym co było pod spodniami i spódnicami nie dociekając.

„Hej sokoły...”, „Płonie ognisko i szumią knieje...”.

– I jeszcze coś. – To brzmiało tak... – szukał w pamięci.

„Dziś w telewizji nie wystąpi zespół Novi,

Bo cały program poświęcony Leninowi.

A ty maszeruj, maszeruj, głośno krzycz...”.

Jak na tamte czasy socrealizmu brzmiało dość odważnie. Było przepełnione sarkazmem i ironią. Wykrzyczanym młodzieńczym oskarżeniem wobec przywódcy rewolucji bolszewickiej i jego bastardów o całe zło tego świata. Przede wszystkim jednak oskarżeniem o sytuację i położenie, w jakim znalazł się kraj nad Wisłą po konferencji w Jałcie i Poczdamie. Z zajęć fakultatywnych z historii, opowiadań w domu i lektury drugiego obiegu w głowach rodził się bunt. Już wtedy nie utożsamiali się z tym, co otaczało ich dookoła, co miało być wzorcem moralnym i kulturowym na przyszłość.

W każdym razie wydawało się, że ów sarkazm w słowach wykrzyczanej piosenki dla wszystkich dookoła był ewidentny i zrozumiały.

Pokój w hotelu zamkowym przypominał wyglądem celę krzyżackiego rycerza. Był dość surowy w wystroju. Na białe pomalowane ściany. Proste, niewyszukane meble. Standardowe wyposażenie – łazienka z prysznicem, wc, aparat telefoniczny i rtv. Po bliższym oglądzie cela jednak z dostępem do wi-fi i programów satelitarnych. Do tego uginająca się z lekka i skrzypiąca drewniana podłoga. Co wyróżniało go poza kolorowym obrazkiem na ścianie – to widok z okna. Z wysokości drugiego piętra rozpościerała się wyjątkowa panorama miasta. Otaczające je bliżej lub dalej położone jeziora zapierały dech w piersiach.

– Pocztówkowo – pomyślał.

– W tym względzie niewiele zmieniło się pewnie od czasów komtura. Zwłaszcza, gdy wspomnieć na wystrój sali rycerskiej na parterze. Dziś jest tam restauracja. Ustawienie stołów i zawieszone na ścianach flagi krzyżackich rycerzy siłą rzeczy kierowały myśli ku tamtym czasom...

Z rozważań wyrwał go dźwięk telefonu.

– Dzień dobry... Hi, tu Filip... – wybrzmiało trochę z angielska.

– Kto? – spytał dla potwierdzenia. Zamknął okno. Hałas od ulicy sprawił przez chwilę, że nie dosłyszał.

– To ja, Filip, Filip Kranc. Jestem przy recepcji.

– Ach to ty! Przed chwilą wszedłem do pokoju. Właśnie się rozpakowuję – odparł z nieukrywaniem zadowoleniem.

– Zarezerwowałem na swoje nazwisko stolik. Powołaj się na mnie. W międzyczasie zamów sobie coś do picia. Potem, jeśli masz ochotę, zapraszam na obiad. Co ty na to?

– Hmm... Jestem za. Zejdź na dół.

– W porzo... Daj mi chwilkę.

Po kwadransie był już przy recepcji.

– Filip, szmat czasu. Stary wilku... – podchodząc uściśnął mu mocno dłoń na przywitanie.

– Oh, tak... powiedz... ile, ile to już lat?

– Myślę, niech zgadnę... dwanaście... Nie! trzynaście, to już trzynaście lat, Filip.

– Nie do wiary...

– Siadaj, siadaj. Kelner, proszę jeszcze dwa razy to samo... – wskazał przy tym na prawie już pustą szklaneczkę po Ballantines.

– Winek, zdawałoby się „13” to liczba pechowa. A ja się cieszę. Cieszę się, że cię widzę. Cieszę się, że wróciłem.

– Nawet nie wiesz jaką ty sprawiłeś mi niespodziankę. To znaczy... już wtedy, gdy zadzwoniłem do ciebie z Warszawy. Powiedziałeś, że na stałe wróciłeś do Polski i mieszkasz na Mazurach.

– Tak, tak się złożyło. Chciałem i musiałem. To jest... musiałem. Nie!... Chciałem i musiałem.

– To w końcu jak, Filip? Chciałeś, czy musiałeś?

– Jak to w życiu. Trochę tak, trochę tak.

Nie nalegał. Spokojnie odczekał na dalszy ciąg przerwanej opowieści.

– Cheers – wzniosł szklaneczkę do góry.

– Cheers, przyjacielu.

– Miałem dość Ameryki. Swoje przeżyłem, swoje zarobiłem i oto jestem – wróciłem. Poza tym, poza tym – w zeszłym roku pożegnałem matkę... Zmarła w cierpieniach. Gdy tylko się dowiedziałem, że choruje, zatrudniłem najlepszych lekarzy, wysyłałem ze Stanów i Niemiec najnowsze leki... Musiałem przyjechać. Musiałem. Nie mogłem inaczej. Tak tęskniłem. Cierpiałem...

– Myślę, że mogę cię zrozumieć.

– Tak mnie tu coś ciągnęło. Raczej... ktoś i coś. Wróciłem. Od roku mieszkam w Rynie.

– Co z obywatelstwem?

– Mam podwójne. To znaczy prawie mam. Niemieckie i obiecano mi w Warszawie, że mogę odzyskać również polskie...

– U mnie? Co ma być...? Nieciekawie. Od pół roku jestem singlem. Żonie dla szkolnej miłości przewróciło się głowie... – rzucił mu odważne spojrzenie. Jakby bał się śmieszności.

Nie trwało to jednak długo. Szybko odwrócił wzrok w kierunku kelnera. Nie lubił okazywać słabości.

– Poproszę pana o jeszcze jedną filiżankę kawy...

– Jak to? Ty? To jest Patrycja...

– Tak bywa przyjacielu. Czasem z zewnątrz wszystko wygląda w porządku, a psuje się powoli od środka. I gdy tego nie zauważysz w porę, spada na ciebie jak grom z jasnego nieba... – w oszczędnych słowach zaczął wyjaśniać.

– Wtedy na wszystko może być już za późno.

– Współczuję... – Filip obdarował go krótkim spojrzeniem.

– Musisz wiedzieć, że ja po raz trzeci chcę być żonaty. Dopiero teraz mam nadzieję czuć się szczęśliwym. Cornelia to wspaniała kobieta. Wiesz jak to jest. Kobieta po przejściach i mężczyzna z przeszłością... – próbował pocieszać kolegę.

– Myślę, że jestem w trakcie zdobywania wiedzy na ten temat... nolens volens – Winek zmarszczył czoło.

Widać, tkwiło to w nim jak cierń. Jak cierń z ostrokrzewu lub akacyjego drzewa.

– ...Nie powiedziałbym, że jest to panegiryk na temat przysięgi o wierności małżeńskiej... Raczej, witaj w klubie, chcesz powiedzieć? – dodał nie do końca przekonany.

– Mniej więcej. Jasne każdego dotyka to inaczej. Jeden ma grubszą skórę, drugi nie. Czasem na drodze dobry lub zły los stawia ci drugiego człowieka. Wtedy albo masz szczęście, albo... albo nie! Albo pogrążasz się w żalu, samotności. Popadasz w tak zwanego doła i masz pretensje do świata, że był dla ciebie tak niełaskawy, tak niesprawiedliwy...

– Miałem to samo, Winek. Spróbuj odnaleźć w sobie siłę, pozytywną energię. Jeżeli jesteś już po rachunku sumienia, to nie roztrząsaj tego dłużej. Nie rozbieraj na czynniki pierwsze. Tego, co się stało, nie odwrócisz. To się już nie odstanie. Wypocznij. Zaczynij od nowa... – Filip podsuwał mu rady z doświadczeń życia faceta z przeszłością.

– ...i to dla jakiegoś żabojada. A w czym do kaduka był on lepszym ode mnie...!? – żal i złość nie dawały w nim za wygraną.

– To, że ubrany był w garnitur wytapetowany banknotami euro...?

Najchętniej to by jeszcze teraz sprzął gębę Francuzowi.

Z filiżanki upił łyk kawy. W jednej chwili twarz całkowicie mu się odmieniła. Umiał panować nad sobą. Lekko uniósł brwi i odważnie spojrzął na kolegę.

– Właśnie po to tu przyjechałem, Filip. Właśnie po to tu jestem...

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Alicja Patey-Grabowska

Sen Czortkina

Starszy Urzędnik Biura Do Spraw Specjalnych W. Czortkin, rozparłszy się na krześle przypominającym fotel przystosowany do jego okazałych gabarytów, ziewnął szeroko i nie zasłaniając ust, wydobył z siebie dźwięk jak grzmot – beknęcie.

Tak przypominała mu się wczorajsza kolacja obfita w trunki, wszelkie smakowitości, jak wędzona słonina, kawior, pielmienie faszerowane mięsem z kaczki i coś tam jeszcze, w towarzystwie notabli z miasteczka D., wśród których najważniejszy, odbiegający od reszty towarzystwa, bo wegetarianin i taki jakiś „zachodni”, był Kułakow, którego z całego serca nie znosił.

Przez przymrużone, jakby nieco skośne oczka, widział pochylonego nad stolikiem pełnym urzędowych papierów, małego, wyłysiałego, o szpiczastych czarnych, zadartych do góry wąsikach – coś za bardzo zawadiackich – pomyślał – młodszego rangą urzędnika Kupkusika i drugiego, przy większym stole z komputerem, dobrze zbudowanego, umięśnionego, z kwadratową szczęką i podgolonym karkiem Dubuna, również niższego rangą.

– Ten może być niebezpieczny – pomyślał.

Ci dwaj stawali się coraz mniejsi. Kupkusik zupełnie rozplynął się jak we mgle, jeszcze Dubun majaczył, ale i on zniknął.

Starszy Urzędnik Czortkin zapadł w krótką, ale jakże owocną w skutkach drzemkę.

Nie na darmo odziedziczył po przodkach nazwisko związane z Kusym. Był przebiegły, pełen pychy, podstępny, żądny władzy.

Do Biura Spraw Specjalnych początkowo został zatrudniony jako dozorca, później strażnik, skończył bowiem kurs karate i potrafił jednym ruchem ręki obalić przeciwnika, ale marzyła mu się kariera urzędnicza, więc piął się po szczeblach do stołka, którym okazało się krzesło-fotel i pozycja Starszego Urzędnika.

Jego podwładny Kupkusik od razu mu się podporządkował. Przynosił kawę, herbatę, czasem w plastikowej torbie coś mocniejszego. Był pokorny, cichy.

Gorzej z Dubunem. Spoglądał na szefa bystrymi oczkami spode łba. Nic nie mówił, ale jego kwadratowa szczęką wyrażała silną wolę, ba, samowolę.

Tak, Dubuna trzeba było się strzec. Upokorzyć go, pokonać. A potem zabrać się za urzędasów z Magistratu. Zapanować, zawładnąć wszystkimi.

Widział we śnie leżącego przed nim plackiem Dubuna oraz oblapującego jego nogi Kupkusika, który dostawszy kopniaka, rozłożył się, łkając obok Dubuna.

A teraz opanować budynek Urzędu do Spraw Specjalnych i naturalnie Magistratu.

Strażnicy od chwili, gdy został Starszym Urzędnikiem, kłaniali mu się w pas. Zadziorną sprzątaczkę Jawdopinę, mającą znajomości wśród notabli, bowiem dorabiała u nich jako pomoc domowa, obłaskawić, uczynić Generalną Sprząającą, zakomplementować. Baby są łase na takie nic nieznaczące sztuczki.

Jej synowie niech rozwieszają plakaty na ścianach miejskiego WC, latarniach, słupach, gdzie się da, z karykaturami Kułakowa, których autorem jest jednak uzdolniony bestia Kupkusik, rozgłaszające, że Kułakow jest zamaskowanym agentem wrogich miejscowości położonych na zachód od miasta D.

Karykatury Naczelnego Miasta D. robią swoje. Już widzi grupy i grupki mężczyzn i kobiet przed plakatami. Śmiechy i potakiwania.

A potem... Jego wierni strażnicy mają broń. Tratatata tratatata bum bum. Rozlatuje się dwupiętrowy budynek Magistratu jak domek z kart. Urzędasy w kajdankach, a znienawidzonego Kułakowa porywa w zaświaty ten, który figuruje w członie jego nazwiska: Czort-kin.

Widzi siebie w oknie z widokiem na placik zwany Wielkim, a teraz noszący nazwę Plac Czortkina.

Fanfary, trąbki, okrzyki, oklaski i skandowanie: Czort-kin! Czort-kin! Ale co to? Huk, jakby mu coś strzeliło w czaszkę.

To Dubun wałnął pięścią w stół. Zadzwończył karafka i szklanka, zadrał komputer.

Dubun wypełnił sobą cały pokój. Masywny, kwadratowy, straszny.

Wielki Urzędnik Czortkin zamrugął oczami. Przetarł spocone czoło rękawem zaplamionym tłuszczem po wczorajszej kolacji z notablami.

Sen? Przed nim stoi groźny Dubun, ale i Kupkusik podniósł się z krzesła i tak jakoś się wyprostował, że wydawał się dużo większy.

Czy wyczuli jego sen? Nie chcieli dopuścić, aby jego, Czortkina, marzenie przybrało realne kształty?

6 III 2022. Z przygotowanej do druku książki Zez rozbieżny

Krzysztof Rudziński

Bakajek

(z tomu *Nadgryzanie Gryzonii*)

1.

W moich oczach, należałby niewątpliwie do rzędu tych mitologicznych, greckich bohaterów, gdyby nie fakt, że jego konterfekt z natury – w postaci czarnobiałej fotografii za szkłem, w wąskiej politurowanej ramce – wisiał, odkąd pamiętam, w gabinecie ojca. Młody, przystojny, elegancki, mierzył mnie ze ściany pewnym siebie wejrzeniem światowca, nieustannie budując swą legendę. Z rodzinnych opowiadań starszych wylała się obraz człowieka wielorakich i różnorodnych zainteresowań, dążącego do niczym niepokuszonej niezależności, o zagmatwanych i tajemniczych drogach życiowych. Od najmłodszych lat uprawiał ju-jitsu, co w tamtych międzywojennych czasach było ewenementem – stosując nie tylko ćwiczenia, ale i dietę japońskich mistrzów. Kiedy mój ojciec, nie należący wcale do ułomków (w zapasach sparował z samym Garkowienką), pytał go, dlaczego opiera dietę na niełuskany ryżu – wtedy on tylko ścisnął mocno jak w żelaznych kleszczach, palcami, jego nadgarstek i odpowiadał: – „Dlatego!”.

Wstąpiwszy do szkoły morskiej, popłynął żaglowcem w rejs dyplomowy na Martynikę, gdzie razem z kolegą opuścili pokład i na kilka lat słuch o nim zaginął. Napisał tylko list do rodziców, aby się nie martwili jego zniknięciem. Po tamtej stronie tak zdawkowej korespondencji była ciężka praca dokera portowego i przyswojona znajomość francuskiego. Matka jego a moja babcia Karolcia płakała w listach, zaklinając go do powrotu. Wrócił więc (narażając się na zrozumiałe kłopoty) i spotkawszy się w Warszawie ze swoją siostrą, czyli ciocią Jadzią, zainstalował się, raz dwa, w swoim stylu:

– Co czytasz? – spytał, dojrzawszy u niej na biurku jakieś książki – a dowiedziawszy się, że jest na pierwszym roku chemii na Politechnice, pożyczył kilka z nich i po roku również był już studentem wydziału chemicznego tej uczelni.

Nie potrafiąc jednak spokojnie usiedzieć na miejscu – już planował prywatny biznes, jak to mówił: „gówniany interes” o podwajających się samoistnie dochodach, bo jak tłumaczył: – Jedni będą płacić za wywóz

wiadomego ładunku, a drudzy za możliwość wykorzystania go jako nawozu... Doszedł do ostatniego roku studiów, kiedy Niemcy zaatakowały Polskę i wybuchła II wojna światowa. W siódmym czy ósmym dniu września 1939 roku zniknął i odnalazł się po kilku latach w Ameryce. Tyle mówią kanoniczne dzieje.

Stryj Marian, bo o nim mowa, nigdy nie odwiedził Gryzonii, jednak towarzyszył nam, od czasu do czasu, wierną i zapobiegliwą pamięcią, przysyłając list, albo paczkę, niejednokrotnie okazałych rozmiarów, i o nieocienionej wartości w tamtych trudnych powojennych czasach. Zdarzało się to zwykle przed świętami Bożego Narodzenia, że kurier pocztowy przynosił taką paczkę do naszego mieszkania, wnosząc z nią razem intrygujący zapach wolnego świata. I nie była to jedna z jego doręczycielskich przenośni – odnośna do kwitowanych mu wdzięcznym napiwkiem zapachów tego wolnego świata – gdyż paczki te rzeczywiście pachniały. Pachniały i ten ich specyficzny, jedyny w swoim rodzaju, fascynujący zapach Ameryki noszący wciąż w sobie jako zapach tej szlachetnej krainy, w którą jeszcze wówczas nieodparcie wierzyłem.

W ogóle wtedy bardzo wysoko ceniłem sobie naszego pana listonosza z bierutowskim wąsikiem pod daszkiem pocztowej czapki, a to ze względu na noszony przez niego, zawsze za uchem, tajemniczy fioletowy ołówek, który fachowym ruchem ślił, abyśmy mogli pokwitować przesyłkę. Dopiero znacznie później odkryłem taki sam ołówek u mojej mamy. Powiedziano mi, że nazywa się ołówkiem kopiowym i sam osobiście go wypróbowałem. Nie mogę powiedzieć – rysował nawet ładnie w różnych odcieniach fioleto, ale był bardzo niesmaczny. Spowodowało to niewspółmierny upadek autorytetu pana listonosza w moich oczach, tym większy że w tym czasie zaczął pojawiać się w naszym przedpokoju, ktoś niemniej interesujący a objawiający dodatkowo dar jasnowidzenia. Oczywiście ktoś taki musiał zaraz przykuć moją uwagę, sprowadzając pana listonosza z jego piedestału, do postaci drugorzędnej o podrzędnym znaczeniu, skoro ja już także dysponowałem, podobnym jak jego, ołówkiem.

Pan Henio, mój nowy idol, nazywany przez wszystkich Heniusiem, mieszkał z żoną Hanią po przeciwnej stronie naszej ulicy pod numerem 59, tam gdzie i mój kolega z klasy Tomek Paluda, tylko niżej, bo w suterenie i trudnił się drobnymi usługami dla ludności – jako całkowicie niezależny od panującego ustroju władzy ludowej, drobny przedsiębiorca. Była to oczywiście także prywatna inicjatywa, a więc w zasadzie wroga ustrojowi, z którą tenże oficjalnie walczył, jako z wrogiem klasowym – ale tak mała,

że nierzucająca się w oczy, a ponadto Heniuś był całkowicie plebejski, czyli ludowy, o czym świadczył jego wygląd zewnętrzny, a nawet zapach, tak że pachniał władzy prosto w oczy, a ta czuła go za swojego. Była to oczywiście przesada, bo Heniuś z Hanką mieli władzę w głębokim poważaniu, ale owa miała wówczas zupełnie co innego do roboty, zwalczając powojenne podziemie, o czym w domu mówiło się półgębkiem – ale o Katyniu, coś niecoś słyszałem.

Tak więc w ciszy naszej bocznej uliczki dziejowej, znajdowali Heniusio-
wie stale jakieś zajęcie. To ona umyła czyjeś schody, to on wniósł komuś do piwnicy kosz węgla z ulicy, gdzie zwykli byli wysypywać go przed domem węglarze, ze swych szerokich, konnych platform; przynosił nam na pierwsze piętro porąbane drewno na podpałkę albo worek kartofli zakupionych od rolnika z wozu na ulicy. Muszę przyznać, że trochę się go bałem, bo choć Heniuś nie wyglądał może groźnie i nie był wcale wielkoludem (raczej dość niski i przysadzisty), ale dźwigał metr kartofli, a to znamionowało wielką siłę. Ponadto wnosił on ze sobą, razem z tym węglem do paki w kuchni albo kartoflami, pewien charakterystyczny a nie nazbyt miły zapach, który wypełniał i jego mieszkanie, kiedy zachodziliśmy tam po coś z cicią Mitą.

Nie był to właściwie zdecydowanie brzydki i nieprzyjemny zapach i jakoś dawał się wytrzymać w krótkiej zazwyczaj perspektywie jego i naszych wizyt, ale poznawszy już zapach Ameryki nie miałem jednak wątpliwości, że nie był to zapach światowy. I w tym momencie pan listonosz odzyskiwał wiele w moich oczach. Kiedy jednak po chwili, na którą zawsze czekałem, stroniąc się trochę, za uchylonymi drzwiami pokoju, od stojącego w przedpokoju Heniusia, mama pytała:

– To ile, panie Heniu, pan sobie życzy?

Jego zaczerwieniona twarz rozjaśniała się tajemniczo, wywrócone źrenice znikwały w głębi czaszki, tak że oczy wpatrzone w sufit świeciły samymi białkami i po chwili dawał się słyszeć głos jego, oznajmujący wyczytaną tam cenę. Wpatrywałem się zawsze razem z nim w ten sufit, ale niczego tam nie widziałem. Pan Henio jednak za każdym razem brał tę cenę właśnie z sufitu, a więc musiał ją tam zobaczyć, a to, nie miałem wątpliwości, znamionowało jawne jasnowidztwo.

Były to pełne chwały dni Heniusiowe, kiedy królował niepodzielnie nad panem listonoszem, ale trwały krótko, bo gdy na odgłos dzwonka, podbiegając do drzwi z zapytaniem:

– Kto tam? – słyszało się odpowiedź: – Poczta! – otwierały się znów w mojej duszy podwoje dla tego hermesa oczekiwanych wieści z szerokiego

świata. A Pan Heniuś oddalał się do swojej Hanki do podziemia, aż pewnego dnia nie pojawił się więcej, tak samo jak zniknęli z naszej ulicy, wędrowni: blacharz, który *lutował reperował*, szmaciarz skupujący *stare ubrania: męskie, damskie, dziecinne* albo ostrzący noże szlifierz, oznajmiający swoje przybycie dzwonieniem stalowym prętem w kowadełko. Tłumaczę sobie jak mogę – że nie mają już pretekstu, aby przychodzić, bo nie wysypują już węglarze węgla na ulicy i nie rozpalamy już w piecach drewnem... albo to, albo tamto... ale jakże trudno się z tym pogodzić.

2.

Dzięki licznym lekturom podejmowanym wspólnie z wujkiem Miciem, dysponowałem już wtedy znacznym zasobem słów oraz znajomością rozlicznych pokrewieństw między nimi i związków – żeby tak rzec – rodzinnych, które pozwalały mej wyobraźni budować niejednokrotnie rozwinięte labirynty etymologicznych skojarzeń. Znałem takie słowo: „pocztowy” i wiedziałem czerpiąc z Sienkiewicza, że mógł to być na przykład: koń, albo pacholek – członkowie poczty jakiegoś rycerza, tak więc i pan listonosz jako niewątpliwie człowiek pocztowy (sam się do tego przecież przyznawał, wołając: Poczta!), musiał należeć do tych uprzywilejowanych i wybranych bohaterów, których podziwiałem.

Czasami zdarzało się, że pan listonosz przynosił list szczególnie, różniący się bardzo od tych zwykłych powszednich listów, nawet od tych polecanych, które trzeba było kwitować tym wyjmowanym zza ucha fioletowym ołówkiem. Były to listy bardzo leciutkie, w kopertach wykonanych z niezwykle cieniutkiej, acz mocnej bibułki, z przybitym stemplem z tajemniczym napisem: *Air mail*. Powiedziano mi, że to po angielsku – „powietrzna poczta”, że są to listy lotnicze, dostarczane z zagranicy samolotem. Miały przyklejone amerykańskie znaczki, które jeśli udało się delikatnie nad parą oddzielić od koperty, miały swoją cenę wśród kolegów zbierających marki pocztowe. Ci domorośli zbieracze próbowali jednak często deprecjonować ich wartość, brzmiającym jak wyrok skazujący, okrzykiem: kancera, a który eliminował je jako uszkodzone z naszego filatelistycznego handlu wymiennego.

– Jak nie, to nie! – odpowiadałem. Dla mnie miały bowiem wartość bezcenną, bo były amerykańskie i miały za sobą lot samolotem, czego jeszcze nie mogłem wówczas powiedzieć o sobie. Te listy były zawsze adresowane do obojga moich rodziców i były to w samej rzeczy listy specjalne, zapewne

dlatego, że interesowały się nimi, poza mną, i pewne służby. Wiem o tym, bo dorośli zawsze starannie je oglądali, dziwiąc się jak tym zawodowym podglądaczom udało się nie pozostawić widocznych śladów ich otwierania. Ja natomiast stwierdzałem z radością, że niczego jednak nie wywąchali, ponieważ listy te miały ten sam znany mi z paczek, zaufany i przyjazny zapach Ameryki.

Na odwrócie ich cieniutkich kopert widywałem zawsze nazwę miejscowości nadawcy: Long Beach (powiedziano mi, że to oznacza – długą plażę) a zaraz obok tajemniczy napis: Calif. Wiedziałem już z czytanych mi przez wujka bajek, że był to tytuł władcy czarodziejskiego królestwa i przez pewien czas utożsamiałem go ze stryjem Marianem – póki mi nie wyjaśniono istoty tego skrótu, oznaczającego nazwę stanu California, która natychmiast zapłonęła w mej wyobraźni wonnym zapachem żywic tamtejszych pinii, sekwoi czy mamutowców. Tym bardziej że imię Marian, a zwłaszcza jego zdrobnienie Marianek, nabierało wtedy dla mnie i innej, specyficznej pikanterii, kojarząc mi się z nazwą ulubionej przyprawy, to jest majeranku (długo przez nieporozumienie nazywanego, przeze mnie, właśnie mariankiem) używanego w naszym domu do przyprawiania najróżniejszych pieczeni oraz żurku. Zwłaszcza pieczony na krucho a jednocześnie na pół soczysty i miękki schab wieprzowy, nie mógł się bez niego obejść, co tylko potwierdzić mogą czytelnikowi mistrzowskie arcydzieła włoskiej *porchetta*, jeżeli tylko będzie wiedział, gdzie je znaleźć po umbryjskich jarmarkach albo w podrzymskim miasteczku Ariccia.

Wracając zaś do wspomnianego zdrobnienia stryjkowego imienia i jego wonności jakie mi wówczas roztaczało, czuję jeszcze do dzisiaj zapach tego mianka na grządce dziadka Sylwestra w Zalesiu Dolnym zanim stał się najzwyczajszym majerankiem, który można kupić w każdym sklepie spożywczym. Wtedy pierwszy raz postanowiłem uciec do tej pachnącej z listów i paczek Californii, (może nie tyle z Gryzonii, co przenieść ją tam w tajemnicy i połączyć czymś w rodzaju unii personalnej, pod moim panowaniem, z tym tak mi osobiście pachnącym stanem Ameryki). Pomyśl pojawił się nagle jak wzięty z sufitu, jakby podpowiedział mi go Pan Heniusz w drodze do przedszkola na Smoleńskiego. Przeprowadzając się przez szeroką połą gomółki Serka Bielańskiego powziąłem plan ucieczki za żelazną kurtynę.

Z wielkiej poniemieckiej mapy świata zawieszanej, dla naszych podróży z wujem Mieciem na ścianie małego pokoju – zorientowałem się, że ucieczka w kierunku zachodnim nie wchodziła w grę z dwóch powodów. Po pierwsze wyobrażałem sobie szczelność tej żelaznej kurtyny, a nawet

gdybym jakimś sposobem, zdołał się przez nią precyzyjnie, to czekała mnie później ogromna połać Atlantyku, niewątpliwie nie do przebycia dla takiego jak ja szczura lądowego, nie umiejącego jeszcze wtedy nawet pływać. Jedynie ucieczka na wschód mogła rokować udany wynik mojej konspiracji. Przypuszczałem, że granica wschodnia z ZSRR, jako wewnętrzna, łożuza socjalistycznego, mogła być słabiej strzeżona (bo ktoś by chciał uciekać do sowieców), a później wąska cieśnina Beringa (taką ją widziałem, patrząc na mapę), zamarzająca zimą, stanowiła na takim pustkowiu szlak rokujący nadzieję. Wiedziałem, że droga będzie bardzo, ale to bardzo długa, ale przecież lądem i przez rzadko zaludnione okolice, więc kiedy dochodziłem do przedszkola, miałem już plan gotowy, przynajmniej w ogólnych zarysach.

Wiedziałem pewne trudności, zwłaszcza natury aprowizacyjne; należało zabrać suchy a lekki prowiant (kabanosy i kielbasa myśliwska) jak na wycieczki do Lasu Bielańskiego, no i jeszcze ci Czukczowie czy Jakuci, możliwi do napotkania po drodze, a mogący mnie wydać sowiciarzom. Oczywiście, że spotkanie z sowietami nie wchodziło w ogóle w drogę moich wyliczeń, natomiast spotkań z Indianami kanadyjskimi albo amerykańskimi nie obawiałem się. Zawsze mogłem im przecież powiedzieć, że znam Winnetou. Później należało już tylko iść trzymając się wybrzeża Oceanu Spokojnego (jakże ta jego nazwa mnie uspokajała na przyszłość), aby dojść do Kalifornii i tego portu w Long Beach (nawet jeśli ta plaża była rzeczywiście długa), gdzie na swoim jachcie (wiedziałem to z listów) mieszkał stryjek Marian. Mogłoby się, co prawda, zdarzyć, że nie zastałbym go w porcie – pływał czasami do Honolulu na Hawajach (a nie mogłem przecież go powiadomić o moim przybyciu, wymagała tego ścisła tajemnica ucieczki), ale tym się nie przejmowałem. Wystarczyło na niego poczekać na tej Long Beach, czyli jak już wiedziałem, długiej plaży.

Później, może się stryjek i trochę zdziwi, gdy mnie niespodziewanie zobaczy, ale przecież mnie nie wyrzuci, kiedy mu przypomnę tę jego własną ucieczkę na Martynikę. Martwiło mnie jeszcze tylko to, czy te moje siedmiomilowe buty wytrzymają tak długą drogę, ale wyobraziłem sobie zapasowe i to mi całkowicie wystarczyło.

Z tym stryjkowym Honolulu to miałem swoje prywatne, osobiste skojarzenia – nie wiedziałem, co to może znaczyć po hawajsku, ale że język polski jest bardzo podobny do hawajskiego (przeczytałem o tym u Tuwima, któremu zwróciła na to uwagę pewna Hawajka, po usłyszeniu polskiego zdania: „Mali na hali hulali i pili kakao”) – więc przetłumaczyłem sobie to Honolulu w podobny sposób. – „cho no tu” – wołali nieraz koledzy,

kiedy chcieli, abym do nich dołączył, a „lulu” to popularne określenie na pójście spać. W ten sposób rozumiane Honolulu wydało mi się nad wyraz sympatycznym miejscem na odpoczynek, a nawet na ucięcie sobie drzemki. Wiedziałem już, dlaczego stryjek lubił tam się udawać...

Ale wracajmy do paczki, która właśnie przyszła od stryja. Zdarzało się i tak, że ta czy inna z nich przychodziła uszkodzona i otwarta, a wtedy dołączane do niej wyjaśnienie stwierdzało, że uszkodzenie zostało dokonane przez głodnych obywateli kraju nadawcy, poza granicami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tym razem jednak paczka dotarła w całości, albo bez widocznych śladów otwarcia, i wypełniła podłogę w pokoju swą kapitalistyczną treścią. Były tam podstawowe środki spożywcze, ale jakże inne od tych z naszych sklepów: herbata firmy *Lipton* (nigdy wcześniej niewidziana w Gryzonii), która smakowała jak prawdziwa a nie jak tak zwana „gruzińska” ze zmiotków magazynów w Batumi; prawdziwa czekolada *Hershey's* w ogromnych tabliczkach – jakże mi smakowała w porównaniu z fałszywką 22 Lipca d. E. Wedel (nie była, ani znacjonalizowanej firmy *Wedel*, ani receptur tej firmy, skrzetnie ukrytych przez wywłaszczonego właściciela przed uzurpatorską władzą z ramienia CCCP – tłumaczoną przez podziemnych poetów Gryzonii jako: Cep Cepa Cepem Pogania); okrągłe i puste w środku jak obwarzanek, dropsy o cytrusowych smakach, nie mówiąc już o najróżniejszych egzotycznych orzeszkach, figach czy daktylach.

Były tam jeszcze opakowania zawierające długi, beżowy, przeźroczysty ryż, który się nie sklejał podczas gotowania jak ten znany mi z baru mlecznego. Co do tego ryżu powziąłem natychmiast podejrzenie, że był on tym przygotowywanym osobiście przez stryjka dla siebie i innych adeptów ju-jitsu. Spróbowałem tego ryżu – nie powiem – nie był zły, ale gdzie mu tam było

do takich placków kartoflanych albo kotletów ziemniaczanych z sosem grzybowym przyrządzanych często na moją prośbę przez ciocię Mitę. Tychże placków zjadłem kiedyś siedemnaście, a następnego dnia na śniadanie poprawilem. W ogóle placki te były najbardziej pyszne ze wszystkich pyszności cioci i po dziś dzień nie wiem, co mogłoby im dorównać, bo ani nawet najwytrawniejszy bigos kresowy, ani węgierski gulasz z połędwicy wołowej, ani nawet *paella valenciana*, nie umywają się do nich. Należały one do tych wyjątkowych, bardzo nielicznych potraw, których smak potrafił ziszczać więcej, niż mieściło się w ich zapachu.

Ale następnego dnia rano, ciocia podawała mi je przyrządzane na nieco inny, równie genialny sposób: pokrojone na drobne paski i podsmażane

aż do stanu chrupkiego, w tłuszczu własnym. W paczkach od stryjskiego bywały także zabawki; różnego typu samochody wymalowane jaskrawymi kolorami i warczące silnikami, kiedy się je puszczało po podłodze. Niektóre nawet przy tym sypały prawdziwymi iskrami z rur wydechowych.

Nieco później, jednym z moich największych marzeń było posiadanie prawdziwych niebieskich dżinsów – kowbojskich spodni z grubego bawełnianego płótna, które „się wycierało” przy noszeniu. I właśnie te używane i wytarte należały wtedy do przedmiotów najwyższego pożądania, jako niespotykane rzadki unikat odzieżowy.

Zwierzyłem się stryjce, we własnoręcznie napisanym liście, z mego marzenia, prosząc go na wszystkie świętości o takie blue-jeansy. I wtedy, pierwszy i jedyny raz, spotkała mnie z jego strony niespodziewana odmowa. Stryj wyśmiał mnie, że u nich takie spodnie noszą tylko pastuchy od krów, że byłoby mu wstyd przysłać mi takie, a jeszcze używane – chyba zgłupiałem. Wybaczyłem mu z czasem to niezrozumienie dla rzeczy wyższego rzędu, jednego tylko nie mogłem mu zapomnieć – tych pastuchów od krów, bo żeby tak nazwać szlachetnych kowbojów – tego zrozumieć nie mogłem.

Lecz tym razem sporą część paczki zajmował jakiś plastikowy, wymyślnie złożony przedmiot o trudnym do określenia, na pierwszy rzut oka, zastosowaniu. I nawet po rozwinięciu spłotów tej pałuby, gdy ukazała się już w całej swej wybujałej kolorowości i kształcie – barwna, rudowłosa postać, leżąca płasko na podłodze, trudno było jeszcze domyślić się, kto zaczął...

Dopiero oglądając to coś ze wszystkich (to znaczy, obydwu płaskich stron), zorientowano się, znalazwszy do tego służące zaworki, że trzeba to coś, po prostu nadmuchać. Tatko mój podjął się tego stawiającego na nogi zadania, dysponując w naszym wąskim gronie najlepszymi płucami byłego sparingpartnera Garkowienki. Spod jego zaczerwienionej wysiłkiem twarzy zaczęła się z wolna zaokrąglać i podnosić w sobie, młodzieńcza postać jakiegoś atlety w czerwonych spodenkach i z nagim torsem, obuta w brązowe trzewiki o białych sznurowadłach, zawiązanych wysoko, prawie do połowy łydki. Postać ta podnosiła się coraz wyżej i wyprężała dorodne swoje bicepsy, przechodzące niżej w żyłaste przedramiona w klasycznej postawie bokerskiej. Wiedziałem coś o tym, bo wówczas cała Gryzonja trzęsła się w posadach po niedawnym, ogromnym sukcesie „naszych” w mistrzostwach Europy w boksie i wszyscy byliśmy Drogoszami. Zresztą twarz atlety, w miarę nadmuchiwania, ze złamanym pięściarskim nosem nie mogła budzić wątpliwości. Był to prawdziwy, dorodny bokser w pełni

kariery i w najwyższej formie. Wspaniała ruda czupryna, zaczesana wysoko i nieco rozwichrzona w walce, nadawała mu zawadiacki i groźny wygląd. Był nieco wyższy ode mnie i wzbudzał respekt, a z miny widać było, że o tym wiedział. Stojąc mocno na nogach, próbował się już z moim tatą. Uderzony, odchyłał się w tył lub na boki z siłą wprost proporcjonalną do zadanego ciosu i nawet powalony na podłogę, natychmiast przyjmował pionową, bokserką postawę, a jeśli się w porę nie zasłoniło, potrafił, z tego odchylenia zadawać ciosy.

Trochę onieśmielony zbliżyłem się do niego ostrożnie, pragnąc jakoś stanąć na wysokości przyszłych zajęć i nie wiedząc, co począć dalej – powiedziałem rozbijająco: – Bakajek. I tak już zostało.

Bakajek był do cna bokserem zawodowym, bo nic innego nigdy nie robił i dlatego niełatwo było z nim wygrać. Walczyliśmy często i nigdy nie pozwolił się znokautować, sam dając się mi niejednokrotnie we znaki. Początkowo szło mi nie za bardzo, gdyż Bakajek był bokserem wagi cięższej. Później, kiedy nieco urosłem, dawałem sobie coraz lepiej radę, zaczynając stopniowo nawet przeważać, dzięki lepszej pracy nóg, które u Bakajka były tylko namalowane.

Stopniowo Bakajek stawał się coraz bardziej, że tak powiem, moim prywatnym chłopcem do bicia. Nie udostępniałem go kolegom dlatego, że w tamtych czasach lepiej było nie przyznawać się do przyjaźni z tak typowym Jankesem. Walczono wówczas ze stonką ziemniaczaną, zrzucając ponoć z samolotów, celem zniszczenia Polski Ludowej przez imperialistycznych rodaków, takich Bakajków. Wtedy pierwszy raz zacząłem go podejrzewać o podwójną grę, tym bardziej że Bakajek właśnie gdzieś zniknął i długo go nie było. To wszystko świadczyło przeciwko niemu.

Odnalazł się dopiero po kilku latach, kiedy byłem już uczniem Szkoły Podstawowej nr 21 przy ulicy Zuga. Znalezione go w garażu – który wtedy pełnił rolę składu towarów trudno dostępnych i reglamentowanych, to znaczy różnorodnej waty potrzebnej do produkcji kołder w pracowni mojej mamy. Jako córka kapitalisty, czyli dziadka Sylwestra, sama również nazywana była prywatną inicjatywą, a to już groziło, ziszczającym się często, tak zwanym domiarem, czyli rozumianym, po kacapsku z mongolska, haraczem pieniężnym nakładanym na wroga klasowego.

Ten wróg klasowy tak mi się wyrzył w jaźni, że kiedy już dużo później pani wychowawczyni chciała mnie wyznaczyć w klasie na gospodarza klasowego, odmówiłem wątpliwego zaszczytu, nie chcąc właśnie uchodzić za jednego z wrogów klasowych.

Bakajek wylazł cały uwalany kurzem i tym reglamentowanym towarem, milczący jak grób. Zresztą nigdy nie nauczył się mówić po polsku, posługując się, jak przeżywaną gumą, własną ubogą, boksterską gwarą kalifornijską. Nie wiadomo, co przez ten czas robił? Podejrzywałem go o najgorsze – nie tylko o tę stonkę. Zresztą straciliśmy już ze sobą kontakt, ja przeszedłem do klasy i wagi wyższej, a mój brat mniej nim się interesował, woląc od boksu wolną amerykankę. Wyglądało na to, że kariera Bakajka dobiegała końca. Tym bardziej że po powrocie stracił wiele z dawnej kondycji i formy, wykazując w postawie jakąś dziwną ambiwalencję. Nie był już teraz nigdy tak dobrze nadmuchany jak dawniej i nie można było mieć wątpliwości, że stawał się szybciej miękki w nogach, że nie jest już szczelny, że puszcza farbę.

Wysłałem go na obóz kondycyjny, z którego zbiegł, potwierdzając tym samym moje podejrzenia. Podobno odnalazł się dopiero w Honolulu, tym doskonałym miejscu spoczynku dla – nie tylko sportowych – emerytów.

Mistrz Haftowanego Listowia

(fragment)

Anabioza

Nie pamiętam już jak odnalazłem się w tej niedoli; tak nieważko określonej, tak ulotnie sprecyzowanej pustej rzeczywistości, w której od pewnego czasu, niejako od nowa, zaczynał powolutku jakby konsolidować się w sobie.

Gdy wzięło się go było pod lupę, co wydawało się równoznacznym z wsłuchiowaniem się w samego siebie, nie podobna było dostrzec jakichkolwiek zmian na lepsze – nie dawał oznak życia. Musiało jednak w nim toczyć się coś na kształt jakiegoś solilokwium, bo gdy pozostawiwszy go w spokoju, powiedzmy na kilka dni, rzucało się nań okiem, można było dopatrzeć się, że przebierał w środkach, byle tylko przyjąć do siebie.

Nie było to, w sensie dosłownym, braniem się w garść. Oceniając swój stan poprawnie, dobrze wiedział, że mogłoby to okazać się dla niego zgubnym w skutkach. Gwoli ścisłości, wyglądało to raczej na zbieranie do kupy wszystkich nieuświadomionych sobie, wcześniej istnień – pararealitystycznych wcieleń jego rozwianych losów, zanim ukonstytuują się ostatecznie pod postacią bardziej czytelną zmysłom.

I nie trzeba było nawet długo oczekiwać dogodniejszej dla tychże przemian aury, pomyślniejszych konfiguracji ciśnień, korzystniejszych zawirowań prądów czy zanikających wiatrów, aby wkrótce poczuć się namacalnie, w formie pęczniącej – odradzającej się z jego popiołów – żerującej na nich, gąsienicy.

Zachodziłem w głowę jakiegoż to gatunku mogła być ta żarłoczna, grynszpanowa glista, tak nienasycona na tym etapie niespodziewanej inkarnacji. Rosła nadzwyczaj szybko, czerpiąc obficie z przebogatych pokładów niezapisanego – kiełkującego z żywnych pyłów tych niespełnionych rękopisów, którymi usłane są dzieje.

(Zapachy ich utrzymują się całymi wiekami w słojach powietrznych i w ściółce leśnej, przez ludzi nieodczytane, odnajdywane czasami węchem przez włóczące się samopasy psy, którymi one później inspirowały i stroją gęstym zleżałym smutkiem, swe, bezbrzeżne od nieukojenia i tęsknoty, wycia zimowe – pod nieobjętymi sklepieniami, iskrzących się od gwiazd i mrozu, nocy).

Obserwując ją, niejako od środka, jasno widzimy te uzasadnione pretensje, którymi się karmi owa robaczkowa, jeszcze niesprecyzowana forma.

Przeczuwamy te wybiegające poza nią predyspozycje, nie znajdujące dla siebie miejsca do ucieleśnienia, nieujawnione jeszcze, drzemące w niej ewentualności, majaczkowe, pokrętne rojenia o posłannictwie do przyszłych, nieograniczonych, magicznych możliwości – jak ubrania ze starszego brata, w aktualnej rzeczywistości życiowej.

W tym momencie odwołały mnie *ad interim*¹ w odległą delegację, rewolucyjne rozruchy na jego manowcach – jakieś niejasne autystyczne agrafile, oszukańcze synkopy czy aferezy, którymi skażony, próbował się tam od nowa formułować.

Były to pożałowania godne sołecyzmy, swoiste *satis verbum*², do którego mógł dojść niebawem na odległych peryferiach swoich; rozwodzące się

¹ Tymczasowo.

² Wystarczy słowo.

szeroko rozwlekłe chimery, którymi te piękne zdrajczynie fałszywie regenerowały *solvitur ambulando*³ koniektury jego larwalnego bytu.

Z przykładną surowością ukróciłem te błędy i wypaczenia.

Doszczętnie spacyfikowany, leżał teraz przede mną i pokrywając się z wolna kurzem i pajęczyną, zdawał się spoczywać w pokoju.

Dnie mijały monotonnie, podobne do siebie jak krople ciekącego kranu, czułem jednak zbliżający się nieubłagane zmierzch jego historii.

Próbował, co prawda jeszcze, skupić na sobie moją uwagę, proponującym współudział, swym ciągiem dalszym, w roli głównej: kolekcjonera zapachów albo nawet kustosa „Muzeum Wonności i Aromatów Świata”; ale kiedy jeszcze zaoferował mi uczestnictwo w wyprawie między strony odległych latopisów, w czas pełni ruskiego miesiąca – stanowczo odmówiłem mu dalszej współpracy.

Zwinął się w kłębek i zamknął w sobie, oblekając się w kokon zawiłych transformacji. Może tam jeszcze doszlifowywał swą ostateczną wersję, wyglądając figatele, kielznając niesforne imponderabilia? Może tam jeszcze dokonywały się jakieś ważne suplementy – głęboko przemyśliwane paraliipomena?

A może tylko przepoczwarzał się w ukryciu w postać imago?

Dość, że pewnego listopadowego przedpołudnia, uwolniony z okowów, które go tak boleśnie krępowały, uleciał z liniejącego kokonu pawiooki motyl legendy.

Krzysztof Rudziński

³ Proces, w którym fabuła powstaje w trakcie tworzenia.

Jerzy Śleszyński

Listy do K.

22 czerwca 2003

Nasz wspólny znajomy dopiero niedawno, w dość przypadkowych okolicznościach, wygadał się, że nie tylko dobrze Cię zna, ale nawet spotkał niedawno „na mieście”. Moja znajomość z Tobą jest znacznie bardziej ulotna, ponieważ ogranicza się do kilku wieczorów literackich w okresie młodzięńczych błędów i wypaczeń. Nie wiem jak z Twoimi retrospekcjami, ale moja pamięć dość dokładnie odtwarza Twoją twarz i postać, a nawet pamiętam urodę Twoich wierszy.

Mamy ostatnio ze znajomym chorobliwą skłonność do powracania do pamiętnych i miłych wydarzeń z odległej, wspólnej przeszłości. Sprawiają to liczne kłopoty, które w różnym zakresie i natężeniu trapią nas od pewnego czasu. Być może dlatego, zupełnie spontanicznie, pojawił się pomysł zorganizowania wspólnego spotkania. Korzystam z użyczonego mi e-adresu, żeby uprzedzić Cię o tym pomysle. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko wieczorom „kombatanckim”, o ile odbywają się w przyjaznym i interesującym towarzystwie. Czas i miejsce do ustalenia.

24 lipca 2003

To był miły i inspirujący wieczór. Mam nadzieję, że Twoja opinia jest podobna. Z powodu odkrywania tajemnic kilku swoich bardzo starych kufrów, nie dotarliśmy jednak do granicy rzeczywistego poznania (się). Przynajmniej tego odsłaniającego liczne artystyczne sympatie i antypatie, a także dotyczącego życia prywatnego.

Nasilenie moich kontaktów z naszym wspólnym znajomym mogłoby narazić nas obu na opinię ironicznego obserwatora, że tworzymy dwuosobowa „grupę wsparcia”. Nic sobie nie robię z takiej interpretacji i namawiam Cię, żebyś dołączyła do klubu.

To nie jest takie proste i często spotykane, żeby można było „w naszych czasach” liczyć na szansę rozmowy lub spotkania w chwili, kiedy bardzo nam na tym zależy. Jakoś obaj dajemy sobie radę i telefon oraz e-mail ratują

nas z opresji, pozwalają utrzymać nastrój na przyzwoitym poziomie, a czasami nawet poprawić sobie samopoczucie!

Oczywiście ważny jest obszar wspólnych zainteresowań i umiejętność gospodarowania wolnym czasem. Najbardziej zniechęcająca jest wersja: „jestem tak zajęta/zajęty, że na NIC dodatkowego nie mam już czasu”. To oznacza odmowę, ale wnikliwie odczytane może być sygnałem dobrowolnej marginalizacji i zapowiedzią wczesnej depresji.

Przepraszam za ten wywód, bo w istocie moim zamiarem było tylko optymistyczne przekonanie Cię do życzliwego traktowania następnych listów lub telefonów. Z przyjemnością odebrałem Twoje zainteresowanie muzyką. Na początek takie hasło wywoławcze: „*Llibre vermell*”. Czy to coś Ci mówi – jakieś muzyczne skojarzenia, czy może konkretna wiedza?

Rozmawianie o muzyce, o ile nie jest się muzykologiem, wyszło zupełnie z mody. Od roku koresponduję z młodym człowiekiem z Gdańska, który podobnie jak ja notorycznie nawiedza festiwal muzyki dawnej w Jarosławiu. I tak to właśnie jest, że muszę pisać aż do Gdańska, żeby wymienić poglądy na temat wyjątkowych wykonawców lub intrygujących CD.

10 kwietnia 2004

Piszę po naszej rozmowie w godzinach popołudniowych. I teraz wydaje mi się, że to co mówiłem było dobre. Było uczciwe w granicach dostępnej nam uczciwości. Pośpiech zabił już niejednego. Niejeden za szybko obiecał zbyt wiele. Wybór „wszystko albo nic” zniszczył niejeden mój mdły kompromis, w którym trudno było mi żyć. Teraz nie mam odwagi ciąć mizerykordią niecierpliwych – narzędziem do dobijania zbyt małych lub zbyt kalekich związków z ludźmi. Tym razem z determinacją i pokorą ustawiłem dekoracje i wśród nich dwie wycięte z papieru figurki. Są ulotne i może je porwać byle wiatr. Finał nie jest znany, ale wolałbym, żeby nie napisał go Andersen. Ten specjalista od zamrażania serc, które przecież zasługiwały na więcej.

Wypowiedziałem magiczne słowo: czekam. Na ile prawdziwie, skoro codziennie siadając rano na łóżku odczuwam brak czasu? Czy dlatego, że chcę tym czekaniem coś sobie wypracować, zasłużyć na Twoją zadumę i dramatyczną zmianę stosunku do świata i do mnie? Czekanie kojarzy mi się natychmiast z czekaniem na zmiłowanie. A przecież w ten sposób czeka się właściwie na śmierć. To źle. Moja intencja była przecież inna – chodziło mi o życie. Chciałem dać Ci czas na dojrzałe podjęcie decyzji

– samodzielnej i samorządnej. Żadnej presji, ani uszczęśliwiania na siłę. Czas – czas na Twoją osobistą decyzję, która najpierw bierze pod uwagę Ciebie i Twoje życie, a następnie jednak dostrzega mnie i przychyła się do kompromisu i przyjaźni, która ratuje oboje.

Czy muszę dodawać, że czekanie ma w sobie pewne zobowiązanie, że jest groźne, bo nie można go zlikwidować bez upokorzenia petenta oczekującego przed prawem? A więc, może popełniłem nadużycie, bo zamiast deklarować cierpliwość powinienem zapytać Cię wprost, czy wolno mi czekać? Nie zapytałem i stanąłem przed drzwiami prowadzącymi do prawa, być może na próżno. W rozterce czytania Twojego listu nie skupiłem się na źródle Twoich wątpliwości. Czy Twoje nawiązanie dotyczyło listów Kafki i czy to jego pisanie było do Mileny? Tak mi się wydawało, ale nie sprawdziłem. Jeżeli tak, to ich ostatnie listy są jednym wielkim i bolesnym niespełnieniem.

W czasie podróży autobusem rozważałem, czego jest najwięcej w prawdziwej przyjaźni. I doszedłem do wniosku, że zaczyna się zawsze od poznawania. Jak poznaje się obcy krajobraz, obce miasto, nieznane ulice i monumenty. Idzie się przed siebie i jeżeli tylko przewodnik nie jest oszustem dochodzi się w końcu do olśniewających miejsc, rozległych placów i przepięknych pejzaży. To jest odkrywanie – poprzez życie drugiego człowieka odkrywa się dziwność istnienia i swoje własne tajemnice. To jest jednak bardziej zjawisko ilościowe niż jakościowe, bardziej materialne niż duchowe. Nowość i akcja porywają, a nawet otumaniają – na dłużej lub krócej, ale zawsze do czasu. Drugim elementem, który cechuje dojrzałą przyjaźń, jest potwierdzanie. I tutaj przydaje się Kierkegaard ze swoją teorią powtórzeń.

Nie można nieustannie odkrywać. Poznawanie ma swój koniec jak każda droga i każdy zawzięty marsz przed siebie. Zużyty zostaje w końcu życiorys, rejestr lat minionych, wyczerpują się historyjki i anegdoty, słowa i zdania wracają do utartych znaczeń. Wtedy przychodzi pora na powtórzenie. Kierkegaard chciał, żeby najwyższe poznanie zawarte w powtórzeniu odnosiło się wyłącznie do życia duchowego. Estetycznemu poznaniu przyznawał miejsce niższe i chyba dlatego niechętnie patrzymy na plagiat, stąd niska ocena czegoś, co w sztuce wtórne i nieoryginalne. W przyjaźni, jak w świątyni dowolnego boga, powtórzenie i potwierdzenie są czymś zawsze obecnym i ważnym, są wspólną i wciąż tą samą ważną modlitwą. To ciąg słów, które wypowiadają do siebie tylko Ci wybrani przez los. To są ich zaklęcia. Dzięki nim zaczynają rozumieć się bez słów.

Przyjaźń zakwita pięknym i jasnym spojrzeniem, które znaczy: znam Cię, wiem i rozumiem. Porozumienie instynktowne i natychmiastowe

nie jest dane tylko bezgranicznie i po raz pierwszy zakochanym. Można je „wychodzić”, „wygadać”, „uwspólniać” różnymi sposobami. I tu znowu pojawia się problem czasu, bo nic dobrego i nic złego nie dzieje się bez jego udziału. Można owo porozumienie osiągnąć poprzez wolę i sympatię, z pomocą wspólnych przeżyć i doznań, spotkań rozgrywanych jak dobra partia szachów. Ale na to wszystko potrzebny jest czas, trzeba go znaleźć i poświęcić (skojarzenie z ofiarą całopalną nie jest zupełnie bezpodstawne). To wynik świadomie dokonywanych wyborów.

Mnoży się lista warunków, bo i czas, i sympatia, i silna wola. W zamian otrzymuje się jednak coś cudownego: pewność, że momenty wzlotów i chwile oczarowań będą wspólne i wieczne jak życie. Bo będą do nas powracać dzięki powtórzeniom, które jak zdjęcie, dźwięk lub specyficzny smak będą nas elektryzować do wspólnego przeżywania raz jeszcze i jeszcze raz od nowa. Słodka magdalenka nie musi kojarzyć się tylko z pokojem obitym korkiem, w którym śmiertelnie chory mężczyzna dyktuje swoje życie, które beznadziejnie zmierza do końca. Może smakować obojgu i jak sakrament przypominać o wspólnocie i o jej świętych prawach. Gorycz umierającego pisarza brała się przede wszystkim z niemożności prawdziwego dzielenia się z kimś tym niepowtarzalnym smakiem.

11 kwietnia 2004

Jest już po północy i zanim nadejdzie godzina wilka chcę wywołać dwa demony. Ich cień pojawił się na ścianie kościoła, gdy stałem za Tobą, patrzyłem na Twoje pochylone plecy i drewnianymi ustami nie mogłem wymówić powtarzanych w nieskończoność zwrotek pieśni. Demony są przeciwnej płci i czasami opuszczają ciała żywych wciąż ludzi, żeby zrobić jeszcze jakąś krzywdę swoim niegdysiejszym ofiarom. On – Twój były mąż i ona – moja była żona. Mogą przerazić, bo każde z nich zabrało sobie część naszego ciała i jeszcze większy ochłap naszej duszy. Pozornie nic już od nas nie chcą, ale przy każdej nadarzającej się okazji usiądą okrakiem na szyi i wypiją ciepłą krew.

Poczułem ich zimny oddech na plecach, kiedy pomyślałem, że znajdujemy się wciąż w ich mocy, a tylko wydaje nam się, że mamy los w swoich własnych rękach. Ona zmusiła mnie do wzięcia na siebie odpowiedzialności za wszystkie istotne decyzje w naszym wspólnym życiu. Zwolniła się z myślenia o sprawach codziennych i życiowych. I stąd być może powstał w niej

nowotwór niespełnienia i niezadowolenia, który rozsadził nasz związek. Nie mogła znieść, że w końcu tak mało od niej zależy, że tak mało zbiera pochwał i nagród. Odeszła, najkrócej mówiąc, bo zobaczyła swoje życie zrobione w moich rękach. Mało wiem o Twoim byłym, ale nie przesłyszałem się, kiedy mówiłaś o jego rozzarowaniu Twoim zagubieniem w sprawach zbyt prozaicznych i domowych, Twoim brakiem czasu dla siebie, dla niego i jego świata. Najkrócej mówiąc: on odszedł, bo nie mógł mieć Ciebie takiej, jaką prawdopodobnie kiedyś sobie wymyślił i wybrał.

Taka myśl po północy to nic przyjemnego. Uświadomienie sobie, że to co może nas oddalić od siebie i rozdzielić, to będzie jakby drugi, niezdany egzamin z tego samego przedmiotu. Każde z nas odegra jeszcze raz tę samą rolę odpychając lub będąc odpychanym. Upiorna powtórka z nieszczęścia, które niczego nas nie nauczyło! Ty wpadniesz w popłoch i skryjesz się za palisadą licznych życiowych zobowiązań i uwarunkowań. Wybierzesz te najtrudniejsze do zakwestionowania, najbardziej sercowe i rodzinne. Wybierzesz tak dokładnie, żeby żaden manewr, żaden kompromis nie był możliwy. Założysz na głowę szarą czapeczkę i obwieszysz się torbami. Czy on proponował kompromis, czy odszedł bez słowa? Czy wkrótce, na dany przez Ciebie znak, ja mam wypowiedzieć do Ciebie jego słowa? Teatr fatalnych powtórek?

I ja w takim samym tańcu widm – na sznurku starych uzależnień. Ja kreujący raz jeszcze moje otoczenie, „uszcześliwiający” na moją modłę żywą osobę stojącą przede mną. Jeszcze jeden gest, jedno zbyt długie zdanie i model ze złością zejdzie z postumentu. Wybierze wolność byle gdzie i z byle kim, byle tylko nie przebywać dłużej w aurze ciągłych i narastających oczekiwań. Ja – znowu jak demiurg zniszczenia z rękami obejmującymi powietrze, chociaż obiektywnie taki czuły i mądry. Czy moja była małżonka brała pod uwagę jakiś kompromis? Na pewno nie, bo po powrocie do kraju nie dała mi najmniejszej szansy. Tak bardzo, tak zdecydowanie mój nadmiar dobrych chęci i oczekiwań okazał się dla mnie tylko zabójczy. I wkrótce być może Twoje odruchy obronne, które będą mówić do mnie: „nie zbliżaj się, bo to nie jest rzeźba i nie należy do ciebie”. Dwa demony symbolizują nasze stare błędy, od których oboje nie uwolniliśmy się do dzisiaj!

12 kwietnia 2004

Chyba ze strachu nie napisałem poprzedniej nocy o refleksji, która naszała mnie natychmiast po wspólnym wyjściu z kościoła. Dopiero wtedy zdałem

sobie sprawę, że wzorem starych romantyków znalazłem sobie idee fix, żeby przelicytować samego Boga. Umysłowiłem sobie, że przecież przyszedłem na plac Teatralny nie dla liturgii, nie dla tradycji, ale żeby spotkać się z Tobą. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca (nie tego rzeczywistego, bo to zająłem dla nas obojga z dużym wyprzedzeniem), bo Ciebie nie było i to pomimo Twoich powtarzanych obietnic. I po dręczącej dla mnie przemowie księdza zebrałem się do wyjścia. Nie przyszło mi do głowy, że możesz mnie nie szukać i do drugiej sali, gdzie spokojnie stałaś, wszedłem z powodu chwilowego pomieszania i chęci ominięcia frontowych drzwi. Oto ta tragicomiczna refleksja: czy ktoś stawiał Cię już kiedyś wyżej od Pana Boga?

Napisałem do Ciebie tyle stron i znajome mi dobrze zniechęcenie wypełza z nory. Im więcej napiszę, tym bardziej prawdopodobne jest, że tego nie przeczytasz ze zrozumieniem lub umkniesz w monolog o codzienności lub ze strachu przekażesz mi tylko wyrazy konwencjonalnego współczucia. Kiedy próbuję ograniczyć złe skojarzenia, to tam w środku narasta niepokój i bunt. Znowu albo-albo i *tertium non datur*? Zrezygnować albo milczeć i cieszyć się wspólnym wyjściem na koncert, powiedzmy raz na miesiąc? Wcześniej to mi prawie wystarczało, tak było prawie dobrze, jak zdrowemu na ciele i duszy autorowi *Się*. Znane i codzienne motywacje do mycia zębów, odrabiania pracy domowej i higieny kulturalnej, okazują się teraz niewystarczające. Wiem, że gram *largo* i *grave*. Nikt nie chce długo słuchać takiej muzyki.

Zadaję sobie pogmatwane pytania: jaką rolę bezpodstawnie zacząłem przypisywać w moim życiu Tobie, na jakiej podstawie założyłem, że chociaż trochę Ci na mnie zależy? Do czego zmierza moje wypychanie się w Twój światek złożony z dużych obowiązków i małych satysfakcji (bo duże według Ciebie są grzechem)? Nie było w tym planu i wyrachowania. Jeżeli wspominałem o tym na początku zbyt słabo, to piszę to teraz czarno na białym: spotkanie z Tobą po latach miało w sobie coś fantastycznego i niezwykle.

Chciałbym dodać, że jest jeden dźwięk, który mi dokuczliwie zgrzyta w Twoich wypowiedziach. Wydaje mi się obcy, bo niezauważony przeze mnie przed laty, niepasujący do Ciebie jaką zapamiętałem i na dodatek bardzo niebezpieczny, a może nawet zabójczy dla wszelkich nadziei. Tym dysonansem jest powtarzanie przez Ciebie w każdej dogodnej sytuacji mantry upokorzenia, nie pokory, ale właśnie upokorzenia. Kiedy tylko to możliwe mówisz głośno o siadaniu z tyłu, o byciu pomijanym przy wręczaniu wyróżnień, o chowaniu się w tłumie, o ustępowaniu innym, o rezygnowaniu

z własnych ambicji itp. Co gorsza sama rzeczywiście wycofujesz się i deprecjonujesz to „co” i „jak” robisz w swoim życiu. Nawet swoim tekstom literackim i obrazkom nieustannie przypinasz sama łatkę, że to „takie tam byle co”.

W moim życiu, zwłaszcza samotnym, niejedną raz miałem wrażenie, że otoczenie i los traktują mnie po macoszemu. Nigdy nie byłem dzieckiem szczęścia i doświadczałem sytuacji, kiedy byłem tendencyjnie pomijany lub niesprawiedliwie oceniany. Chyba dlatego włożyłem wiele wysiłku w to, żeby w codziennym bytowaniu nie być od nikogo za bardzo uzależnionym, żeby moja praca nie podlegała uznaniowym i koteryjnym ocenom, żeby zagwarantować sobie margines swobody poza kapryśnym lub wyrachowanym oddziaływaniem grup ludzi. Udało mi się w pracy, gorzej w życiu codziennym, najgorzej w rodzinnym. Są skutki uboczne – wyhodowana w izolacji nadwrażliwość, bo byle chamski i agresywny sąsiad może mnie zupełnie wytrącić z równowagi.

W sumie myślę jednak, że mógłbym Ci pomóc, nie gorzej niż wykwalifikowany terapeuta, odbudować poczucie własnej wartości. Starałbym się, żebyś uwierzyła, że warto żyć również dla siebie i tworzyć, i że nie jest to bez znaczenia dla Ciebie i najbliższych. Tylko czy Ty sama tego chcesz? To trudne i groźne pytanie, jak wiele temu podobnych w moich listach. Czy przypadkiem nie pogodziłaś się z rolą Kopciuszka, który tylko przebiera mak? Czy jesteś gotowa walczyć o swoją wolność z otoczeniem, czy raczej położyłaś już głowę na pieńku? Według mnie, kontynuując ten przykład, Ty poprosiłabyś usłudźnika kata, żeby robił swoje, ale bez przemęczania się, a więc po trochu i powolutku. Ale na długotrwałe dorzynanie drewnianą piłą, nawet gdyby miało być naszym solidarnym i wspólnym doświadczeniem, nie ma mojej zgody. Nie mam odwagi zadzwonić i telefon nadal milczy.

9 maja 2004

Zastanawiałem się, czy to możliwe, że krzywdy, jakie stały się Twoim udziałem w dotychczasowym życiu są teraz główną przyczyną pośpiesznego oddalania się ode mnie, a nawet od czysto hipotetycznej wizji rzeczywistej przyjaźni z drugim człowiekiem. Nie sądzę, żeby było moim przywideniem, że w toku naszej krótkiej przecież znajomości zatańczyliśmy dziwnego kontredansa.

Kiedy robiłem mały krok w Twoim kierunku – Ty również robiłaś malutki krok ku mnie. Kiedy zrobiłem dwa kroki ku Tobie – Ty robiłaś dwa kroki wstecz. To oznacza Twoją silną determinację i chęć zachowania status quo, czyli bezpiecznego dystansu, który uniemożliwia powtórne zranienie, ale również prawdziwe zbliżenie. Czy przypisywać to wcześniej doznanemu urazowi? Bo jeżeli nie...

Nie jestem zarozumiały i łatwo zbić mnie z pantałyku najprostszymi, również bardzo wątpliwymi zarzutami. Tym bardziej więc odczuwam niepokój i zadaję sobie pytanie, dlaczego przegrałem ze skromnym bagażem moich rozbudzonych po długim, zimowym śnie emocji? Dlaczego moje deklaracje pozostały bez echa, dlaczego prośby o ustępstwa spotykają się z coraz bardziej oschłym przyjęciem? Co takiego skłoniło Cię do podjęcia tak zdecydowanej obrony?

Tak to nazywam, bo według mojej oceny nasz okres zwieńczony wspólną kolacją w „Artibus” cechował się Twoją swobodą, życzliwością i atencją dla mojej osoby. Nie było budowanych naprędce zapór, a tylko pokonywanie obiektywnych trudności i naturalnej niewiedzy o drugiej osobie. Co konkretnie spowodowało, że w Twoje e-listy i nawet w zwykłe rozmowy wkraść się ton zniecierpliwienia, a nawet irytacji? Gdzie jest moja wina, jeżeli ta interpretacja jest poprawna?

W sobotę dotknęły mnie drobne fragmenty Twojego listu, które z zapalem godnym lepszej sprawy starały się upewnić mnie, że przykro Ci z tego powodu, że w ogóle mogłem sobie wyobrazić jakobyś Ty kiedykolwiek wyjątkowo i dobrze czuła się w moim towarzystwie. Przytoczone przeze mnie drobiazgi, które były dla mnie po prostu miłe i wyjątkowe, zostały przekreślone i opieczętowane pokutniczym wyznaniem, że to tylko moja imaginacja, ponieważ nie jesteś przecież kokietką.

Przekora nakazywałaby zapytać: a właściwie dlaczego nie, co w tym złego? Skoro droga do przyjaźni jest kręta i niepewna, to niech będą chociaż zewnętrzne namiastki radości i satysfakcji. Zupełnie niepotrzebnie i brutalnie napisałaś o tym czarno na białym: „niezamierzony efekt” i „nadinterpretacja”. To były Twoje najnowsze wyjaśnienia, które ranią. A tak naprawdę sądzę, że ranią nas oboje.

Jak by nie było – czy zdolność do emocji została wypalona żelazem w Twoim sercu przez rozpad małżeństwa, czy też zawiniła moja osobowość – to widmo klęski „wszelkich nadziei”, którą wcześniej tylko hipotetycznie przywoływałem, staje się teraz realne. Tak jak pisałem nie wykluczam mojej adaptacji do nowych okoliczności, ale będzie to dla mnie trudne

i przykre przedsięwzięcie. I to tym bardziej, jeżeli nie zostanie przywrócony wiosenny odcień naszych pierwszych spotkań.

11 maja 2004

Powracam do spraw dusznych. Kwestia spędzania, bycia na cenzurowanym, psucia tego co jest. To powraca jak bumerang w Twoim komentarzu do każdej mojej próby przeanalizowania i zrozumienia, dlaczego zatrzymaliśmy się na etapie przypadkowego i bardzo przeciętnego koleżeństwa, dlaczego na początku było bardziej miło, dlaczego moje „wielkie nadzieje” w ogóle nie stanowią dla Ciebie atrakcyjnej perspektywy.

W zapędach schładzania mojej sympatii posunęłaś się bardzo daleko. Powiedziałbym nawet zbyt daleko, bo każdy człowiek, niezależnie od tego co mu się obiektywnie od życia należy, widzi sam w sobie również coś wyjątkowego. Dla swojej wyjątkowości oczekuje od losu nagrody i nawet jeżeli los zawodzi, to każdy człowiek stwarza sobie iluzję choćby częściowego spełnienia, żeby nie zwariować z frustracji. Nawet jeżeli nie jest egocentrykiem, to oczekuje i szuka podstawowej aprobaty.

Być może sam jestem sobie winien, bo z determinacją przekonywałem, że prawda jest ważna, że utrata kontaktu z rzeczywistością zawsze kończy się źle. Twierdziłem w rozmowach, że trzeba patrzeć prosto w oczy temu, co jest naprawdę przed nami. Doczekałem się Twojego milczenia w kwestii mojej wczesnej deklaracji „oczekiwania na Twoją gotowość”, następnie Twojego zniecierpliwienia z powodu ponawiania zaproszeń, a w końcu Twojego unieważnienia mojego wrażenia, że cokolwiek życzliwego w Twoim zachowaniu, podczas naszych spotkań, mogło mieć szczególny związek z moją osobą.

To silna obrona i ostre argumenty. W romantycznych książkach lub w filmie ona powiada do niego: „wiesz lubię Cię, tylko tyle”. W naszym prozaicznym i banalnym spektaklu Ty mówisz: „ja nie dałam ci żadnego pretekstu do myślenia o mnie inaczej, niż o zwykłej koleżance, co więcej, ja nie mogłabym tobie dać takiego sygnału”. Teraz, niejako z mojej winy, każde Twoje słowo i gest będą usztywnione, i w dwójnasób poddane analizie. Żeby nie dać najmniejszych powodów do moich urojeń, żeby uniknąć w przyszłości niezręcznych sytuacji, a więc ostatecznie po to, żeby pozbawić nasze spotkania empatii. Pojawiają się już symptomy odpersonalizowanego (*undisclosed recipients* w e-listach) i lekceważącego traktowania (beztroskie spóźnienia).

Tak miecz rozcina węzeł gordyjski. Coś z czymś się jakoś wiązało i trudno było powiedzieć, czy supeł jakoś nas obiektywnie trzymał razem, czy to była tylko kokarda, którą zawsze można rozwiązać bez wysiłku. Ale widocznie miecz Damoklesa wydał Ci się bardziej właściwy. Tylko że taki miecz ma dwa ostrza i kalczy. A to, o czym napiszę dalej jest dla mnie prawdziwym zagrożeniem nie tylko naszej przyjaźni, ale nawet zwykłej znajomości. Mówiąc wprost – rzeczywistym zagrożeniem w przeciwieństwie do Twoich przesadzonych negacji Twojego zaangażowania w naszą znajomość.

Wcześniej szukałem kontaktu, nawet ryzykując obiektywne podejrzenie, że się narzucam lub dzwonię zupełnie nie w porę. Parłem do spotkań, żeby nie było próżni, żeby zbyt liczne tygodnie nie oddzieliły nas parawanem narastającej od nowa obcości. Robiłem to nie wbrew sobie, ale z przekonaniem, że dla mnie, dla Ciebie i dla nas moje staranie może kiedyś mieć istotne znaczenie. Roilem sobie nawet, że może będziemy wspominać jak to czekałem na Ciebie w banku, a potem siedzieliśmy na ławeczce w parku i rozmawialiśmy. Namawiałem nie powodowany okropną potrzebą, żeby na ten właśnie koncert nie iść samemu, ale popychany przekonaniem, że wspólne słuchanie otwiera nowe perspektywy, pole rozmowy i wymiany myśli. W długim horyzoncie to właśnie tworzy pewną wspólną przeszłość, nawet jeżeli nie jest ona usankcjonowana silniejszym związkiem.

Dzisiaj po raz pierwszy zabrakło mi pary (wyszło dwuznacznie, chociaż nie było to zamierzone). Były czynniki obiektywne w postaci zmęczenia, ale ważniejszy był brak przekonania, że mogę coś zmienić. I ta Twoja melodramatyczna, powtarzana coraz częściej negacja, która sprowadza się do tego, że moja osoba mało znaczy i w ogóle nie ma sprawy. Czułem się skrzepowany i postawiony pod ścianę. Czy było nadużyciem moje oczekiwanie, że odezwiesz się przed moim wyjazdem, żeby zamienić kilka zdań zanim wsiądę do pociągu? Dzisiaj nie mogły mi pomóc ani „telefon do przyjaciela”, ani próby reanimacji innych znajomych. Wyszedłem w końcu sam na spacer i po powrocie zacząłem pisać ten list. Marazm. Jest godzina bliska północy, a ja nie jestem ani spakowany, ani przygotowany do podróży.

Nad tym i nie tylko tym będę już za kilka godzin zastanawiał się w wagonie. Niejako na zgodę (brzmi jak pożegnanie) proponuję wieczór filmowy w dniu 28 maja. Ostrzegam tylko, że w ramach ślamazarnie trenowanej asertywności nie zgadzam się na to, żebyś wybiegła z kina natychmiast po zakończonej projekcji. Nie znam się na zasadach bardzo powierzchownej przyjaźni, ale po filmie *Grand Canyon*, kiedy natychmiast pożegnałaś się

i zostałem sam, czułem się psychicznie bardzo źle. Cała pozytywna energia wzbudzona tym filmem przekształciła się w trudny do opanowania niepokój.

15 czerwca 2004

Sukces, udało mi się wreszcie odebrać e-pocztę w domu! Tyle, że jak to bywa sukces okazał się ograniczony i bardzo wątpliwy. Zamiast wskazówek od Ciebie dla mnie, dotyczących czasu i miejsca planowanych w przyszłości rozmów, jakaś standardowa wiadomość na temat wątpliwych wydarzeń artystycznych skierowana jednocześnie do tłumu znajomych. Dla mnie krótki dopisek na samym końcu – Twoje jak zawsze pospieszne, rozpoznawalne literówkami i złane „potem” obietnice spotkania. Potem w Twoim wydaniu może oznaczać nigdy.

Po trudach i napięciach dzisiejszego dnia muszę poszukać odprężenia. Wychodzę zaraz zagrać w koszykówkę. Około 17.00 powinienem być w domu. Muszę się jeszcze spakować i tak dalej. Nie wykluczam gotowości do spotykania się, o ile z drugiej strony ochota będzie nie mniejsza i dostanę taki komunikat. Telefonem też nie pogardzę i na pewno odbiorę.

PS. Ostatnio wyraźnie pomijałaś milczeniem moje wszystkie ważne pytania i uwagi zawarte w postscriptum. Możesz teraz postąpić tak samo i nie będę się czepiał. Jak słuchało Ci się utworu Niny Simon zatytułowanego: *I can get along without you (except sometimes)?*

Jerzy Śleszyński

Olga Wójcik

Brzegiem morza

Józefowi Czapskiemu

Preludium

Szłam plażą. Dostrzegłam parę idącą brzegiem morza. Dwie postaci trzymały się za ręce. Czy za rok, za dwa, za sto będą razem iść przez życie? Gdyby namalować obraz z motywem tych ludzi, byłiby szczęśliwi na zawsze. Rozległa plaża, zatoka, klif, fragment morza – i ich sylwetki w pejzażu nadmorskim.

Imiona barw

Szłam plażą. Chciałam malować w plenerze, ale było zbyt wietrznie. Zima choć ciepła, dawała spory chłód. Podjęłam więc próbę nazwania kolorów, zaczęłam szukać słów.

Dzień zdawał się ciepły i mgławki jak na tę porę roku. Bałtyk mienił się tonami jasnych turkusów i rozmytych granatów w objęciach cichego słońca.

Rozpoznałam dwa kolory naprzemiennie układające się w gobelin zwany morzem. Oto: *Najjaśniejszy Pan Turkus* i barwa: *Łzy granatowoookiej*. Barwy te były tak delikatne i jasne jak kolory Zatoki Neapolitańskiej, jak tęsknota za czułym dotykiem. Znalazłam się w krainie łagodności – muskana bryzą eudajmonii.

W oddali iskrzył się ptak. Migotał tak szybko skrzydłami, że wyfrunęły obok niego jeszcze dwie isierki o szybkich piórach. Ptaki drżały na tle uśmiechu nieba.

Znalazłam jeszcze jeden kolor: *Karmin śpiący*. Należał do krzewów rosnących przy plaży. Przypominał mi osobowość człowieka, który w pewnych momentach życia rozkwita, dając światu siebie. Tańcząc, śpiewając, malując. Potem wtapia się znów w czas snu, odpoczynku, zbierania sił.

Może ten kolor to symbol artysty. To karmin zakłęty zimową aurą. Kiedy zaświeci mocno słońce, kolor ten zrzuci z siebie blady ton i rozpali się do czerwoności płomienia.

Dzień żegnał się ze mną trzema tonami jednej barwy: szarości. Trzy klify-wzgórza wyłaniały się jeden z drugiego. Najbliższa „góra” była najciemniejsza, wydawała się ciężka niczym ołów. Szarsza – tak ochrzczona przeze mnie, znajdowała się pośrodku, zaś najjaśniejsza to barwa uczyniona perspektywą powietrzną – mgława.

Ten wachlarz szarości mówi mi: „Dobranoc”, śpij dobrze. Z takim pejzażem łagodnie się zasypia. A budzi się pragnienie zobaczenia go w świetle poranka.

Linia horyzontu i fali

Szłam plażą. Wędrówki nadmorskie o różnej porze dnia skłoniły mnie do pytania o linię horyzontu. Mam w pamięci obraz mojego ojca. To duże płótno zimnego Bałtyku. Jak on celnie, pewnie, prosto namalował linię oddzielającą wodę od nieba. Bez linijki, czuć pracę, napięcie mięśni.

W dniu, gdy ujrzałam pastelowe barwy Bałtyku, linia horyzontu była jasna i miękka. Przypominała naciągniętą nitkę wełny. Przyglądałam się zmianom tej linii, podążając za słońcem, więc może widziałam pracę Najwyższego. Oto gest stwórcy, arcymistrza, artysty malującego świat.

Innym razem horyzont był ciemnym, ostrym granatem rozplywającym się w jaśniejszej toni morza. Nad tą linią zawieszono zostały fioletowe, małe chmury w różowej poświacie.

Pamiętam też lśnienie porannego morza. Siła tego światła zabrała oczom możliwość widzenia linii.

Nocą. Była ledwie wyczuwalna. Linia horyzontu stała się spotkaniem płaszczyzn czerni. Różnych płaszczyzn – wody: cięższej i mocniejszej czerni z lżejszą: nieba – tak jak na obrazach Marca Rotho.

Najtrudniejsza do okiełznania przez malarza to linia morskiej fali. Jest szybka. Ileż razy moje oko za nią podążało i pozostawało z wiecznym: „Wiem, że nic nie wiem”. To linia w ruchu, z dali idzie wraz z falą i nagle zakręca, stając się niewdzięcznym modelem – „rozczochraną”. Wielu śmiałków, próbowało oddać zew morza. Czy komuś może się to udać, mistrzu Hiroshige?

Po latach

Szłam plażą. Nie sama. Obok mnie mój mąż. Trzymaliśmy się za ręce, wtapiając się w pocałunek nadmorskiego pejzażu malowanego przez artystę na brzegu plaży.

Sopot – Orłowo, luty 2016 r.

Akt miłości

Stop. Świat zatrzymał się. Elektrownia wyłączyła prąd. Temperatura spadała z minuty na minutę.

Ludzie skulili się, wtulili w siebie, przeżegnali przy świetle świecy. Włożyli czapki na głowy i próbowali zasnąć.

Zawieja przynosiła coraz więcej śniegu wokół domu. Wiało i wiało, sypało i sypało. Dom niknął w przestrzeni. Nagle hak okiennicy zerwał się i wiatr mógł do woli uderzać o nią z trzaskiem. Huk piorunów zaczął rozsadzać czerni nocy. Dudnienie dalekosieczne rozwibrowywało niebiosa, floresy wichru wirowały pośród pomruków ciężkich, odległych, niczyich.

A oni wtulali się w siebie coraz mocniej. W lodowatej już całkiem izbie krzesali iskry miłości. Każdy pocałunek i westchnienie odsuwał od nich dudnienie i bębnienie rozsierzdzonych żywiołów. W końcu rozgrzani zasnęli w swoich ramionach, oboje śniąc ten sam sen spowity w miodowym świetle lata.

W świetle popołudniowym, ciepłym, aksamitnym śnili obraz:

On jako bąk
zanurzał się
w fioletowym kielichu
dzwonka polnego

Ona bujała się
jako pszczoła
na łądźce
lawend

Potem zamieniła się
w wiewiórkę

która w łapkach
niosła Maleńką

A on (...)

Śnili, a za oknem szalała burza śnieżna. Dudniło wysoko, planetarnie. Niby sprzysiężenie niewidzialnych sił pchało biały walec z wielką natarczowością, by zniszczyć ich sen i dom.

Wśród wirujących piór śniegu, w podmuchach zawiei ukazywała się wielka biała sowa. Z oczu jej szły błyski. Wiele, wiele mniejszych sów rzucało światła w stronę korytarza powietrznego, po którym pędził jeździec. Pędził niby w zaświaty, wysoko, wysoko w chaosie podmuchów i huków. W pewnym momencie, nie zatrzymując się, odwrócił się do świata, gdzie stał ten dom, w którym dwoje ludzi śniło miodowy sen, i śmiejąc się uniósł dłoń, zaciskając palce: środkowy, serdeczny i kciuk. Dwa pozostałe – wyprężone rzuciły cień na Ziemię.

Małżeństwo obudziło się skoro świt. W pokoju było zimno. Przeżegnali się. Ucałowali. Wstali i rozpalili ogień w kuchni węglowej. Ogień zaczął gadać. A budzące się słońce dało znak na ścianie izby. Znak ten przypominał świetlistą rozetę. Trwało to chwilę.

Tekst napisany tuż przed wybuchem wojny, luty 2022

Olga Wójcik

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Jan Vladislav

Gibraltar

W półśnie przez dłuższy czas nie masz pewności, czy to pod balkonem trzaska jeszcze ogień nocy czy też już tryska chłodne źródło poranka. Poranna zorza daje ci pewność, chociaż większy wiatr: wstaje dzień. Także morze na horyzoncie już dawno pracuje, a w dali wynurza się z niego Skała, wciąż z tym białym pióropuszem chmur.

Przed drzwiami umiera na ceglanych schodach nocny motyl zawisak. Cekał za długo, otworzyłeś za późno, słońce weszło wcześniej, niż zdążył wrócić do domu. Jego kolory potem bezsilnie bladły przez cały długi dzień. Dopiero pod wieczór znalazły go pracowite mrówki i urządziły orszak pogrzebowy. Słońce nad nim pomału padało na oliwki.

Zanim pójdziesz spać, nie zapomnij zostawić otwartych drzwi. I włóż okulary, żebyś lepiej zobaczył zawisaki, które przylatują, i na twarze, które wynurzają się z głębin snów. Czekają, jak tylko Skała zanurzy się za widnokrąg, wciąż z tym białym pióropuszem chmur.

Na starej akwareli w niskim świetle zachodu podjeżdżają ku niej jeżdźcy, a przy białym moło stoi statek ze zwiniętymi żaglami.

Jak w bajce

W muzeach z zainteresowaniem oglądają stare narzędzia tortur, na zamkach z dreszczem łążą po głodowych wieżach i lochach, na ich wilgotnych ścianach odcyfrowują podpisy niegdyśszych ofiar, a jednocześnie nie przestają żuć chleba, pokrzykiwać i robić sobie na pamiątkę zdjęcia z żonami i dziećmi opierającymi się na skrzypcu do rozciągania ciała lub pieńku do ścinania głów. Nawet autentyczny topór kata jest tylko rekwizytem w bajkowej grze, która pomimo wszystkich kłopotów zakończyła się dobrze. W końcu wszyscy szczęśliwie się pobrali, mieli mnóstwo dzieci, a te także miały dzieci i tak dalej aż do nich samych: inaczej by ich tu przecież

nie było... Czy ich istnienie nie jest wystarczająco dobrym dowodem, że na świecie wszystko było i jest w najlepszym porządku – tak jak w bajce?

Z samizdatowego zbioru *Sny i wiersze prozą, II, Apokryfy, Paryż 1988*

Monolog człowieka rozmyślającego o kraju rodzinnym

Nie są to łąki zalane wodą
ze śniegu, który stał przedwcześnie,
ani te drogi z rzędami jarzębin
targanych na wietrze,
ba, ani nawet te stacyjne budki
i czarne błoto z iłu i żuźla,
które oblepia buty wszystkich
wysiadających z pociągu,
a którzy potem jakby przygarbieni pod niewidzialnym tobołkiem
rozchodzą się na wszystkie strony w pola
i gdzieś ku wsiom i chatom,
których nie widzisz...

Raczej to facet z podniesionym kołnierzem,
dziś już całkiem siwy,
który patrzy pustym wzrokiem
spod swego kapelusza, sam, oparty o słupek,
w przemokniętych kaloszach na progu poczekalni
zbitej z desek, złożonej zaledwie z trzech ścian.
Raczej jest to ta nić,
na której trzyma się jego los
i nie wypuszcza go z kręgu tych kilkudziesięciu
błotnistych kilometrów jego powiatu
i która prowadzi go jak dyszel konie w kieracie
od jednej stacji do drugiej,
od jednej poczekalni do następnej,
od jednego siwego włosa
do całej brudnej zasy,
która jednakże nie zgasła
czegoś żarzącego się w tym pustym spojrzeniu.

Nie są to siedziby z czarnymi wrotami i dachami,
sterczące na pagórkach jak zamki warowne,
ani te szeregi wiotkich delikatnych olszyn
wzdłuż wszystkich wypełnionych wodą i wyschniętych rowów,
nie są to czerwone, nieotynkowane czoła ścian,
które wynurzają się z mgły naprzeciw
ze wstęgą zielonej, samotnej sosny.

Raczej jest to mężczyzna,
który otwiera notesik w grubych palcach
i pokazuje chłopcu, jadącemu z nim,
czerwony, zagraniczny znaczek pocztowy
i pochyla milcząco głowę ku dziecku,
dopóki to dziecko w milczeniu, radośnie,
z zachwytem na niego nie spojrzy.

Nie jest to kwadrat rynku
z morowym maryjnym słupem, z próżnymi fontannami,
nie są to puste ulice i bruk z kocich łbów,
po których turkotała obręcz dzieciństwa,
ani ten absolut nieba
niektórych dawnych lipcowych dni.

Są to raczej obory, świecące
do późnej nocy mętną lampą,
pod którą dojarka przyciska się
brudną chustką do białego boku krowy,
jest to raczej cicha milcząca para wołów,
idących w ciemności za wami,
a które rozpoznajecie tylko po plaskaniu
tych ich rozpołowionych kopyt
w kurzu drogi.

Jest to raczej obraz
niż kraj.

*Wiersz ze zbioru Samomluvy (Monologi),
wyd. Poezie mimo Domov Publishers, Monachium 1986*

NOTA

Jan Vladislav (prawdziwe nazwisko Ladislav Bambásek, 1923-2009), czeski poeta, tłumacz literatury z wielu języków, eseista, założyciel podziemnego wydawnictwa. Jego zbiory poezji ukazywały się w samizdacie. W latach 1981-2003, z powodu szykan doznanych w Czechosłowacji, przebywał na emigracji w Sèvres pod Paryżem. Po roku 1989 uhonorowany ważnymi odznaczeniami w Czechach i Francji.

Przełożyła i notą opatrzyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Z przekładów Danuty Cirlić-Straszyńskiej

Božo Koprivica

Vježbanka¹

Jego ręka zwisała z łóżka jak śpiący strażnik ciała i pokazywała figę – ostatnią, jaką mój ojciec mógł wymyślić: figę wyciągniętą pod nos całego świata.

Widzę Danila Kiša przechodzącego Czarną Bramą Wydziału Filozofii Uniwersytetu Belgradzkiego. Ukończył tutaj studia jako pierwszy student literatury porównawczej. W jego twórczości dwa razy wspomina się o Gilgameszu: w powieści *Ogród i popiół* i w *Encyklopedii umarłych*. Epos o Gilgameszu to pierwsze dzieło obowiązkowej lektury dla studentów literatury światowej. Danilo Kiś był pierwszym studentem literatury światowej w Belgradzie, którego książki włączono później do spisu lektur obowiązkowych na tym wydziale...

W opowiadaniu *Zamek oświetlony słońcem* zgubiła się Pomarańcza, najładniejsza krowa w całym stadzie. Andi i pies Dingo, szukając Pomarańczy, ze strachu śnią o śmierci jako zamku oświetlonym słońcem. W zamku przebywa rusalka „cała w bieli jakby z jedwabiu”... Ta gra ze snem była przygotowaniem do wielkiej gry ze śmiercią.

Śmierć jako temat zawsze pojawiała się w jego autoportretach. Kiś pielęgnował pokrewieństwo ze śmiercią od dzieciństwa. „Postanowiłem, że pewnego dnia będę świadomie obecny przy nadejściu śmierci i dzięki temu ją pokonam” – napisał.

Wszystkie obsesyjne tematy Danila Kiša można wyprowadzić z tomu jego opowiadań *Wczesne smutki*. Szaleństwo o szczególnej barwie to temat opowiadania *Pogrom*, które nie przypadkiem następuje po innym, *Gra*. Ukazuje ono zrewolucjonizowany, wściekły tłum, który rabuje wiejski sklep.

¹ *Vježbanka* to ćwiczenie, notatka albo zbiór notatek służący m.in. do przywołania czegoś albo kogoś. Samo to słowo brzmi sympatycznie, miło. *Vježbanka*, którą chcę się podzielić z czytelnikami „Podglądu” – to tytuł książki o Danilu Kiżu. Danilo odszedł ze świata przed trzydziestu kilku laty, 15 października 1989 r. Autor *Vježbanki*, czarnogórski pisarz i reżyser teatralny Božo Koprivica, latami przyjaźnił się z Kišem i jak widać, nie przestał z nim rozmawiać także po roku 1989...

Tłum dreptał po śniegu niby olbrzymia stonoga. Nagle rozległ się trzask szkła... Puszki konserw zaświeciły mosiężnym blaskiem. Z papierowych worków sypał się cukier i trzeszczał pod nogami. Świece w paczkach wydawały odgłos jak suche kości. Patrzyłem przerażony na pana Antona, kasjera, który, stojąc na jakiejś beczce, rzucał w górę konfetti...

Andi Sam patrzy w opowiadaniu *Pogrom*, jak zbliżają się nowosadzkie „zimne dni”. Wymiar dźwiękowy, muzyczny zapowiada faszystowski marsz, prawa, lewa, rodzenie się tragedii. Opowiadanie to odsłania tajemnicę poetyki Kiša. Lekkość powagi – termin Itala Calvina – w połączeniu z precyzją opisu. Poszukiwanie lekkości jako refleksu rzeczywistego ciężaru. Pan Anton, kasjer, którego widzi przerażony Andi Sam, z włosami posypanymi konfetti, w jego oczach odlatuje na beczce do przedsiönka zbrodni, przemocy totalitaryzmu.

Kiś to demon światłości, boski archiwista, wynalazca najdziwniejszych kombinacji logiki i wyobraźni, wyrachowania i szaleństwa. W wierszu *Anatomia zapachu* (1962) odsłania tajemnicę:

Anatomia zapachu

Odoratus impedit cogitationem

św. Bernard

*z czego jest wykonana
jedna jedyna uncja perfum
o dźwięcznej nazwie*

*z 9500 kwiatów francuskiego jaśminu
z 4800 róż
też francuskich
z osiemdziesięciu róż okrutnie udręczonych pragnieniem
na pustyniach Maroka*

*z kwiatów pewnej odmiany kosaćca
która rośnie wyłącznie
na plantacjach koło Florencji
gdzie wzniesiono dziwaczne
krematoria i gdzie
korzysta się z pieców słonecznych*

*aby z kwiatów wycisnąć
wyznanie winy*

*w końcu z trzydziestu pięciu fabrycznie
wyprodukowanych aromatycznych
chemikaliów
które dla równowagi rozmieszcza się
to z jednej to z drugiej strony
i trzyma się razem dusze
wszystkich kwiatów
stronniczych i
wzajemnie zniecierpliwionych*

Jakaż przejrzystość. Oto poetyka Danila Kiša. Kryształ i płomień.

Są czasy żelazne dla wszystkich

albo: **Budzik i faszyzm**

Powieść *Ogród i popiół*. Opis idyllicznego rodzinnego spaceru (Marija Sam, Ana Sam i Andreas Sam), Nowy Sad, ulica Dzikich Kasztanów, przez które światło przesypuje krople płynnego srebra; spacer kończy się zaglądaniem ciekawskiego chłopca w niskie okna, za którymi sapią ostatnie śpiochy. Śpi, płynie w śnie spokojnym urzędnicza Europa. A w zasadzce czeka na nią ten, kto nerwowo i surowo rozbija sny – niemiecki żandarm. Obok śpiących stoją duże metalowe budziki na tylnych nogach – jak śpiwacy, i dziobią drobne nasiona minut, by wkrótce, napompowane do eksplozji i złe, wpierając nogi w marmurowe blaty szafek nocnych, zacząć pisać triumfalnie, z rozkołysanymi krwawymi grzebieniami.

Rozkład jazdy z dwudziestego wieku

W pewnej chwili ujrzał okuty, ciężki bucior, który całym ciężarem przyniół mu palce. I poczuł, że wszystko łamie się z trzaskiem, rozpada jak szklanka, i ujrzał przez moment, jak zęby wcinają mu się w dłoń.

Szum czasu Andreas usłyszał w przedziale kolejowym, w barce, którą błędziła rodzina Sam. (*Bo ja, podobnie jak mój ojciec, już wtedy byłem zakochany w pociągach. Nazwy miast, które ojciec wymawiał przez sen, mającąc, zatruwały mnie tęsknotą... Upajałem się muzyką podróży... w takich chwilach nie bałem się śmierci*).

Według jakiego rozkładu podróżowała rodzina Sam? Według *Jugosłowiańskiego rozkładu jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych* Edwarda Sama (wydanie Engl. and Com. Nowy Sad, drukarnia Djordja Ivkovicia, 1938). Rozkład jazdy to archiwum, w którym przechowuje się nazwy miast, portów, aptek, nazwiska żeglarzy, uczonych, nazwy rzek, nazwiska astrologów, handlarzy gęsim pierzem, listonoszy, alchemików, szachistów, urzędników banatu, duchownych, kolejarzy, oficerów, nazwy gór, krajów, mórz... Rozkład jazdy E.S.-a opiera się na harmonii nazw, podobnie jak ruch planet na harmonii sfer niebieskich, które wyznaczyły los tego stulecia.

Gwiazdy wściekle pożerały się w tym stuleciu, pisze Mandelsztam.

Danilo Kiš przegryzł zębami bramę obozu stulecia, ale stulecie odcisnęło na nim swoje żelazne kły.

*Niebo ukaże nasze wnętrzości
A niewinność uderzy świat
Cierpką czernią śmierci...*

Ręka, która pisze, jest blisko płomienia. Etyka Borysa Dawidowicza to estetyka Danila Kiša. Rygorystyczność poświęcenia. Aż do kości. Literatura jako przymus egzystencjalny.

Bezszenność. Biała kartka, czarny zbir...

Nikt z naszych pisarzy nie widział lepiej, jak rozgrzany topór rozciina ikonę. Kiš teraźniejszość/przyszłość często wyprowadzał z przeszłości, z analogii historycznej. Stąd jego prorocze wizjonerstwo. Gwiazda jego śmierci zapowiedziała upadek wielkiej leninowskiej guberni.

Prorok Danilo stapał boso po rozbitym szkle stulecia.

*Wrażliwe twoje stopy bose...
Bose szkłem i zakrwawionym piaskiem.*

Brutalny taniec utożsamionych noży

Książki Danila Kiša są skomponowane na wzór muzyki. Tematy, postacie, motywy rozpoznaje się według złożonych praw narracji. System (poetycka symetria) funkcjonuje precyzyjnie na płaszczyźnie prozy, na poziomie całej twórczości Kiša.

Powieść *Ogród, popiół*: młodzi folksdojczycy (przed wojną, w Panonii) udają się na wycieczkę; za pasem mają piękne skautowskie noże z trzonkami z drzewa różanego. Stal i błysk tych noży zapowiada krwawą masakrę w styczniu 1942 roku – *nowosadzkie zimne dni*.

W pierwszym opowiadaniu z *Grobowca dla Borysa Dawidowicza* mowa jest o rytualnym morderstwie młodej rewolucjonistki Hanny Krzyżewskiej (miejsce akcji: Rumunia). Nóż, który zabójca (Miksza, członek organizacji rewolucyjnej) wbija w piersi pięknej Polki, ma trzonek z drzewa różanego.

Taki sposób poetyckiego utrwalania szczegółów świadczy – z jednej strony – o *wiecznych powrotach* Kiša do określonych motywów, z drugiej ustanawia określone analogie (*utożsamione noże*) na płaszczyźnie mechanizmów ideologicznych faszyzmu i stalinizmu. Poetyckie odczytywanie istoty faszyzmu i stalinizmu jako zjawisk historycznych i psychologicznych przesądziło o charakterze utworów Danila Kiša, od *Psalmu 44* poczynając do *Encyklopedii umarłych*. Niezrównany paralelizm historyczny występuje w opowiadaniu *Księga królów i błaznów*, które z bezlitosną jasnością zapowiada totalitaryzm XX wieku. Retoryka mroku i marmuru...

Epizod z folksdojczami w powieści *Ogród, popiół*, idylliczny (święteczny, niemal karnawałowy) nastrój naruszają dwa detale: noże i organki.

Folksdojczycy w krótkich skórzanych spodenkach, z plecakami, wybierają się na wycieczkę. Na ich umięśnionych nogach połyskują złote włoski, za pasem mają piękne skautowskie noże z trzonkami z drzewa różanego. Grają na organkach, naśladując świerszcze. (...) W końcu swoimi rybimi ustami przegryzają organki na trzy części jednym jedynym uciskiem silnych szczęk...

Ci młodzi folksdojczycy przegryźli dźwięk i sen E.S.-a i wysłali go do obozu śmierci Auschwitz, do Oświęcimia. Mały słodki kicz, a z niego – wielki faszyzm.

Trudno jest wysoko podnieść swoje nieszczęście

Mistrzostwo rękopisu życia Edward Sam i Borys Dawidowicz starają się ustrzec także i w śmierci. Jakaś piękna zuchwałość, wilcza zwinność są w sposobie, w jakim ci dwaj bohaterowie pragną odejść z tego świata w śmierć, do królestwa grozy.

Żyłem piękniej i bardziej bogato niż wy dzięki cierpieniu i szaleństwu, pragnę więc także i w śmierć wejść godnie, jak przystoi w tej wielkiej chwili – powiada E.S.

W gasnącym spojrzeniu Nowskiego jako jedyną oznakę duszy i życia można było odczytać decyzję, aby wytrwać, aby ostatnią stronę biografii napisać z własnej woli, z pełnią świadomości, jak się pisze testament. Tę swoją myśl sformułował tak: *Wszedłem w lata dojrzałego życia, dlatego więc miałbym psuć swój życiorys?*

Koniec opowiadania o Nowskim. Obóz Norylsk. Jego wybór rodzaju śmierci przypomina jedną z śmierci Szymona Cudotwórcy z *Encyklopedii umarłych*. W śmierci tej nie ma śladu ideologii. A swoje nieszczęście Nowski podniósł wysoko (ideał Edwarda Sama).

W tajemniczy, trudny do wyjaśnienia sposób Nowski znika z łagru, prawdopodobnie podczas jednej z tych zamieci, kiedy strażnicy na wieżach, broń i niemieckie owczarki zdają się na nic. Gdy straszliwa zamieć się uspokaja, ruszają w pościg za uciekinierem, zdając się na instynkt krwiożerczych psów. Przez trzy dni wściekle wilczury, szarpiąc się w metalowych obrożach, wloką zmordowanych strażników. Czwartego dnia jeden z nich odkrył Nowskiego w pobliżu odlewni, gdzie zarośnięty, jak widmo, grzał się przy wielkim kotle, pełnym płynnego żużla. Otoczyli go i spuścili wilczury. Zbieg stał już na rusztowaniu nad kotłem, oświetlony płomieniami. Gorliwy strażnik zaczął wspinać się na rusztowanie. Kiedy się zbliżył, Nowski skoczył w płynną, wrzącą masę. Strażnicy widzieli, jak zniknął, zwinął się niby smuga dymu, głuchy na rozkazy, niepokorny, wolny od wilczurów, od chłodu, od żaru, od kary i od skruchy.

Magiczne antycypacje

Borges nazwał Kabałę księgą, w której nie ma miejsca na przypadek, mechanizmem o nieskończonej ilości planów i bezbłędnych wariacji. Twórczość Kiša można odebrać jako księgę przypominającą Kabałę. W pierwszych prozach (w tekstach eseistycznych) spotyka się jakby magiczne antycypacje jego późniejszych powieści i opowiadań, na przykład ślady ludzkie na piasku. W związku z tym powiedział sam Kiś, że słowa *piasek* i *ślady ludzkie* to nic innego jak kwintesencja i treść powieści *Klepsydry*. W *Klepsydry* z kolei łatwo jest rozpoznać motywy z *Wczesnych smutków*, z powieści *Ogród, popiół*, a także z *Grobowca dla Borysa Dawidowicza* i *Encyklopedii umarłych*. Wśród nazwisk bohaterów wspomnianych w *Klepsydry* znajduje się między innymi Karl Štajner z Zagrzebia, pisarz i uczony, który przeżył stalinowski obóz, po czym napisał znakomitą książkę *7000 dni na Syberii*. Kiś zaprzyjaźnił się ze Štajnerem po jego powrocie.

Wszystkie utwory Danila Kiša powstały w cieniu śmierci Edwarda Sama, która w sposób decydujący określiła twórczość syna.

Już we wczesnej powieści *Mansarda* pojawia się motyw odczytywania losu z plam kwiatowych na ścianach, rozwija się on w *Klepsydry*, a w zakończeniu opowiadania *Encyklopedia umarłych* odgrywa kluczową rolę w życiu głównego bohatera.

Prawie jednocześnie, jakby dotknięty jakąś kwiatową zarazą, zaczyna wypełniać sobie czas malowaniem motywów roślinnych wszędzie, gdzie tylko się da (...). Ponieważ nie udało mu się zamalować ciemnych plam na ścianach, postanowił pokryć je farbą olejną, według rysunku wykonanego przez wilgoć. Tak powstał pierwszy kwiat w łazience, wielki dzwonek czy lilia wodna, licho wie co.

Zupełnie, powiadam, zapomniałam o czasie... Nagle, gdzieś na ostatnich poświęconych mu stronach ujrzałam kwiat, niezwykle kwiat. W podpisie przeczytałam, że jest to p o d s t a w o w y motyw w malowidłach mojego ojca. Drżącymi rękami zaczęłam przerysowywać ów niezwykle kwiat. Najbardziej przypominał dużą, obraną i rozpętlą pomarańczę poprzecinaną cienkimi czerwonymi żyłkami podobnymi do naczyń włoskowatych. Przez chwilę byłam rozczarowana. Dobrze znałam malowidła, jakimi mój ojciec pokrywał wszystko dookoła... A potem przeczytałam ostatni passus i krzyknęłam... Wie pan, o czym była mowa w ostatnim akapicie?... Że zaczął malować w chwili, gdy wystąpiły pierwsze objawy raka. Że zatem jego obsesyjne

malowanie motywów kwiatowych pokrywa się z rozwojem choroby. Kiedy pokazałam ten rysunek doktorowi Petrovicovi, potwierdził, że nowotwór u mojego ojca wyglądał właśnie tak.²

W ślad za ręką Najwiarygodniejszego Rysownika Losu Ludzkiego Kiś napisał mistrzowskie kartki fantastyki śmierci.

Obsesyjne dążenie ku dokumentowi

Analiza pierwszych książek Kiśa ujawnia zadziwiającą konsekwencję w dążeniu ku dokumentalności. W minipowieści *Psalm 44* zasada ta jest niewątpliwa, a z kolei w opowiadaniach z tomu *Wczesne smutki*, w powieściach *Ogród, popiół i Klepsydra* znajdują się zrecznie włączone ogłoszenia, horoskopy, wyimki z prasy, listy, wypisy ze szpitala i jako przedsięwzięcie koronne postępowania dokumentalnego *Jugosłowiański rozkład jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych* – wydrukowany w Nowym Sadzie w latach 1937-1939.

Charakterystyczny jest także pewien zapis w noweli *Z aksamitnego albumu*. Uwypukla ona w pełni uparte dążenie Kiśa do prawdy w literaturze, jego skłonność do tworzenia treści, których autentyczność można udowodnić: *Wchodzimy do pociągu ze swoim śmiesznym bagażem, ciągniemy z sobą namiot naszego błędzenia, żaloszny posąg mojego dzieciństwa. Nasz historyczny kufer (...) Leżą w nim teraz tylko żaloszne szczątki mojego ojca jak popiół w urnie, jego fotografia i dokumenty. Są też świadectwa szkolne i metryka, wypisane kaligraficznie w dalekiej przeszłości, niemal mistyczne, cenne świadectwa zmarłego poety (...) kopie protokołów sądowych, papiery Fabryki Wyrobów Szczotkarskich w Suboticy (...), jego dwa listy – Wielki i Mały Testament, a także wypisy ze szpitala w Kovinie (...)*

Jaką myślą kierowałem się wówczas, przemycając to przedziwne archiwum do naszego kufra, skrycie przed matką? Była to niewątpliwie wczesna świadomość, że będzie to jedyne wiano mego dzieciństwa, jedyny dowód materialny, że kiedyś istniałem i że kiedyś istniał mój ojciec. Albowiem bez tego wszystkiego, bez tych rękopisów i fotografii na pewno byłbym dziś przekonany, że wszystko to jest późniejszą, dodatkowo wyśnioną opowieścią, którą wymyśliłem sobie na pocieszenie. Postać mojego ojca, jak tyle innych,

² Słowa M. – Mirjany Miočinović.

zatarłaby się we wspomnieniach i wyciągając rękę, dotykałbym pustki. Myślałbym, że śnię.

Także w *Mansardzie* znajduje się cały arsenał dobrego archiwisty: łacińskie sentencje (wydrapane na murze paznokciami), spis tytułów książek z własnej biblioteki, listy, dzienniki, spis mieszkańców pewnego budynku. W jednej z rozmów Kiś powiedział o *Mansardzie*, że ten młodzieńczy poemat (ćwiczenia stylistyczne na temat marzeń) byłby może banalny, gdyby nie kontrpunkt ze zmianami stanów, nastrojów, stylów, intonacji. Każde uniesienie kończy się tu upadkiem. Schemat kompozycyjny tego rodzaju zachował Kiś niemal we wszystkich późniejszych tekstach prozą.

Nieziemski dom albo biblioteka osobista

Trzy opowiadania Danila Kiśa (autobiograficzne bez reszty) zajmują honorowe miejsce w mojej osobistej bibliotece. Osobista biblioteka to ta, która została we wspomnieniach. Którą zna się na pamięć.

Opowiadanie *Koty: Podniósłszy kamień, zobaczył kocią głowę splamioną krwią i jedno złotozielone oko pod spękaną powieką. Chłopie, krzyknął i znowu podniósł kamień. Była potrzebna cała godzina, zanim je wszystkie zabił.*

Opowiadanie *Harfa eolska: Harfa to instrument, który bardziej niż jakikolwiek inny łączy w sobie średniowieczną formułę piękna (perfectio prima) i celowość (perfectio secunda); powinna być piękna z wyglądu, wykonana według zasad harmonii formalnej, lecz nade wszystko dostosowana do swego podstawowego celu: by wydawała przyjemny dźwięk.*

Poetyka Danila Kiśa...

Opowiadanie *Czerwone znaczki pocztowe z wizerunkiem Lenina* – o tym trzecim opowiadaniu nie będę pisał, aby go po prostu nie naruszać.

Jeszcze raz o plamach na ścianie

– Co pan widzi w tej plamie? – Morze. – I co jeszcze? – Statek płynący po wielkiej wodzie... ropuchę... czarnego motyla... waginę... rozwarły pysk psa... – Proszę mówić dalej: co pan jeszcze widzi w tej plamie, panie E.S.? – Fotografię mojej miednicy w chwili poczęcia. – Jakiego poczęcia? – Intelktualnego. – Co się poczyną w pańskim intelekcie? – Śmierć, proszę pana.

Na urodziny D.K.

...jeśli w czas wielkiego potopu zatonię wszystko, pozostanie przynajmniej moje szaleństwo i mój sen, jak zorza polarna, jak dalekie echo. Może ktoś zobaczy zorzę, może usłyszy dalekie echo... Może będzie to mój syn, który pewnego dnia wyda na świat moje zapiski, moje zielniki z panońskimi roślinami...

Przełożyła Danuta Cirlić-Straszyńska

Od tłumaczki

Pozwolę sobie dodać coś bardzo ważnego z zakończenia *Klepsydry*:
A wszystko, co przeżyje śmierć, jest małym, znikomym zwycięstwem nad wieczną nicością – dowodem wielkości człowieka i miłosierdzia Jahewh.
Do zobaczenia, Danilo.

Z przekładów Piotra Müldnera-Nieckowskiego

William Faulkner (1897-1962)

* * * ¹

Siedzimy przy herbacie
 Pod bzami w letnie popołudnie
 Wygodnie, z tym naszym luzem,
 Ze świeżą serwetką na kolanach.
 Więc siedzimy, nasza trójka, tak
 Abyśmy się wzajem nie domyślali,
 Jak nam tu dobrze.
 Dlatego że razem, wpatrzeni w jaśniejszy księżyc,
 Co wstaje z pleców, i w pierwsze gwiazdy.

Są też kobiety:
 Gładkoramiennie stwory w przejrzystych szalach, przebiegają obok
 I patrzą podejrzliwie, kiedy nas mijają.
 Jedna, nasza kelnerka, podchodzi bliżej:
 – Wszystko, panie, w porządku? – urywa zdanie.
 – Jesteście trochę zaniedbywani.
 Dolać herbaty? papierosa? nie? –
 Dziękuję jej, niech sobie idzie:
 Były dla nas jak puste lalki.
 – Kto? – dotarło do mnie
 Ostatnie słowo – Biedny facet, jego tragedia
 ...lekarze mówią... urwano w nadziei, że reszta sama się powie –
 Zajęci herbatą, papierosami, książkami,
 Ich głosy dochodzą jak rozwrzeszczana chmara gawronów.
 Siedzimy w cichym porozumieniu.

¹ Wiersz bez tytułu w wersji z pierwszego handlowego wydania: William Faulkner
A Green Bough (Zielona gałąź), Harrison Smith & Robert Haas, New York 1933.

Było to rankiem minionego maja:
Biała kobieta, biała lafirynda na skraju zarośli,
Biel rosnąca odbiciem w jeziorze;
I ja, stary chłop, do tamtej pory
Bez najmniejszego czucia w stukającym sercu,
Podkradając się do niej przez migocący ostęp nieba,
Mógłbym jej dotknąć wtedy, gdybym tylko chciał,
Jak żadnej nimfy, co dotąd umykały ile sił przede mną.
Unosiliśmy się coraz wyżej,
Pochwyciłem ją wreszcie na brzegach lasu:
Zachmurzonego, a zatrzymawszy się w granicach,
poczułem jej ramiona, wyziębiony oddech.
Chyba uderzył mnie pocisk
W lewą pierś
i zabił pukające serce. Tak
jakby się skończyło wino w szklance...
Sądziłem, że ją znajdę, jeśli kiedyś zechcę,
Lecz widzę – zapewne nigdy jej nie doznałem.

Nie należy tak umierać,
Takiego dnia jak tamten,
Od złośliwej kuli czy na inną nowoczesną modłę.
Ach, wiedza, niebezpiecznie całować ją w usta.
Lepiej osiąść, myślę, wraz z etruską strzałką
W łąkach, gdzie okeanidy
Ukwiecają tańcem rozbuchane trawy,
A takiego dnia jak tamten
Pojawi się zwieńczona kolumna: niechbym się stał
Dębem na wyspie wśród pąsowego morza.
Tymczasem w serce trafia odprysk ołowiu.

Tak, masz rację:
W taki sposób ginąć nie należy,
W żadnym wypadku, bez względu na powód.
Dobrze ci opowiadać

o wycieczkach w dal lichego nieba na spotkanie
z ustami śmierci: nie poznałeś radości
z domu i dzieci; pogody życia
i pracy, i że to nasza spuścizna,
A szczególnie radości z naszego wieku.
Byliśmy zbyt młodzi.
Ponadto – przeciera ręką oczy
– Ponadto nie mogło być inaczej.

Lecieliśmy
Nad Mannheimem. Widziałeś kiedy
Podobne okolice? Wiesz zatem,
Jak się pod gwiazdami wisi, postrzegając
Rozdarcie cichego mroku, pękanie na kawałki,
Przeszycie włócznie światła, w chybotliwej fali narastanie
Grzyw niespokojnych i jałowych blasków.
Czarna ziemia ciągnęła nas w dół, tamtej nocy
Pozbawionej nieprzestrzelonego powietrza:
Wielka czarna czara robaczków świętojańskich...
I to wszystko w tej sprawie, mniej więcej:
Nie należy tak umierać –

Nie należy tak umierać.
Jego głos opadł, a wiatr skanduje te słowa,
Bzy zaś kiwają łbami na wysmukłych gałęziach,
Potakują, gdy niesie wyrazy,
Bez względu na to, czy on słyszy, czy ogłuchł.
Nie należy w ten sposób umierać.
Wpół słyszalne, wpół milczące zdania,
Co się unoszą jak szare ptaszyska
Wokół naszych głów.

Siedzimy w cichej zgodzie,
Zmarzłem, słońce już odeszło,
A dzień chłodniejszy, gdy w trójkę

Siedzimy. Światło podążyło za słońcem,
Więc przestaję widzieć
Błede bzy złane z fioletową bladością nieba.
Głowy jednocześnie zwracają się ku mnie.
– Stary – powiadają – A jak umarłeś?

Ja – Ja żyję.

Słyszę ich głosy jakby z daleka – Nie umarł,
Nie umarł, biedak; on żyje –

Przełożył Piotr Müldner-Nieckowski



Fot. Katarzyna Boruń- Jagodzińska

Adam Lizakowski

PIESZYCKA

księga umarłych



Seria: Kolekcja Literacka 3 – Tom I**Adam Lizakowski – Pieszycka księga umarłych**

Autor: Adam Lizakowski

Tytuł: Pieszycka księga umarłych

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2022

nr wydania: I

liczba stron: 100

format: 148×210 mm

numer ISBN: 978-83-962200-3-5

cena: 30, 00 zł

Ilustracje: Piotr Wojciechowski

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: TUNIA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Tybetańska księga umarłych to święty tekst buddyjski o etapach umierania (dostępna po polsku w przekładzie Ireneusza Kani). *Księga pieszycka* Adama Lizakowskiego jest rozmyślaniami nad losami ludzkimi na Dolnym Śląsku, gdzie krzyżują się rozmaite biografie, naznaczone historią. Poeta pochyla się z ogromnym pietyzmem także nad biegiem życia osób, wydawałoby się, całkiem zwyczajnych, przypomina o sprawach, które je

zajmowały. Niekiedy w rozmyślaniach bierze górę pasja polemiczna, bo Pieszyce to dla Adama Lizakowskiego najważniejsze miejsce na ziemi.

Anna Nasiłowska

Jest w Górach Sowich miasteczko Pieszyce, a w nim pałac. W wierszach poety z Pieszczy nie ma ani słowa o pałacu. Poeta prowadzi nas przez senne uliczki zaniedbanych domów ku grobom i ławeczkom cmentarza. Ten poeta to Adam Lizakowski, który wrócił do Pieszczy z szerokiego świata. Syn osadnika wojskowego, górnik z kopalni Knurów, obieżyświat, działacz polonijny w San Francisco i Chicago, tłumacz, wtajemnicza nas w swój obrzęd, nad mogiłami opowiada, kto tu leży. Mówi prostym, nieozdobnym językiem o znajomych, sąsiadach, zasłużonych nauczycielach i przypadkowych przechodniach potrąconych przez auto. Dużo o zmarłych, ale między słowami wiją się prężne i zielone pędy zwykłego życia, wiecznej odnowy.

Piotr Wojciechowski

O autorze:

Adam Lizakowski, poeta, krytyk literacki, publicysta, tłumacz poezji amerykańskiej, m.in. Walta Whitmana, Williama C. Williamsa, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Carl Sandburga, Louise Glück oraz Boba Dylana. Także z języka angielskiego przełożył ponad 50 wierszy chińskiego filozofa i poety Lao Tse oraz wiele wierszy perskiego poety z XII w., Rumiego.

Adam Lizakowski wydał ponad tuzin tomików poetyckich, m.in. *Trylogię Sowiogóorską*. Od wielu lat promotor kultury polskiej za granicą, organizator ponad 200 spotkań literacko-artystycznych od San Francisco po Chicago. Odznaczony medalem Gloria Artis. Studiował na Columbia College Chicago (BA) i Uniwersytecie Northwestern (MA).

Fragmenty

Pieszzyckie tkaczki

Dedykacja dla Gerharda Hauptmanna

Ulice Kościuszki, 1 Maja, Kopernika, Nadbrzeżna,
Świdnicka, Ogrodowa, Mickiewicza, Zamkowa
w słońca promieniach wygrzewają się
bezańskie koty śmietnikowe
o chudych bokach, brudnej sierści
wiecznie głodne.

Jest 1.15 po południu, normalny dzień pracy
za chwilę podłużne szare bramy domów
pękają jak worki przeładowane pszenicą
wysypując dumę miasta – tkaczki.

Podmiejskie autobusy z Rościszowa, Piskorzowa,
Kamionek, Bratoszowa, Bielawy, Dzierżoniowa,
Stachowic, nawet z Lutomi i Niemczy
jak cienkie prawie niewidzialne niteczki
poruszają pieszzyckiego molocha
nadając jego ruchom sens
wyznaczając porządek i kierunek.

Czas 1.30 po południu, rok nie jest ważny.

Widzę bardzo wyraźnie
młode zdrowe pełne energii
i seksualnych pokus
pracują na akord – śpieszą się
do swych fabrycznych krosien na drugą zmianę.
Prawie wszystkie są ze wsi
widać to gdy stawiają kroki na chodniku
a ich wielkie tyłki i biodra falują przelewając
tłuszcz z boku na bok

idą niosąc brzuchy wielkie jak senne poduszki
idą jasnowłose boginie z obrazów Rubensa
o piersiach ciężkich i słodkich jak brzoskwinia
niewinne, czyste, orzeźwiające
jak górskie powietrze –
idą córki pól buraczanych, siostry koniczyny
moje kochanki, moje ciocie, moja matka –
idą śmiejąc się i rozmawiając głośno –
idą niosąc w swych siatkach, torebkach,
reklamówkach plastikowych jedzenie, szminki
stare bilety autobusowe, lusterka, kolory do oczu,
jabłka, kanapki, zdjęcia chłopaków z wojska
idą równo ramię w ramię, noga w nogę
wypełniając krokami ulice
idą drzewa, domy, latarnie uliczne
idą autobusy, samochody, obłoki, ptaki,
tupot nóg, tupot nóg, tupot nóg
idą, idą, idą
tupot nóg, tupot nóg, tupot nóg.

Na ich twarzach nie ma zmęczenia
ich twarze mają wyraz dzikiego zwierzęcia
ich twarze napętnione są
pewnością siebie i zadowoleniem
ich twarze mają rysy świętych ze starych obrazów
ich twarze podobne są do twarzy sułtańskich niewolnic
londyńskich przekupek, lesbijek z San Francisco
idą tylko ich same twarze – śmieją się głośno
idą tylko ich głosy – rozmawiają głośno
idą ich serca – biją głośno idą ich piersi...

San Francisco, 1984/1988

Psalm złodziei czereśni

W naszym miasteczku
w kościele św. Antoniego
jest Twój portret Panie
twarz masz umęczoną
krople krwi na skroniach
oczy zaczerwienione i załzawione
usta z trudem wciągają powietrze.

Noc nadchodzi. Gdzie jesteś Panie
łóżko dla ciebie posłane
woda w misce czeka
przyjdź do nas
obandażujemy Ci głowę
uczeszemy włosy
umyjemy umęczone nogi
wyczyścimy buty
a na kolację zjesz chleb z masłem
i dżem czereśniowy

Panie jesteś zmęczony
przyjdź do nas teraz
nie czekaj na Sąd Ostateczny
na którym nasze własne ciało
będzie świadczyć przeciwko nam
głowa powie „knułam intrygi”
oko powie „widziałem krew”
język powie „raniłem słowami”
ręka powie „kradłam”
noga powie „prowadziłam do złego”

Panie nawet jeśli zjemy
wszystkie czereśnie całego świata
i poznamy tajemnice
sądów czereśniowych
bez Twojej miłości jesteśmy niczym
bez ciebie słodycz czereśni

nie jest słodyczą
jedynie mokrym drewnem
rzuconym w ognisko
które nie zapłonie płomieniem

a jedynie dym się uniesie
szczypiąc w oczy

Panie miłość Twoja –
wiecznie kwitnące sady czereśniowe
panna młoda w sukni z płatków
czekająca na zaślubiny z armią pszczół.

Adam Wołek

1954-2021

Kopernika 51

Najstarszy uczeń w naszej klasie
– pierwszy interesował się dziewczynami
nie palcem a wzrokiem pokazywał nieznany
świat pączkujących piersi koleżanek
ukryty pod fartuszkim szkolnym –
trochę urwis trochę malarz
po skończeniu podstawówki
wyjechał na Śląsk i został górnikiem
ale to nie głębie kopalni go pociągały
lecz płaskie przestrzenie życia
sennego miasteczka – chwycił się pazurami
mocno wbijał palce i serio myślał o kredycie
o samochodzie o życiu w miejscu
gdzie najlepiej mu się oddychało –
życie nie daje kredytu takim jak on –
żadnego kredytu – trzeba żyć na swój koszt –
poszukać czegoś co daje zysk – wtedy poczuł, że zysk i on
należą do dwóch innych światów –
chciał się poczuć jak ogrodnik w ogrodzie

własnego życia a ono przekształciło go
 w męża, ojca ze szmatką w dłoni
 wycierającego kurz z liści storczyków
 – stanąć z rzeczywistością twarzą w twarz
 na podłodze małego mieszkania
 na pierwszym piętrze przy oknie
 i wzrokiem liczyć pęcherzyki powietrza
 jak sierotka Marysia ziarnka maku

Aleksandra Brzeźniak

1949-2021

Zamkowa 71

Słowo które gasi wszystkie światła

Greckie imię Aleksandra – bronić ludzi –
 dzielnie nosiła jak tarczę
 przeciwko wszystkim – łącząc wszystko ze wszystkim
 pomagając każdemu –
 umarła niespodziewanie – śmierć nawet nie zapukała
 do oczu –
 córka – żona – matka – zwyczajna kobieta –
 sąsiadka – sikorka – przysiadła na drzewie – zajrzała
 do okna – odfrunęła w stronę drogi na Rościszów –
 odrobina przestrzeni wydartej ziemi i powietrzu
 i już jest na ulicy Zamkowej z zakupami –
 to kręcenie się w kółko, wokół własnej osi
 – te piruety są opisem tajemnicy życia –
 wiecznego słowa teraz –
 ono gasi wszystkie światła – zwykła radość istnienia
 z niej nie da się wyrwać nawet jednej sekundy
 ani wymazać jednej literki – niczego zresetować –

Marek Duszek**1956-2008****Kościuszki 10**

położył się w łóżku dziadków
ogrzanym ciepłem ich ciał
przyjęli cię chętnie

położył się w grobie dziadków
ogrzanym ciepłem ich kości
przyjęli cię niechętnie

słyszę twoje wołanie spod
pierzyny kamieni
koca gliniastej ziemi

boiska ubitego naszymi stopami
twardszego od betonu
kopaliśmy piłkę ciężką
wypełnioną powietrzem

zarosło trawą boisko badyłami na
dwa metry wysokimi
byle wróbel byle wrona
może po nim dzisiaj buszować
mysz zbierać trawę na swe gniazdo

ty siła napędowa podwórka
zorro ryszard szurkowski jerzy kulej
włodek lubański hrabia monte christo

łowcy trzmieli motyli karasi i kijanek
hodowcy gołębi rybek akwariowych
zbieracze starych monet znaczków pocztówek
kurzu pleśni zwykłej dziecięcej paplaniny

pierwszy z naszego podwórka stawiliś się
przed św. Piotrem raportując mu z kim

wyrywałeś skrzydła muchom nogi pająkom
a on popatrzył na ciebie jak na rwący potok
w dniu w którym umarłeś umarło milion
dwieście tysięcy ludzi w tym
stu dwudziestu dwóch księży
sześciu biskupów i jeden kardynał
padał deszcz ale tylko ty jeden
szedłeś do nieba nie omijając żadnej kałuży

Adam Lizakowski



Śmierć

Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Marek Pękała

NIEŚPIEWY

historyczne



Seria: Kolekcja Literacka 3 – Tom II**Marek Pękala – Nieśpiewy historyczne**

Autor: Marek Pękala

Tytuł: Nieśpiewy historyczne

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2022

nr wydania: I

liczba stron: 152

format: 148×210 mm

numer ISBN: 978-83-962200-4-2

cena: 30, 00 zł

Ilustracje: Joanna Jagiełło

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: TUNIA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Nieśpiewy. Nie śpiewane, zduszone. Odrzucone, drukowane nielegalnie lub ocenzurowane. Czyta się je w poczuciu narastającego przerażenia, jak dystopię. Z gulą w gardle, jakby utkwiała tam zmięta mapa Polski albo gazeta, która z pragnących „ojczyzny we własnym kraju” zrobiła zdrajców narodu. A przecież ci, którzy kochają ten kraj bez wzajemności, jakby na

niego nie zasługiwali, próbują w tej matni żyć, bez cukru, z żonami, które nie wyszły za generałów, ale i z pierwszym śmiechem dziecka czy pożądaniem. Jednak tego nie ma jak śpiewać, jest tylko krzyk. Wiersze Pękali są świadectwem lat 70. i 80., lecz lęk, który budzą, jest też współczesny. Zresztą poeta i w nowszych utworach od przerażenia uciec nie potrafi, bo każda epoka ma swoje czołgi i „przypadkowo rozsypane szkło”.

Joanna Jagiełło

Na mojej rodzinnej półce stoją dziewiętnastowieczne *Śpiewy historyczne* Niemcewicza. Tam bohaterstwo oszalecia. To bohaterstwo pola walki unurzane we krwi. W *Nieśpiewach historycznych* Marka Pękali bohaterstwo jest zdławione. Polem walki jest unurzana w kurzu socjalistyczna powszedniość lat 70. i 80. XX wieku, upokorzenie, bezradna ulica, twarz człowieka ponoszącego klęskę. Pamiętamy te z jednej strony „Chodźcie z nami”, a z drugiej „Rozejść się”. Gasło światło. Rósł brud. Czytajmy Pękala, nie zapominajmy.

Krzysztof Bielecki

O autorze:

Marek Pękala – ur. w 1949 r. w Skierniewicach, absolwent filologii polskiej rzeszowskiej WSP. Opublikował m.in.: *Życiowy obowiązek* (wiersze), Wydawnictwo Literackie 1977; *Szare zdrowie jutra* (wiersze), KAW 1979; *To nic, to wszystko* (wiersze), *Gdzie Indziej* 1992; *Kartki rzeszowskie i błękitne* (wiersze i krótkie prozy), Tow. Literackie im. S. Piętaka 1998; *O Boże, znowu goście!* (komedia), WFW 2013; *Jak tata reperował słońce* (wiersze i krótkie prozy), WL *Białe Pióro* 2015. O jego twórczości pisali m.in.: Ryszard Matuszewski, Stanisław Barańczak, Stanisław Burkot, Józef Nowakowski, Jerzy Winiarski, Krzysztof Lisowski, Karol Maliszewski.

Autorska strona w internecie: Terra Marucha.

Fragmenty

Życiorysa

Ja niżej i w ogóle skreślony
dla spotkań z dostojnymi krawatami
zapraszam wasze myślenie do swojego stołu
stołu być może z nogami elektryka
któremu piętę gryzie codzienny pies
pies z sanatorium dla psychicznie
zdrowych na ucieczkę wielomilionowego
człowieka

moja waga bez maski
72 kilogramy
nazywają się one:
marek pękała

Cieszę się, że żyję

spojrzał na mapę Polski
ze złości zgniótł w kulę
klębiło się w niej zmęczone jutro
pulsowała jak ciężarny brzuch jego żony

zobacz zamilczał świat ogromnie
w jedno małe miejsce tu zaczyna się
nasz wszechświat
zapalka na podłodze dygotała
ze wzruszenia jak igła kompasu trzeba
iść zostało jeszcze tyle klęsk tyle zwycięstw
nadaremnych

patrzył w niebo ślizgające się
po suficie stancji przepływające gwiazdy

majaczyły tysiącami oczu
tylko pies i topola
zerkały w zjednoczenie światła

na mgnienie miasta ułożyły się w zegar

rozprostował mapę
i po omacku szedł w jej wnętrze
w kolejnej konwulsji

1977

Warunki obiektywne (3)

Książd Skarga skulony jak pięść
wylewa ze mnie patetyczny sos,
zostawia mnie samego
z nami. Aż dziwne, że tak czuły
uścisk czuję na gardle,
kiedy tak ciężko oddychać
w swoim wolnym kraju.

Zamach na Jana Pawła II

Jesteśmy już po końcu świata,
który nie nastąpił.

Westchnienie

Święty Marku, mój patronie,
zlituj się nad swym gamoniem.
Niech cię krucha wiara wzruszy,
ciągnij do nieba za uszy.
Czekam na szczęśliwe amen,
by po śmierci spotkać Mamę.

Marek Pękala



Fot. Katarzyna Boruń- Jagodzińska

Bartłomiej Siwiec

SAMOTNY

mężczyzna

spokojnie konsumuje
fasolkę Heinza



Seria: Kolekcja Literacka 3 – Tom III

Bartłomiej Siwiec – Samotny mężczyzna

spokojnie konsumuje fasolkę Heinz

Autor: Bartłomiej Siwiec

Tytuł: Samotny mężczyzna spokojnie konsumuje fasolkę Heinz

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2022

nr wydania: I

liczba stron: 64

format: 148×210 mm

numer ISBN: 978-83-962200-5-9

cena: 30, 00 zł

Ilustracje: Piotr Müldner-Nieckowski

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: TUNIA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Nie po raz pierwszy się okazuje, że trzeba niebywałego oka, ucha i talentu, żeby pisać o współczesności prosto, barwnie i zarazem odkrywczą. Z góry wiemy, jak wielu ludzi z wielkim wykształceniem mało dostrzeżęga zła, bzdury i głupoty, i domyślamy się, ilu wiersze Bartłomieja Siwca

przyjmie ze zdumieniem. Ale niech one ich podkreślą. Są dokuczliwe, choć w czytaniu bardzo przyjemne i zawierają sporo dobrego smaku, wcale nie z puszki.

Piotr Müldner-Nieckowski

Po co poecie poczucie humoru? O, nie po to, żeby wywoływać śmiech, nie jest przecież wesołkiem, opowiadaczem dowcipnych historii. Żeby dostrzegać wielowymiarowość prawd – mówiąc w skrócie. U Bartłomieja Siwca humor służy ironii, co wpisuje się w bogatą tradycję polskiej poezji i dobrze robi wierszom.

Anna Nasiłowska

O autorze:

Bartłomiej Siwiec – urodzony w 1975 roku w Bydgoszczy, prozaik, poeta, krytyk literacki. Autor czterech powieści: *Zbrodnia, miłość, przeznaczenie*, *Autodestrukcja*, *Przypadek Pana Paradoksa*, *16 schodów*, zbioru opowiadań *Wszyscy byli umoczeni* i pięciu zbiorów wierszy: *Instrukcja zabicia ptaka*, *Matka i róża*, *Przepompownia*, *Starsza pani poezja*, *Domysły na temat Ruxa*.

Jego wiersze, szkice i recenzje były drukowane na łamach „Toposu”, „Tekstualiów”, „Frazy”, „Elewatora”, „Epei”, „Okolicy Poetów”, „Akantu”, „Gazety Kulturalnej”.

Fragmenty

Samotni mężczyźni

siedzą w domu przed szklanymi ekranami,
oglądają zawody sportowe, serwisy
informacyjne i prognozy,
które ich nie dotyczą.
Zjeżdżają samotnie windą do sklepu
monopolowego lub udają się do kiosku
z tytoniem.

Samotni mężczyźni żyją gdzieś obok,
właściwie nie wiadomo czego.
Czasami spotykam ich pod sklepem.
W ich brudnych, nieogolonych siatkach
brzęczą butelki.

Samotni mężczyźni są pełni brudnych,
nieogolonych myśli.

Samotni mężczyźni żyją dla swoich matek.
W Wigilię wkładają wyprasowane koszule,
nie mówią nic o dusznościach i bólach.
Grzecznie zjadają potrawy,
umierają po cichu,
przekonani o tym, że równie dobrze mogliby
nie istnieć.

Samotni mężczyźni przeważnie niezbyt długo
przeżywają swoje
wieczne
matki.

Prezent

Anna Politekowska wchodzi do windy.
Dziś są urodziny Władimira Władimirowicza.

Ile czołgów zmieści się w sercu Anny?
4. Gwardyjska Dywizja Pancerna,
Powietrznodesantowy Pułk Kozaków
i odwody zmotoryzowane?
Ile wyrzutni rakietowych, ile gradów i buków?
Ile moździerz, bazuk i haubic?
Czyżby serce Anny było ze stali?

Nie płacz po mnie, moja Czeczenio – mówi
Anna do lustra i grzebykiem
przeczesała włosy. Woli umrzeć uczesana.

Potem wychodzi z windy i szybkim
krokiem zmierza w inny wymiar.
Niewysoki, wysportowany mężczyzna
odbiera telefon, usłyszał dobre nowiny.
Mówi, że kawior smakuje przednio.
Wspaniała impreza, głośno wylatują
korki od szampana.

Wróć do nas Anno, na żyzne
poła wyobraźni, a twoje buntownicze
słowa niczym koktajle Mołotowa.
Wróć do nas Anno.

01-03-2022

Trzech historyków

O przewrotności losu, różnie
wieją wiatry. Musisz ustawić się
elastycznie, reagować jak historyk
numer 1, co niedawno pisał o ruchu
robotniczym, a teraz zajmuje się
sowietyzacją polskich Kresów.

Albo historyk numer 2,
co specjalizował się
w marksizmie i leninizmie,
ponoć jako jeden z nielicznych
znał wszystkie dzieła
Włodzimierza Iljicza,
doktorat w Moskwie,
habilitacja w Leningradzie,
potem płynnie wszedł w świat
rozmyślań Jana Pawła.

O ironio historii, twoi synowie są mądrzy,
wyciągają wnioski z przeszłości.
Oto historyk numer 3, który pisał
o postanowieniach I Międzynarodówki,
dziś jest specjalistą
od traktatów europejskich.

Z pierwszym historykiem grywam w szachy,
drugiego od pewnego czasu spotykam
w kościele, z trzecim byłem
na wycieczce w Brukseli.
A ja pozostałem wierny
– nie wiedzieć czemu:
ich historia mnie niczego nie nauczyła.

* * *

Jesteśmy tylko pionkami
w tajemnej grze mocarstw.
Można nas poświęcić bez wielkiego żalu.
Jesteśmy tylko pionkami dla tych,
co mają kapitał.
Mogą cię wybatożyć na rynku
jak chłopca, co ukradł
chleb i za sklepem go je.
Jesteśmy tylko pionkami
naszych żon i mężów,
ojców i matek, a nawet naszych dzieci.
Zawsze nimi byliśmy i zawsze będziemy.
Tylko w snach pijackich,
poetyckich zwidach
prężymy muskuły.
Tylko w snach pijackich,
poetyckich zwidach
fruniemy ku górze
niczym wielki balon. Kto nas nadmuchał,
kto nami steruje?
I po co to robi, jakie ma intencje?

* * *

Wiem, że czeka mnie długie życie,
nawet gdyby miało trwać jeden dzień.
Wiem, że czeka mnie długie życie.
Wczoraj śnił mi się kwiat i ogród.
Kwiat wyginał się artystycznie
w znak zapytania. W ogrodzie było
cicho, czasami tylko słyszałem sójkę.
Wiem, że czeka mnie długie życie,
ten kwiat wieczorem umiera,
rano znów zakwita.

Bartłomiej Siwiec



Fot. Katarzyna Boruń- Jagodzińska

Małgorzata Szyszko-Kondej

STARA BABA

zapomniała umrzeć



Seria: Kolekcja Literacka 3 – Tom IV**Małgorzata Szyszko-Kondej –****Stara baba zapomniała umrzeć**

Autorka: Małgorzata Szyszko-Kondej

Tytuł: Stara baba zapomniała umrzeć

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2022

nr wydania: I

liczba stron: 100

format: 148×210 mm

numer ISBN: 978-83-962200-6-6

cena: 30, 00 zł

Ilustracje: Joanna Sendłak

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: TUNIA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl**O książce:**

Ile odcieni może mieć czerń zbliżającej się nieuchronnie żałoby? Srebrzyć się jak porwane nitki pamięci? Płowić jak jaśniejsze z roku na rok wspomnienia? Zazielenić jak omszały kamień – niepogłaskany, nieutulony? Oku Małgorzaty nie umyka żadna małość (i wielkość), śmieszność

(i ból). Pośpiesznie notuje chwile olśnień, czarnym humorem oswajając strach. I tę naszą żalostną bezradność wobec ostateczności.

W zupełnie innym rytmie toczą się jej poetyckie przypowieści o tym, co niezmiennie – marzeniu, tęsknocie, przyjaźni, pięknie... By już za chwilę celnie podsumować teraźniejszość i „Odpowiednie dać wojnie słowo”, kiedy brakuje słów. „Norwidowi byłoby łatwiej” – komentuje. Z autoironią czy goryczą? Nadzieją czy rozpaczą?

Dorota Koman

Starość, odchodzenie, minione miłości – ile tanich efektów podpowiedziałyby tu intuicja, i to nawet ta poetycka: rozedrgana, skryta, nośna? Małgorzata Szyszko-Kondej mistrzowsko omija łatwe pokusy. Stąpa po ziemi, kamieniach, bólu. I nie traci ducha. Piękno, może wyblakłe, wciąż się tli. Umarł złudny ornament. Oto dojrzała liryka wszelkich schyłków i... narodzeń. W ostatnich wierszach autorka pochyła się nad losem Ukrainy po 24 lutego 2022. Surowe słowa zabijają. „Wojna maszeruje” – czytamy. Poezja stoi. Patrzy. Służy.

Krzysztof Bielecki

O autorce:

Małgorzata Szyszko-Kondej jest autorką książek dla dzieci i dorosłych, dziennikarką. Pisze opowiadania, reportaże, słuchowiska radiowe, wiersze, teksty piosenek.

Jest laureatką konkursu literackiego im. Astrid Lindgren. Nagrodzony *Sejf z milionem w środku* (Stentor) został wpisany na Listę Skarbów Muzeum Książki Dziecięcej. Opowiadania *Wtorek, godzina 15.00* (Ezop) znajdują się na Złotej Liście Fundacji Cała Polska Czyta Dzieciom. A książka *Sześć córek* (Świat Książki) zdobyła tytuł Najlepszej Książki Roku 2014, w kategorii „Powieści obyczajowe”, przyznawanej przez internautów portalu Granice.pl.

– Pisanie wierszy jest najbardziej osobiste, szczere, trochę wstydlive. Ujawnia to, co tuż pod skórą i co udało się zamknąć na wyrwanej kartce papieru – mówi.

Fragmenty

Wywiad ze starą kobietą

– Najpiękniejsze wspomnienie?
dziwi się wyblakłymi oczami.

– Siedziałam na kolanach u ojca
i skubałam jego gęstą brodę.
Miałam cztery lata...

A później, dalej...?

– Siedziałam na kolanach u ojca...
– powtarza z uporem 90-letnia kobieta.

Życzenie

chciałam
żeby spotkało go
coś złego

i spotkała go
starość

Poeta

zamienia jajecznicę
w niejadalne słońce

plotkuje z dziurą w płocie
i z rumianą mrówką

nawet w czarnej trumnie

znajdzie coś dla siebie
a potem długo płacze
w noc suchą od kaszlu
bo nie wie jak połączyć
marchew z pogrzebaczem

Wiara

Wiara jest najstarsza. Nadzieja i Miłość to młodsze siostry. Wiara lubi je mieć zawsze przy sobie. Kiedyś Wiara pokłóciła się z Miłością i skończyło się to bijatyką.

A znowu, kiedy Nadzieja gdzieś się zgubiła, Wiara czuła się tak, jakby była na pustyni bez kropli wody.

Ostatnio siostry mają wielkie marzenie. Chcą razem podróżować po całym świecie. Wiara, Nadzieja i Miłość na pewno nie ominą nawet najmniejszej wioski.

8 marca 2022

obok stał czołg
płonęła szkoła
z kamienicy zostały gruzy
stary człowiek leżał twarzą do ziemi
matka zamarła w piwnicy
dziecko płakało
huk dym kurz

a on podarował mi perfumy

Małgorzata Szyszko-Kondej

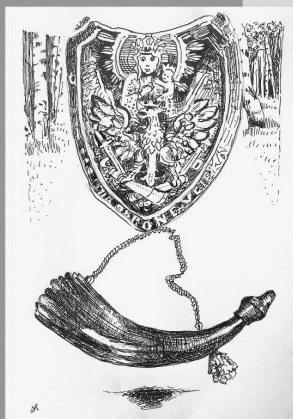


Fot. Katarzyna Boruń- Jagodzińska

Grzegorz Walczak

GDY ZAGRA RÓG

czyli
O Polsce pieśń



Seria: Kolekcja Literacka 3 – Tom V**Grzegorz Walczak – Gdy zagra róg****czyli****O Polsce pieśń (zbiór wierszy i tekstów piosenek)**

Autor: Grzegorz Walczak

Tytuł: Gdy zagra róg czyli O Polsce pieśń

(zbiór wierszy i tekstów piosenek)

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2022

nr wydania: I

liczba stron: 120

format: 148×210 mm

numer ISBN: 978-83-962200-7-3

cena: 30, 00 zł

Ilustracje: Marek Sołtysik

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: TUNIA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl**O książce:**

Historia w poezji to czas dzisiejszy. Grzegorz Walczak daje nam nowy, niebanalny materiał. Jedni powiedzą, że to piosenki i pieśni (bywa, że z muzyką Zygmunta Koniecznego), drudzy, że nareszcie poezja, a nie

zdobiona metaforami proza. Wreszcie wszyscy sobie przypomną, jaką rolę w naszych głowach i sercach pełni mowa wiązana i jak ważną strawę odkrywa na stole codzienności. Jest teraz prosto z kajetu na alarm bijącego poety. Od czasu Cedyń, Grunwaldu, rozbiorów, powstań, wojen światowych, stanu wojennego – wciąż jawnie potrzebna. Jest w niej Polska, jest też Ukraina, obie do omówienia. Trzeba to wszystko zaśpiewać. Gorzką nutą lub wesołą, a czasem hardą.

Piotr Müldner-Nieckowski

Poezja Grzegorza Walczaka mówi o historii. Jej skutki odczuwamy codziennie, często boleśnie. Wiersze mają coś z pieśni wajdelotów. Są muzyczne. Zainteresowały m.in. Zygmunta Koniecznego, Renatę Gleinert, Tadeusza Kaweckiego, a wykonywały je Ali-Babki czy No To Co. O Polsce „śpiewa” więc tradycja i współczesność. Ta ostatnia odzywa się w wierszach o Ukrainie, pisanych teraz w czasach wojny. Wyobraźmy sobie lirę korbową ukraińskich lirników – bo na czym grać, gdy głos się zrywa, dusza śpiewa, a prądu, gazu brak i wszystko dookoła płonie? Już Mickiewicz pisał: „Płomień rozgryzie malowane dzieje, / Skarby mieczowi spustoszą złodzieje, / Pieśń ujdzie cało [...]”.

Małgorzata Karolina Piekarska

O autorze:

Grzegorz Walczak – poeta, prozaik, dramaturg, tłumacz literatury serbskiej, doktor nauk humanistycznych, były adiunkt polonistyki UW, lektor języka polskiego na slawistyce Uniwersytetu Belgradzkiego, kierownik literacki teatru Rampa (1999-2002). Autor powieści, sztuk teatralnych, około 20 słuchowisk Polskiego Radia i radiofonii europejskich. Zdobywca I nagrody za sztukę *Kaktus* w konkursie w Jugosławii w 1984. Laureat nagrody PR w 1986 oraz miesięcznika „Scena” w 1971, nagrody im. W. Hulewicz za tekst sztuki teatralnej *Obłoczni, czyli Sen Chopina* 2015 (współreżyser z O. Łukaszewiczem i H. Talarem), nagrody „Pro Poet 2020” na Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Serbii. W 2016 r. – brązowy medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Reprezentowany w polskich i międzynarodowych antologiach i leksykonach literackich. Członek SPP, ZAKR, ZAiKS, Polskiej Sekcji SEC.

Fragmenty

Pieśń dzwonów

Jest taka ścieżka, co wiedzie nas
tam, gdzie króluje On.
Kiedy się skończy nasz ziemski czas,
w sercu wybuchnie dzwon.

Porzucisz szaty i własną twarz,
nawet rodzinny dom.
Pamięć o tobie rozwieje czas,
tylko daleko stąd,

w mrokach bezkresu, gdzie gwiazdny rój
rozbłyśnie nowy punkt.
Może się zbudzi w nim nowy świat,
nikły po tobie ślad.

Staną rycerze, uniosą miecz
i tarczę twą i kir,
lecz nie całego cię weźmie śmierć,
w nas będziesz długo żył.

Powrócisz w pieśni lub bliskich śnie,
w błysku oręża, gdy
trzeba znów będzie uchwycić miecz
i przeciw wrogom iść,
i przeciw wrogom iść.

Gdy zagra róg

Gdy tyran zły
wypuści psy
i zamrze świat,

zaczekaj, aż
zagra róg,
zbudzi nas,
porwie lud,
da nam znak.

Lecz nie wie nikt,
skąd ma być głos
i dokąd iść,
gdy taki mrok.
Wokół mgła,
skomli wiatr.
Może to
dziecka płacz.

Zbieramy się
jak nocne ćmy.
Wciąż więcej nas.
Musimy iść
tam, gdzie cud,
światło i...
tam, gdzie lud
wolność śni.

Choć zapiał kur
i wracać czas,
choć taki świat
nie nęci nas,
jednak gdy
zagra róg,
na ten znak
wrócim tu,
stworzym krąg
w tajną noc.
Przeszłych cień
da nam moc.
Wtedy przyjdź i ty.

Śmiertelna pycha wodza

(napisane w piątym dniu inwazji)

Jak łatwo jest bezwolnym zgładzić myśl,
jak niepokornym trudno zasiać po bezmyśli spokój.
Gdy bałwochwalstwo raz przyswoi sobie naród,
już odruchowo bije tyranowi pokłon.

Historia nie powstrzyma ślepych na to,
co tak zraniło dziadów naszych i dziś się powtarza.
Wystarczy jeden żądy błysk, jak dla rekina
kropla krwi w okrutnym łbie zbrodniarza.

A zatem trzeba tylu bohaterów
i jeszcze więcej ofiar mocarstwowej pychy,
a potem tylko dzwonów głos pogrzebny
i matek łzy, jak pąki kwiatów na cmentarzach cichych.

Pluszowy miś

(16.03. – dwudziesty pierwszy dzień obrony Ukrainy)

Dlaczego wybierasz dla tych ludzi pożar
i rozpacz tylu matek,
bohaterstwo synów, którzy stoją
w długim szeregu do Piotrowej bramy?
Ich anioł stróż nie nadaża wyłapywać nadlatujących rakiet.
Okaleczone miasta jeszcze nie ukłękły.
Wypalone oczy domów zaniemówiły.
Ptaki zapomniały codziennej modlitwy.
W Mariupolu, zamknięci w paszczy Lewiatana,
nie mają już co pić.
A ty, piewco poddańczej wolności,
któremu sny o potędze zamąciły umysł,
siewco śmierci nagłej i nieoczekiwanej,
gdzie przykucnąłeś, w jakim złotym bunkrze?

Do twojego pałacu próżności
nie dochodzi przekleństwo dręczonych,
nie słysząc tam wylatujących w powietrze szpitali,
rozpaczliwych krzyków przedszkolank,
nie widząc rozczarowania w przerażonych oczach
twoich żołnierzy – żółtodziobów, których oszukałeś.
Spójrz, idzie chłopczyk charkowskim podwórkiem.
Szuka pluszowego misia, którego pewnie spłoszył dziś poranny alarm.
Rozgląda się za swoją zgubą.
Na moment zamarł, zachwiał się.
Ognisty ptak przeszył mu dziobem serce.
Może teraz znajdzie swego przyjaciela
gdzieś tam... po drodze do nieba.

Aż płakał Bóg

Gdzieś znowu biją dzwony
i znowu wzdycha ziemia.
A miały już nie wrócić straszne wojny,
lecz trzeba będzie o tym znów pamiętać,

jak nocą szli przez las zraniony,
a zapalone szmaty nieba
spadały im wprost do stóp.
Wszędzie był popiół miast spalonych,
aż popielata była gleba,
aż płakał Bóg,
ukryty gdzieś wśród gwiazd,
wśród czarnych gwiazd.

Odeszło ich niemało,
co Kraju tak bronili,
lecz gdyby trzeba było znowu stanąć,
to choćby z nieba do nas by wrócili.

Siądź tutaj razem z nami
i spójrz w ogniska płomień,

i przytul tych, co dziś zostali sami
i wciąż nie mogą strasznych dni zapomnieć,

jak nocą szli przez las, przez las zraniony,
a zapalone szmaty nieba
spadały im wprost do stóp.
Wszędzie był popiół miast spalonych,
aż popielata była gleba,
aż płakał Bóg,
ukryty gdzieś wśród gwiazd,
wśród czarnych gwiazd.

Grzegorz Walczak



Grafika Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

